

Maciej Rybiński

Bruderschaft z Belzebubem

ISBN 978-83-7558-483-7

Wszystkim meblom, ozdobnym i ustawnym, z którymi mnie życie zetknęło, ze szczególnym uwzględnieniem stołów prezydialnych, biurek, foteli giętych i wieszaków poświęca

Autor

„Życie jest opowieścią idioty pełną rozpacz i krzyku”.

William Szekspir „Hamlet”

Noc proroków i wariatów

Stoję sobie skromnie przy drzwiach w pożyczonym garniturze z podszytymi na okrętkę za długimi rękawami marynarki, prawy but ciśnie mnie jak urząd podatkowy i na niczym nie mogę się skupić.

– Jest to także trudny obowiązek wobec społeczeństwa i wobec naszej ojczyzny, Polski Ludowej – mówi facet z łańcuchem na urzędowym wdzianku, gruby nie tą piękną, czerstwą tuszą ludzi pewnych siebie, ale jakąś rozlazłą i kluchowatą, niezdrową opasłością osób spędzających większość dnia nie tam, gdzie by powinny i chciały, i dokąd tęsknią.

Gruby mówi, ja słyszę, że mówi, ale nie rozumiem, co mówi, bo ciągle mi się zdaje, że wszyscy wokół popatrują na moje podszyte rękawy, trącają się łokciami i mrugają na siebie nieprzyjemnie, może nieznaczaco i nieznacznie, ale nieprzyjaźnie.

A wokół same osoby. Czarniaki, żadna tam kremplina czy elana, wełna bielska, u niektórych nawet w dyskretny prążek, glany wypucowane grubo erdałem, krawatki. Kobiety każdy prawie ma przy sobie, kobieta każda w sukni do ziemi, pantofle złote, pomiędzy pasków paznokcie czerwone wylażą na mróz za oknem, włosy też złote prosto od Winkowskiego, mistrza łatwo poznać po lokach.

I tylko podział jakiś idzie przez salę. Owszem, i po lewej, i po prawej z kobietami, w czarniakach i krawatkach stoją. Ale po lewej krawatki mają na gumkę, czarne, z łagodnym srebrnym rzucikiem, ku brzegom rzadszym, ku środkowi znów zagęszczonym, każdy brzuch wypina, marynarka rozpięta, żeby było widać tuż nad paskiem skórzanym wyhaftowaną na koszuli czarną różę. I łapy z czarniaków wysterczają duże, czerwone, gruzłowate, złożone spokojnie na brzuchu. Czasem tylko przekładają te dłonie powoli w tył, ku rozcięciu marynarki, i jest to jedyny ruch, a bije od nich jakaś taka spokojność niewzruszona, że ma się ochotę tłuc głową w te wypięte brzuchy, żeby choć się zasłonili albo dłonie czerwone zacisnęli w pięść.

Ci po prawej krawatki włożyli perłowe, ornament raczej delikatny, koloru burgunda, tnie tę srebrzystość. Marynarki zapięte na guzik środkowy, więc koszula nie wiadomo, Wólczanka czy Pewex. Dłonie też duże, ale białe, nawet powiedziałbym blade, biegające po łodygach gerberów w dół i w górę, płaczące palce wśród wstążek czerwonych, srebrnych i fioletowych. Stopy w butach, skóra na cienkiej podeszwie firmy Salamander, za Odrą czy Łabą, tańczą lekko, może nawet nerwowo, w przód, w tył, na boki, aż poskrzyp idzie cichutki po sali ku sztucznym kryształom żyrandola Księstwo Warszawskie wyprodukowanego w czynie

społecznym przez firmę Bąkowski, Długa 27, według oryginalnych zdjęć z 1938 roku.

A pośrodku, przy drzwiach inkrustowanych, czując na plecach lwiał paszczę pomazanej na złoto farbą metalik klamki, stoję ja w garniturze z podszytymi na okrętkę rękawami, w przyciasnym prawym bucie i wszyscy się na mnie gapią, mimo że wszyscy stoją do mnie plecami, oprócz jegomościa z łańcuchem, który stoi do mnie twarzą, ale którego tu w ogóle nie ma.

Co się dzieje?

– Hybryd się, kurdebalans, żeni – przypomniał mi wczoraj Piotr. Siedzieliśmy przy ciepłym piwie całkiem zadowoleni z życia, bo był to piątek przed wolną sobotą, już znacznie po pierwszym, ale znów nie tak znacznie, żeby było już przed pierwszym, obsługiwała nas znajoma kelnerka i dopiero dochodziła ósma. Patrzyliśmy przyjaźnie na siebie, słuchając z wyrozumieniem, jak od sąsiednich stolików niesie się płacz i zgrzytanie zębów, błagania i prośby, przekleństwa i wołanie gromu. Ale to wszystko na nic. Kto chciał się napić piwa, wina albo choćby bałtyku, to znaczy wódki z dostępem do morza, musiał brać też napoleonkę. Komu nie smakowały napoleonki, mógł zakąsić zrazami po polsku z kaszą gryczaną. Przynoszono te zrazy na platerowym półmisku, błyszczącym bardziej niż srebrny, dwa zwinięte ciasno kawałki koniny unurzane w sosie grzybowym i zapieczone w wydrążonym razowym chlebie. Ale nikt nie jadł zrazów. Nikt nie jadł też napoleonek i wokoło, hen aż po bufet i drzwi do toalety, piętrzyły się na stolikach ciastka niczym za szkłem regałów u Bliklego.

A my walnęliśmy już po pięćdziesiątce i sącyliśmy trzeci browar do jednego samotnego ciastka, które leżało między nami niedbale ciśnięte na talerz, przełamane w pół z wypływającym szarym nadzieniem budyniu, budząc w nas zrozumiały optymizm, że czego jak czego, ale ciastek w nadchodzące święta wystarczy dla wszystkich.

Słowem, było w pyętę, a w dodatku jak zwykle przyszedł odziany z niedbałą elegancją właściwą dla wyższych sfer urzędniczych znany komentator „Dziennika Telewizyjnego”, jak zwykle Piotr kazał mu podać do stolika czerwone wino – tylko żeby było słodkie – i jak zwykle czekaliśmy, że on jak zwykle nie wypije, zaczerwieni się i wyjdzie. A to bydlę zepsuło nam całą zabawę. Wychlało nasze wino, a potem zżarło jeszcze łapczywie jakiś befsztyk z frytkami, pieczareczkami, sałatką z pomidorków za osiemdziesiąt, bekało, pocilo się, radośnie uśmiechając się do całego świata, a może szczególnie do samotnego starszego pana siedzącego ‘naprzeciwko nad dwoma kieliszkami wódki, jedną butelką piwa i trzema napoleonkami.

Ten starszy pan, zwany przez szatniarzy z całym szacunkiem Profesorem, któremu siwe

włosy, krzaczaste brwi i sterzcący spomiędzy nich garbaty nos nadawały senatorski wygląd, ubrany był w prostą, bezpretensjonalną, brązową marynarkę wytartą na łokciach i pomiętą koszulę.

Być może była to ta sama marynarka, w której przed laty zajeżdżał cytryną przed gmach przy ulicy Koszykową, gdzie dziś obok jakichś wydawnictw mieści się też Biuro Skarg i Zażaleń Ministerstwa Sprawiedliwości, aby wśród ścian obwieszonych portretami przywódcy, wśród kwiatów, dzieci i motyli, w imię klasy robotniczej, chłopca małorolnego i inteligencji pracującej ukręcać kobietom sutki i łamać mężczyznom palce w szufladzie biurka odebranego rodzinie, która już od sześciu wieków pasła się nad Wisłą potem i krwią pańszczyźnianych.

A teraz siedział niewygodnie rozparty w niewygodnym krześle, wypijając co dziesięć minut kieliszek wódki, z twarzą nieprzeniknioną, jakby nieobecną, majestatyczny, rozchełstany i potężny – szerokością wywatowanych ramion.

I tylko w kącikach starczych oczu lśniła wilgoć. Może płakał?

Naprzeciw zaś mały, ruchliwy, pozapinany gdzie trzeba i bezpotrzebnie uśmiechnięty komentator „Dziennika Telewizyjnego”; obaj odbijali się w sobie nawzajem niczym w lustrze.

I dopiero się zaczęło, zrobił się tłok, mnóstwo ludzi obsiadło nasz stolik, wypili piwo, zjedli napoleonkę, gadali jeden przez drugiego, uśmiechali się i poważnieli, łapali nas za guziki, dyszeli prosto w ucho i domagali się więcej piwa i mniej napoleonek.

Byli rozmaici.

Był właściciel salonu kosmetycznego, który w wolnych od wyciskania pryszczycy chwilach pisał fraszki.

Był pisarz, który w wolnych od pisania chwilach kuł napisy na nagrobkach, argumentując, że kamieniem nikt sobie dupy nie podetrze.

Był ślusarz, który w wolnych od szwejsowania chwilach odbijał na powielaczu gazetkę pełną wiadomości osłabiających moc obroną kraju.

Był socjolog, który w wolnych od badania budżetów rodzinnych chwilach handlował używanymi samochodami.

Był doktor Wyższej Szkoły Nauk Społecznych, który w wolnych od narad i seminariów chwilach usiłował pogodzić siebie i marksizm z etyką chrześcijańską.

Był tajniak, który chciał być porządnym człowiekiem i dlatego każdemu przedstawiał się od razu jako kapusta.

Były wreszcie panienki, panie, koledzy, towarzysze i obywatele, słowem wszyscy w tym

mieście, którzy zagubili się przed laty, a teraz byli w drodze, aby się odnaleźć, i droga ta wiodła przez elegancką knajpę z piwem, napoleonkami i obrusami poplamionymi już o tej porze zupą pomidorami z zestawu obiadowego pierwszego.

Więc byli wszyscy i wszyscy mówili jednocześnie. Że koń, że drzewo, że Wałęsa. Że strajk, że rozmowy, że Rakowski. Że Ruskie, że czołgi, że krew. Że jutro, że pojutrze, że za tydzień.

A Piotr się zerwał i jak nie rąbnie pięścią w stół, aż się zatrząsł blat pokryty zielonym sukniem i posypały liście z paprotek.

. – No co jest, obywatele, panowie i koledzy, i towarzysze?! – krzyknął. – Demokracja nie może znaczyć anarchia!

– I na odwrót! – zawołali z sali.

– Nie ma zgody! Weto! – wołali.

– Jest zgoda! – krzyczeli.

– Najpierw – powiedział Piotr – musimy ustalić, czy jest kworum.

Ustalili:

– Stara Kornacka stoi w kolejce do mięsnego na poniedziałek. Listę zrobili o siódmej, zaraz po zamknięciu, i mają sprawdzać co trzy godziny.

Towarzysz Ślimak wyjechał na placówkę.

Gajowcowi urodziło się dziecko, syn maleńki, z ciemieniuchą, anemią, wywichniętym stawem biodrowym i zapaleniem spojówek. Leży w odrutowanym siatką ze sznurka łóżeczku i nie wie, że należy do uprzywilejowanej klasy rządzącej i że dzięki przychylnym konstelacjom gwiazdnym, które towarzyszyły jego urodzeniu, za lat 18 czy 19 dostanie dodatkowe punkty przy egzaminie na wyższą uczelnię, tak jak wczoraj dostał już 12 pieluch tetrowych, kocyk flanelowy i grzechotkę w kształcie kacuszki od rady zakładowej.

Rollinsonowa chodzi nerwowo ulicą Rakowiecką, od Puławskiej do Niepodległości po stronie parzystej i od Niepodległości do Puławskiej po stronie nieparzystej. Wypatruje syna, który występował przeciw sojuszom państwowej, kolportując wśród uczniów klas dziesiątych liceum Reytana świstek papieru o ważności traktatu ryskiego w świetle międzynarodowego prawa.

– Więc nie ma kworum?

To wcale nie było takie jasne. Należało wybrać komisję-matkę, komisję skrutacyjną, komisję uchwał i wniosków i komisję mandatową, komisję wyborczą, przewodniczących komisji, zastępców przewodniczących, sekretarzy. I żeby było z klucza. Mężczyźni, kobiety, przedstawiciele młodzieży. Weterani walki i pracy. Środowiska twórcze. Robotnicy. I Chłopi.

Katolicy wierzący i niewierzący. Ateiści praktykujący. Wszyscy.

Wybieraliśmy. A tu tymczasem Profesor w brązowej marynarce i komentator przesiedli się bliżej toalety, a dalej od nas, razem, pochyleni ku sobie i pękatym koniakówkom szeptali.

– Ja będę przewodniczącym – rzekł Profesor – prezesem i sekretarzem. Sam dam sobie jedną kreskę, ty dasz mi drugą, a oponentów ZOMO wysiecze.

I wybraliśmy.

A właśnie wpadła się ogrzać stara Kornacka, towarzysz Ślimak niespodziewanie wrócił z placówki, camelami częstuje; wszyscy węgielki żarzące się z popularnych w popielniczkę wytrzepali paznokciem i niedopałki do kieszeni. Gajowiec wdepnął na lufę, bo go suszy po pępkowym, tylko Rollinsonowa nie wróciła, widać syn mocno obciążony, już dwa tygodnie będzie, jak skończył 17, dostał sankcję i może kiblować.

Słowem, było kworum, wybory trzeba unieważnić i wszystko od nowa. A tu komisja-matka nie chciała się rozwiązać, powołując się na konstytucję, manifest PKWN i układy jałtańskie.

– Nie było kworum – powiedział przewodniczący – bo obliczenia były niewłaściwe. Trzeba było liczyć tych, co są, i dodać do tego tych, co ich nie było, a nie liczyć tych, co byli, i odejmować tych, co są.

Piotr miał już dosyć.

– Tu jest – rzekł – z nas trzy paczki, dwa razy po maluchu i sześć browarów. My się zmywamy, bo mamy umówione spotkanie. Będziemy dyskutować najnowsze doświadczenia w dziedzinie wdrażania samofinansowania.

Wyszliśmy. Przed nami, w zimnym świetle jedynej latarni przy rogu Okólnika, leżały okryte pierwszym brudnym śniegiem przepastne rozłogi Foksalu. Od Wisły wiał przejmujący chłodny wiatr, wdzierał się pod kurtkę, a ja, z głową zadartą ku górze, wpatrzony w niebo gwiazdziste nade mną, drżałem pod jego uderzeniami jak trzcina.

– No, co się tak trzęsiesz jak gęsi kuper? – zapytał rzeczowo Piotr. – Dokąd idziemy?

Problem był trudny. Mogliśmy się udać na wschód, w stronę Architektów, gdzie dawali żywiec i nie trzeba było jeść napoleonek. Można też było wyruszyć ku północy, w zakamarki Domu Kultury Radzieckiej, na koniak gruziński Bielyj Aist. Wreszcie za zachód rozpościerał się gigantyczny kombinat Kameralnej, Na Dołku i Nocna od Foksalu i U Węglarzy od Kopernika. Nigdzie nie mieliśmy tylu przyjaciół co właśnie tutaj, na zachodzie. Na Dołku była pani Stasia za barem i kelner zwany Fioletową ostrzegający chętnie przed nieświeżą zakąską. W Nocnej łysy portier Żarówka, który wyłuskał cię zawsze z dobijającego się beznadziejnie do drzwi tłumu, mówiąc, że stolik jest zarezerwowany, i barman Józef dający

na kredyt soplęc. Wreszcie U Węglarzy był kelner Władek, z którym samotny klient mógł się napić i wtedy Władek nie kasował wszystkich kolejek parzystych.

– Zimno mi – powiedziałem. – Uciekamy na południe.

Ruszyliśmy na zachód. U nas zawsze droga na południe prowadzi przez zachód. Na wpół roztopiony śnieg oblepiał z chciwym mlaskaniem nasze buty, pozostawiając na nich białe smugi soli. Przez uchylone okno sutereny Domu Kultury Radzieckiej widać było zamgloną kłębamii pary kuchnię. Za szerokim, okrytym szerniałą ceratą stołem trzy niewiasty, rumiane i tęgie, w chustkach na głowie, z zawiniętymi rękawami białych fartuchów lepily zręcznymi ruchami palców pielmienie. Mięсны farsz poprzątykany czarnymi cętkami majeranku połyskiwał kusząco. Kobiety śpiewały daleko i szeroko: „Ura, ura, ura, Czapajew gieroj, pabiedil, pabiedil, pabiedil wraga, za matuszku Rassiju, za bielowo carja”.

Wytrwale dążyliśmy dalej. Przekroczyliśmy wyniosły wóz Kopernika, którego perspektywę gdzieś w oddali w dole zamykał ciemny, wymarły masyw gmachu Centrali Rady Związków Zawodowych. Przeszliśmy obok oszklonych gablotek Centralnej Agencji Fotograficznej, z których uśmiechał się do nas przyjemnie uśmiechem pokąsanego przez pszczoły pasiecznika pierwszy sekretarz w otoczeniu robotników, minister obrony narodowej w otoczeniu żołnierza i premier w otoczeniu sfer rządowych. Gdy dotarliśmy wreszcie bezpiecznie do Gałczyńskiego, z bramy po drugiej stronie rzucił się ku nam na przełaj, przez jezdnię, jegomość w pelisie gabardinowej, krój lata pięćdziesiąte, z kołnierzem ze sztucznego misia, ostatnim krzykiem mody spółdzielni Astra.

– Miejsce do mięsnego? – zapytał konspiracyjnie. – Pierwsza dziesiątka. Tanio.

– Spadaj – obciął go Piotr.

– To może chemia gospodarcza? – nie ustępował ten w pelisie. – W poniedziałek mają rzucić lakier bezbarwny do podłóg.

– Nie mamy podłóg – skłamałem.

– Tylko dwie stowy – kusił tamten. – W niedzielę będzie drożej. A mogą też dawać bejce orzechową. Albo wywoływacz fotograficzny.

Zostawiliśmy go, chuchającego w przemarznięte dłonie handlarza nadzieją na kielbasę staropolską, bok wędzony i farbę asfaltową do ochrony podwozi samochodowych przed korozją.

Skręciliśmy nareszcie w Nowy Świat. Tu zaczynała się cywilizacja, metropolia, kultura i w ogóle Europa. Już na obu rogach, przy Foksalu i przy Rutkowskiego dawniej Chmielna, można było nasycić pierwszy głód plackiem kartoflanym, drugi głód frytkami, a trzeci głód bułką nadzianą pieczarkami w ramach zielonego światła dla sektora prywatnego. Powietrze

nawet pachniało cywilizacją, spalinami i przypalonym olejem rzepakowym.

A dalej już wielkomięjski gwar i szyk, Paryż północy, Helsinki południa, Leningrad zachodu, Trakt Królewski i ulubione miejsce spacerów warszawiaków. Brnęliśmy więc tym Traktem Królewskim, przemykając między przyzmiami śniegu. Znad krawężnika wabiły nas szeroko otwarte drzwi autobusów: 107, 116, 122, 125, 144. Tablice przy drzwiach oferowały rozkosze podróży: plac Zwycięstwa, plac Komuny Paryskiej, Powązki. Autobusy zasłaniały nam i odsłaniały bujne życie drugiej strony Nowego Świata, neony Sabeny i zegarków radzieckich, wieńce wiązanki kwiaty i zapocone szyby i baru kawowego, do którego zwykli, szarzy ludzie przychodzili oglądać pedałów, którzy tu nie przychodzili, ponieważ uważało się powszechnie, że przychodzą same pedały.

Byliśmy gdzieś w połowie drogi między barem kawowym Piotruś a barem kawowym Janeczka, mniej więcej na wysokości komisju Jubilera, i można było mieć nadzieję, że już wkrótce dotrzemy do sklepu firmowego Wólczanki, sprzedaż koszul po dwie sztuki jak leci, bez względu na krój, kolor i numerację.

I właśnie wtedy Piotr ustał.

– Nie dam rady – wyrzeźił. – Zatyka mnie.

Weszliśmy do Janeczki jak w dym. W środku było ciepło może nawet gorąco. Było też pustawo, a właściwie szczerze mówiąc, całkiem pusto. Przewieszona przez szynkwias, łokciami oparta o nowoczesny wystrój z płyty laminowanej leżała samotnie wśród luster, gablotek i pustych puszek po zagranicznych sokach cytrusowych bufetowa. Leżała tak studiując gazetę „Ekspress Wieczorny”, spod przykrótkiego fartucha wystawał jej rąbek białej halki, a bliźniacza koronka jak cierniowa korona otaczała jej ufarbowane na żółto włosy nad męczeńską twarzą socjalistycznej świętej. Podniosła na nas znad gazety zbielące oczy, w których przeczytać można było tytuły informacji. I przeczytałem, że polityce konfrontacji przeciwstawiamy porozumienie narodowe, że na bazarze Rózyckiego skonfiskowano towary wartości dwóch milionów złotych i że śledztwo w sprawie wystąpienia Mariana Jurczyka w Trzebiatowie nadal trwa.

– Dwie wódki z kury – zadysponował Piotr.

Bufetowa podreptała na obrosłych żyłakami nogach, zdjęła z półki jedyną butelkę curacao orange, napełniła raz i rugi oklejona do stosownej wysokości plastrem lekarskim bez opatrunku menzurkę i naląła zawartość do dwóch koniakówek.

– A do tego? – zapytała, przysuwając nam kieliszki.

– Dwie kawy.

– Cukier wyszedł.

– To bez cukru.

Ekspres zasyczał zjadliwie, puścił parę niczym wąskotorówka do Rembertowa i wypluł z siebie trochę ciemnej cieczy.

– A do tego? – zapytała bufetowa, podając nam kawę.

– O Boże – westchnął Piotr. – A co może być?

– Mogą być napoleonki.

– Więc niech będą dwie napoleonki – zdecydował za mnie, za Piotra, za bufetową ktoś, kto chciał nas wszystkich uchronić przed pijaństwem. – Niech je pani zapakuje w papier i zabierze dla dzieci.

Bufetowa wzruszyła ramionami.

– Moje dzieci nie jedzą napoleonek – powiedziała bez uśmiechu. – Moje dzieci rzygają na sam widok napoleonki. A co ja im mogę stąd przynieść? – Machnęła ręką i znów zagłębiła się w „Ekspressie”.

Wypiliśmy słodki likier, popili gorzką kawą i wzmocnieni ruszyliśmy w dalszą drogę tak szparko, że już wkrótce byliśmy przy Smolnej.

– Dobry wieczór – powiedział nam ktoś łagodnie, ale dobitnie, prosto w twarz, że stanęliśmy w miejscu, jeszcze trochę przebierając z nawyku nogami. Przed nami w łagodnym świetle zimowego nieba stał młodziutki funkcjonariusz milicji obywatelskiej w schludnym mundurze służbowym, jego gładko wygolona twarz, pas główny, raportówka, pałka i pochwa giwery lśniły regulaminowo wspaniałym blaskiem praworządności i pewności siebie.

– Dobry wieczór – powtórzył. – Proszę obywateli na bok.

Skręciliśmy za nim posłusznie w ciemny podjazd sąsiedniego budynku, między dwie oficyny, tę po prawej, w której mieściła się apteka, i tę po lewej, gdzie miał siedzibę klub robotników piszących. Robotnicy niepiszący nie mieli swego klubu. Między klasycystycznymi kolumnami pałacyku, gdzie najpierw był urząd stanu cywilnego, potem Federacja Socjalistycznych Związków Młodzieży, teraz Związek Młodzieży Wiejskiej, a nikt nie wiedział, co będzie jutro, czekał na nas drugi milicjant, też młody, też schludny i też błyszczący. Opierał się niewymuszenie i ze swobodną elegancją o kolumnę, z której oblażyły resztki plakatów, jednego wzywającego do strzeżenia suwerenności i integralności terytorialnej i drugiego nawołującego do uwolnienia Naroźniaka.

– Dowodziki poproszę – zadysponował Milicjant Pierwszy i też oparł się wytwornie o kolumnę podtrzymującą trójkątny tympanon z wrytym wewnątrz okiem Opatrzności czuwającej tym razem nad młodzieżą wiejską, owocem nieprawego związku starego systemu z nową Odnową. Nerwowo przeszukiwaliśmy kieszenie, wyciągając karty zaopatrzenia, bony

na benzynę, bony dolarowe na wódkę, przepustki zaświadczenia, legitymacje, jednym słowem mnóstwo papierów, bez których obywatel nie powinien, nie mógł i nie odważał się wyjść z domu. Wreszcie odszukaliśmy i dowody gdzieś na dnie kieszeni, rzeczy najmniej potrzebne, bo nie można było na nie kupić ani proszku do prania, ani sera żółtego, ani cukru. Milicjant Pierwszy wziął je ostrożnie, może nawet z odrazą do ręki, nie otwierając wetknął za mankiet płaszcza i popatrzył na swego kolegę. Kolega popatrzył na niego i obaj pokiwali głowami.

– No tak – rzekł Milicjant Drugi. – Wszystko jasne.

Spuściliśmy głowy i staliśmy w milczeniu zawstydzeni.

Istotnie, wszystko było jasne aż nad miarę.

– I dokąd to? – zapytał Milicjant Pierwszy bezosobowo, ale my od razu zrozumieliśmy, że nie pyta swego kolegi Milicjanta Drugiego ani nawet Związku Młodzieży Wiejskiej, pod którym staliśmy, tylko nas, i że to nie Milicjant Drugi ani Związek Młodzieży, tylko my właśnie musimy udzielić wyczerpującej, wiarygodnej, a może nawet prawdziwej odpowiedzi.

– My tylko tak, panie przodowniku – tłumaczył się Piotr.

– Duszno było, wysiedzieć trudno, wyszliśmy z kolegą na przechadzkę, zażyć tego, jak to mówią, świeżego powietrza.

– Kto mówi? – strzelił pytaniem Milicjant Drugi.

– Gdzie trudno wysiedzieć? – poparł go Milicjant Pierwszy.

– Ja tylko tak ogólnie – plątał się beznadziejnie Piotr. – Ja bynajmniej. Tylko dla zdrowia.

– Chorzy jesteście? – zaniepokoił się milicjanci.

– Ale broń Boże – szedł Piotr w zaparte. – Ja i chory?

W życiu nigdy. Tak nam trochę przed wieczorem w krzyżu strzyka, a jak na zmianę idzie, to kolana puchną.

– To, proszę pana... – powiedział niespodziewanie Milicjant Pierwszy, ale to już nie był milicjant, tylko czerwony na gębie, czerstwy chłopak w wysokich butach pilśniakach, kufajce i czapce bandytce, od którego pachniało gnojem, mlekiem i chlebem domowego wypieku – ...reumatyzm. Na reumatyzm najlepsze pokrzywy. Mój tatuś na reumatyzm nogi sobie pokrzywami okładał i szklankę spirytusu na pokrzywach wypijał. Jak ręką odjął.

– A panowie, ma się rozumieć, warszawiacy – stwierdził raczej niż zapytał Drugi, też już nie milicjant, ale młodzieniec w kurtce sukiennej dwurzędowej i poszarzałych ze starości gumiakach.

– Warszawiacy – potwierdził Piotr, aczkolwiek sam urodził się w Wilnie, matka

pochodziła z Budzilek powiat Troki, a ojciec z Petersburga.

– Bo my jesteśmy przyjezdni – z zawstydzeniem wyznał Pierwszy, chowając ręce za siebie. – Z Pniew nas przenieśli.

– My sąsiedzi. – dodał Drugi. – Kolega jest ale z Posadowa, a ja znów z Pękosławia. Panowie znacie Pniewy?

– Nie mieliśmy przyjemności – stwierdził z żalem Piotr.

– Pięknie tam u nas – rozmarzył się Pierwszy. – W lipcu, jak zboża dojrzewają, wyjdzie człowiek w pole, skowronek mu śpiewa. Musicie panowie przyjechać, zobaczyć.

– Przyjedziemy – zapewnił go Piotr.

– Jak przyjdziecie – Pierwszy był wzruszony – pytajcie o Staśka. Mnie tam wszyscy znają.

– A tutaj – wtrącił przytomnie i trzeźwo Drugi – my nikogo nie znamy. Dopiero trzeci dzień, jak na patrole chodzimy.

– Pić się chce – przerwał Pierwszy i uderzył się kantem dłoni w szyję. – Do knajpy w mundurze nie wypada, kartek nie dali, psiakrew.

– Zimno – uzupełnił Drugi.

– Jednym słowem dwa słowa – podsumował zrećźnie Pierwszy – nie wiecie panowie, gdzie tu można flaszkę kupić?

Teraz dopiero Piotr się odprężył, ucieszył, rozradował skoczył w górę i plasnął w dłonie.

– To proste – rzekł – jak drut. Tamka 27, pierwsze piętro drzwi na prawo. Wiecie wy, chomąty, gdzie jest Tamka?

– Nie – powiedzieli chórem.

– To słuchajcie, ciemniaki – klarował Piotr. – Pierwsza: w prawo, druga w lewo i znów w prawo to będzie Tamka. Po prawej stronie, na wprost lokalu Żłota Kaczka, jest numer 27. Jasne?

– Jasne – odpowiedzieli.

– Dzwonić dwa razy krótko, raz długo. Pytać o lekarstwo dla ciotki. Zrozumiano?

– Zrozumiano – odpowiedział Pierwszy, widać bardziej bystry. – W prawo, w lewo i znów w prawo. Bóg zapłać za pomoc.

I za mankiet płaszcz milicyjnego sięgnął, dowody nasze nieotwarte wyciągnął, palcem w nie postukał.

– To co z nimi zrobimy? – zapytał Drugiego.

– A puść ich – z lekceważeniem, z machnięciem ręki, z grymasem zniechęcenia odparł Drugi.

– No – Pierwszy podał nam dowody – żeby mi to było ostatni raz. Jasne?

– Jasne panie posterunkowy – żarliwie zapewniał Piotr. – Dziękujemy bardzo, panie sierżancie. Dobranoc, panie chorąży.

– To znikajcie – powiedział opryskliwie Drugi. – No już, bo się rozmyślę.

Pomknęliśmy krótkim, koślawym kłusem w Nowy Świat, przemknęliśmy obok apteki i zatrzymaliśmy się dopiero za Smolną. Tam stanęliśmy, ale ostrożnie, na palcach, nastawiając uszy, i zapaliliśmy, czekając, aż uspokoi się oddech, serce zacznie bić normalnie, oczy przestaną łzawić.

Przed nami leżały rozległe przestrzenie ronda Alei Jerozolimskich, po których hulał wiatr, szarpiąc bezkarnie czerwoną flagę umieszczoną na szczycie gmachu KC. Staliśmy, patrzyliśmy w zamgloną dal wiaduktu Trzeciego Maja, na szarą bryłę gmachu Muzeum Narodowego, gdzie podobno dyrekcja trzymała w magazynie dwunastu śpiących rycerzy, którzy mieli przywrócić Polsce niepodległość, na restaurację Sofia, specjalność zakładu kotleciki z makaronu, na pobliski pomnik martwego partyzanta i jego ciągle żywej matki. Staliśmy, patrzyliśmy, wreszcie Piotr rzucił niedopałek na ziemię i rozduśił go obcasem, goniąc po chodniku niesione wiatrem iskry.

Musieliśmy podjąć decyzję: przedostać się na drugą stronę Nowego Świata, pod gmach Międzynarodowego Klubu Książki i Prasy ozdobiony napisem głoszącym, iż cały naród buduje swoją stolicę, by po stronie zachodniej przekroczyć Aleje Jerozolimskie i znaleźć się pod budynkiem Polskiej Agencji Prasowej, czy też przekroczyć najpierw Aleje po stronie wschodniej, aby otarłszy się o Dom Partii, przejść Nowy Świat i znaleźć się znów pod Polską Agencją Prasową.

Ruszyliśmy stroną wschodnią. Przedarłszy się przez szyny tramwajowe, znaleźliśmy się oko w oko z białym domem zbudowanym z cegiełek ochotniczo potrącanych z pensji robotnikom, tym zabitym w '56 w Poznaniu, tym zastrzelonym w '70 roku w Gdańsku, tym przepuszczonym przez ścieżki zdrowia w '76, tym strajkującym w '80 w Gdyni, Lublinie, Świdniku, na Śląsku i w Szczecinie. To był solidny gmach, spojony przez łzy i krew, którego sale i pokrętne długie korytarze wypełniały szepty, porozumiewawcze mrugnięcia, uściski dłoni wymieniane pod zielonym sukniem stołów syfony z wodą sodową, popiersia Lenina i dywany tłumiące skradające się kroki.

Budynek leżał samotnie i bez ruchu jak okręt rzucony na miasto, oświetlony kilkoma ogarkami okien. Czerwona flaga szarpała się beznadziejnie na wietrze i było tak cicho, że słyszeliśmy, jak partia konsoliduje się i umacnia. Nagle na pustym parkingu coś się poruszyło.

– Cśś – zaszeptał ktoś, z ciemności wyłoniła się biała dłoń i pokiwała na nas gorączkowo. Podeszliśmy bliżej. Na asfalcie, obok kamiennego obramowania podjazdu, z uchem przyciśniętym do ziemi leżał człowiek dostatnio, a nawet starannie ubrany, a także porządnie odżywiony. Dał znak ręką, stanęliśmy, uniósł się na kolana, podeszliśmy znów bliżej.

– Jeszcze nie – wydyszał.

– Aha – powiedział Piotr ze zrozumieniem. – Ale co?

– Ruscy – wyjaśnił klęczący. – Jeszcze nie idą.

Klęczał przed nami, oczy płonęły mu proroczym blaskiem.

– Nasłuchuję. Dzień i noc. I ciągle nic. Ciągle nie nadchodzą. Ale oni przyjdą – rozkrzyżował ramiona niby skrzydła kruka. – Przyjdą na pewno. Będzie czwarty rozbiór Polski. Przez was. Przez takich jak wy. Przez anarchistów, warcholów, agentów, kontrewolucję.

Ukrył twarz w dłoniach, ramionami jego wstrząsało łkanie. Nagle wyprostował się, rozdarł płaszcz na podpince, marynarkę flanelową, koszulę i wreszcie podkoszulek siatkowy, odsłaniając pierś.

– Weto! – zawołał. – Nie pozwolę! Na kolanach pójdę prosić za moją ojczyznę! Za moją biedną, umęczoną ojczyznę!

I na kolanach, jak obiecał, powłókł się w stronę mostu Poniatowskiego. Jego krzyki – „zdrada”, „Targowica”, znów „zdrada” – plątały się pod podcieniami gmachu, spływały w dół między drzewami parku Kultury i Wypoczynku i niknęły gdzieś w zakamarkach Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy Rozbrat.

– Wariat? – zapytał Piotr i zaraz sam sobie odpowiedział:

– Nie, to człowiek nawiedzony.

Przeszliśmy przez Nowy Świat, na ukos, ukradkiem, i wychynęliśmy po drugiej stronie, przy szarej ścianie gmachu Banku Gospodarstwa Krajowego, w którego hallu można było, odkąd ekonomię zamieniono u nas na ekonomię polityczną, kupić zielone ze szlachetnym przeznaczeniem na wódkę Żytnią, wódkę Wyborową lub wódkę Polonez, zależnie od gustu i statusu majątkowego. Było już po siódmej, bank PKO zamknięty, konie i urzędnicy poszli do domu i choćbyśmy byli gotowi dać nie osiemset, ale tysiąc złotych na jednego miękkiego, nawet dwa tysiące – nic z tego. Zdrowy rdzeń społeczeństwa i pasożytujący na nim element pospólnie korzystali z wypoczynku po całodziennej pracy. Pokrzepieni konstatacją, iż niezbywalne prawa człowieka do czasu wolnego, który poświęcić można na rozwój wszechstronnej osobowości i pozazawodowych zainteresowań, są u nas tak doskonale

realizowane, iż obejmują najszerze kręgi społeczeństwa, mieliśmy już ruszyć dalej, kiedy wysoko, gdzieś na trzecim, a może nawet czwartym piętrze, zaskrzypiało żałośnie otwierane okno.

Ktoś nie spał, aby spać mógł ktoś.

Z okna na trzecim, a może czwartym piętrze wychylił się ktoś, niezanadto i całkiem bezpiecznie.

– Obywatele! – zawołał, a światło jarzeniówki otoczyło, jego głowę niczym aureola. – Obywatele, zatrzymajcie się! Nie pędźcie tak na oślep! Słuchajcie!

Stanęliśmy i zadarliśmy głowy w górę, słuchaliśmy więc uważnie.

– Obywatele, tu Polska Agencja Prasowa! – krzyczał wychylony niezanadto przez papierową tubę zrobioną może z „Trybuny Ludu”, a może z „Żołnierza Wolności”. – Ekstrema „Solidarności” szaleje! Trwają strajki w Żyrardowie, Tamobrzeskiem i w Zielonogórskim. Mimo uchwały sejmowej strajkuje Wyższa Szkoła Inżynierska w Radomiu. Jednak rektor pułkownik Hebda trwa na stanowisku.

Pomalutku, na palcach, zaczęliśmy się dyskretnie oddalać.

– Obywatele! – wołała Polska Agencja Prasowa. – Nie zatykajcie uszu! Słuchajcie uważnie. Rozszerzono skład Biura Politycznego i sekretariatu. Generał broni Florian Siwicki został zastępcą członka.

Puściliśmy się truchtem. Gonił nas zamierający głos wołającego:

– Libera! Barcikowski powiedział, że w warunkach naszego ustroju nie rokuje nadziei porozumienie, w którym ktokolwiek z jego uczestników będzie negował przewodnią rolę partii. Oczywiście pozostawienie kogokolwiek poza porozumieniem nie może zwalniać go od kierowania się ogólnymi racjami...

W tym momencie przebiegliśmy Mysią, dopadliśmy szczęśliwie drzwi restauracji Złota Rybka. Wewnątrz było przytulnie, kiszkowatą salę wypełniała drewniana konstrukcja mająca imitować rybacki szkuner, sufit zawieszony był siecią, w której tkwiły pomalowane lakierem bezbarwnym zwłoki langust, homarów i karmazynów.

– Szatnia obowiązkowa – przywitał nas szatniarz z nosem starego bosmana. – Panie kierowniku, goście przyszli.

Zza kotwicy opartej o filar wyłonił się kierownik, w czarnej marynarce, czarnej muszce, z czarnym wąsikiem i w marynarskiej czapce.

– Miejsc nie ma – rzekł obcesowo, obejrzał nas starannie i skonstatował: – Mogę dokwaterować.

Poprowadził nas życzliwie przez salę, po drodze udzielając szeptem pożytecznych

wskazówek.

– Tylko ostrożnie – mówił. – Stali goście. Korespondent „Prawdy”, prezes cenzury i redaktor naczelny „Rzeczpospolitej”.

W najciemniejszym kącie, tam gdzie zbiegały się wręgi szkunera, pod wyblyszczonym miedzią okrętowym bulajem siedziało trzech panów. Każdy był między trzydziestym a sześćdziesiątym rokiem życia, każdy uczesany z przedziałkiem, każdy staranny, wygolony, schludny, po prostu niedotykalny. Przed nimi na białym obrusie stała butelka wódki i trzy kokilki z flaczkami z kalmarów.

– Czekają na nas – stwierdził Piotr. Istotnie, na to wyglądało. Butelka była nienapoczęta, flaczki z kalmara nieruszone.

Siedliśmy.

– Są siły – powiedział bez żadnych wstępów i wyraźnie do nas redaktor naczelny „Rzeczpospolitej” – związane z „Solidarnością”, dla których ciągła destabilizacja systemu polityczno-gospodarczego Polski jest, jak się okazało w praktyce, nadrzędnym celem ich istnienia i działania.

– Dobrze powiedziane – poparł go prezes cenzury.

– „Solidarność” – mówił, i ciągle do nas, redaktor naczelny – jest mocno w sobie skłócona, a interesy jej działaczy niewiele mają wspólnego z interesami członków.

– Dopuszcza się do publikacji – oświadczył prezes cenzury.

Piotr chciał coś odpowiedzieć i ja nawet wiedziałem wówczas z całą pewnością co, i była to odpowiedź jasna, klarowna i uczciwa, ale prezes walnął w stół pięścią, aż podskoczyły kokilki, aż zahuściła się u sufitu lampa naftowa z żarówką sto wat w środku.

– Nie dopuszcza się do publikacji! – krzyknął. – Od powyższego przysługuje obywatelowi odwołanie w terminie 14 dni do Najwyższego Trybunału Administracyjnego.

I Piotr spuścił głowę.

– Demokracja – wymamrotał.

– Prawdziwa – dorzucił prezes.

– Sprawiedliwość – wybąkał Piotr.

– Klasowa – wtrącił prezes.

– Praworządność? – zapytał już Piotr.

– Socjalistyczna – uśmiechnął się prezes.

– Socjalizm! – krzyknął z rozpaczą Piotr.

– Realny – zatriumfował prezes i wymownym gestem j skierował w dół kciuk.

A tu korespondent „Prawdy”, który drzemał sobie spokojnie niczym na plenum, nagle się

ożywił.

– Nie pieprzyć! – zawołał. – Naliwaj stakany!

Redaktor naczelny zerwał się, napełnił szklanki od mineralnej wódką.

Wypiliśmy na raz, powąchali chleb.

– Ach wy, Paljaki – korespondent rozpostarł ręce szeroko, jakby zamierzał nas wszystkich objąć i przytulić. – Wy wielka nacja. Kultura u was jaka. Ja się nadziwić nie mogę. A ludzie u was jacy nachodzą się. Przewaschodni. Ten Wałęsa, on taki gordyj czelowiek. Jak ja go widział w Gdańsku i on mi rękę podał, tak ja płakał.

Korespondent „Prawdy” chlipnął teraz i raz, i drugi, sięgnął po serwetkę i głośno wysiakał nos.

– Ja prosty, ruski czelowiek – ciągnął dalej, ocierając oczy. – U mnie dusza szeroka, stepowa. Ja was ljubju, Paljaki.

Powiódł po nas zażwionym wzrokiem i wbił go w Piotra.

– Pan, a ty gardzisz Ruskim. Ach wy, Paljaczki, mordy wam bić, swołocz, jebana mać wasza!

Ręce zacisnął w pięści, a za nim zacisnęli ręce w pięści redaktor naczelny i prezes cenzury.

– Czelowiek! – wrzasnął korespondent. – Płacić!

– Płacić! – zawtórował mu prezes.

– Płacić! – dorzucił redaktor naczelny.

To wisiało w powietrzu. Znów zapłaciliśmy za wszystkich i wyszliśmy.

Ponownie zapuściliśmy się w wąwóz Nowego Świata zwisający nad nami urwiskami szklanych domów. Przez szklane mury wyglądało na ulicę codzienne życie warszawiaków, ściany z Matką Boską Częstochowską, kolorowym zdjęciem Jana Pawła II, wpięte w makatki znaczki „Solidarności”. Między jednakowymi wyszkowskimi regałami przechadzała się Nadzieja, muskając główki klęczących przed Czarną Madonną małych dzieci modlących się za Wałęsę, za wolność, za naród, modlących się za nas, za mnie i za Piotra. Ich głosy mieszały się z melodią „Petit Fleur” graną uporczywie od lat przez Murzyna Sidneya Becheta, który umknął przed rasistowskim uciskiem z Nowego Orleanu do Paryża. Spod tej melodii z trudem przebijał się przegląd prasy zachodniej ze znów aktualnym zawołaniem liberalnych intelektualistów: „Nie chcemy umierać za Gdańsk!”.

Sunęliśmy wąską ścieżką Nowego Świata zawieszoną w ten grudniowy wieczór między życiem i umieraniem i nie wiedzieliśmy, czy to my idąc, tworzymy historię, czy to historia gna nas smagnięciami mroźnego wiatru. Nie było to jednak takie ważne, skoro szliśmy na

wódkę, szliśmy popatrzeć na siebie przez załamujące światło szkło, szliśmy powiedzieć wreszcie sobie – kiedy już rozleje się w nas bezwietrzny, przytulny spokój, a jeszcze zanim przepali się do cna, uwalniając zaciśnięte pięści i odwieczne pytanie „Co się gapisz?”, na które odpowiedzią może być tylko przywalenie w pysk – że wierzymy. Wierzymy w prawdę, honor, uczciwość i takie różne jeszcze dyrdymały, którymi wycierał sobie na co dzień gębę byle pismak w każdej szmacie, kiedy potrzebował uzasadnić wielkość kolejnego wodza klasy robotniczej.

Wiara ta towarzyszyła nam w wędrówce, zastanawiające było jedynie, czemu aby ją wyznać, potrzebowaliśmy wyzbyć się pierwszej jakiegóż dziewiczej wstydlivosti, potrzebowaliśmy się uchlać, rozmazać twarze potem i dawaniem gęby, gdy innym przychodziło to bez trudności na trzeźwo.

– Kurwa mać – powiedział Piotr.

Musiałem przyznać mu całkowitą rację.

Tymczasem weszliśmy w plac Trzech Krzyży, którego szerokie rozlewisko przedzielone było geometryczną, spokojną, uśpioną o tej porze bryłą kościoła św. Aleksandra. Piotr palcem wskazał bliższą, skromniejszą rotundę szaletu publicznego postawionego jeszcze przed wojną na wzór paryskiej elegancji. Istotnie, był najwyższy moment, nie przed wojną, ale teraz i dla nas.

Weszliśmy między żelazne ściany mrocznego labiryntu. Owionął nas uspokajający, rzetelny wprost zapach moczu całych pokoleń. Biło od niego wyczuwalne ciepło pojednanego narodu stojącego okrakiem i grzebiącego w rozporku, przy czym to, czy rozporek ów zapinany był na guziki, czy na zamek błyskawiczny, stanowiło jedynie przynależne demokracji piętno pluralizmu.

– Tutaj – rzekł Piotr, rozstawiając kupione na ciuchach buty wojskowe dokładnie tak samo, jak przed pięćdziesięciu laty rozstawiali oficerki od Hiszpańskiego młodzi porucznicy szwoleżerów – czuję naprawdę naszą przynależność do kultury zachodniej.

W metalowej ścianie pokrytej rdzawym nalotem lśniły wydrapane mozolnie napisy, owoc krótkotrwałej refleksji tych, którzy byli tu przed nami. „Na kapuście rosną liście, nie daj dupy komuniście, jak się partia o tym dowi, to ci dupę upaństwowi” czy „Tu robi się ser dla ZSRR” reprezentowały poezję. W dziale sztuk plastycznych wyróżniała się szubienica z wiszącą na niej pięcioramienną gwiazdą. Podpis głosił, że jest to Jaruzela.

– Bibuła? – odezwał się za naszymi plecami przejmujący szept. – Prosto z Katowic.

W płaszczu z podniesionym kołnierzem futrzanym, w kapeluszu mocno nasuniętym na czoło emisariusz Śląska nie odcinał się od gęstego mroku rotundy. Z ciemności blado świeciła

wyciągnięta dłoń z ulotką formatu A-4. Piotr konspiracyjnie chwycił ulotkę, tak konspiracyjnie, jakby w ogóle niczego nie chwycił, i dyskretnie, na palcach wysunął się na ulicę. Podążyłem za nim. Przeszliśmy przez jezdnię i stanęliśmy pod latarnią, obok budki Ruchu opatrzonej stałym i starannym napisem „Papierosów i zapalek brak”.

Piotr rozpostarł ulotkę i czytał głośno:

– Domagamy się przywrócenia do czynnego życia politycznego towarzysza Tadeusza Grabskiego, który swą bezkompromisową postawą przed i po IX Zjeździe, a także w przeszłości zasłużył sobie na pełne zaufanie i poparcie jako wierny syn klasy robotniczej stojący w pierwszym szeregu oddanych sprawie socjalizmu ludzi, w imieniu prawdziwych patriotów i rzetelnych komunistów polskich podpisał Wsiewołod Wołczew.

– Bzdura! – krzyknął nagle ktoś, kto niespodziewanie wysunął się spod kolumnieniek u wejścia do redakcji tygodni „Szpilki”, jedyne prorzadowe pisma satyrycznego w Europie. – Idiotyżm. Wołczew? A jak on się nazywał przedtem?

Był to mężczyzna w sile wieku, słusznej tuszy, ostrzyżony na ujmującego wprost języka nad okrągłą, błyszczącą gębą Wyszarpnął Piotrowi ulotkę z ręki, poszarpał ją, cisnął na ziemię, podeptał i, uspokojony, wydobyl z kieszeni niewielkich rozmiarów książeczkę.

– A tego – spytał obcesowo – oczywiście nie znacie? – Tytuł „Inwazja upiorów” nic nam nie mówił, więc potrząsnęliśmy przecząco głowami.

– Właśnie – triumfował. – Nie znacie. „Protokołów mędrców Syjonu” też pewnie nie znacie? Ale czujecie, musicie czuć, że anonimowe mocarstwo już i po was wyciąga mace swoje i macki. Popatrzcie wokół, co się wyprawia.

Popatrzyliśmy. Wokół było pusto, spokojnie, cicho, tylko zegar Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych wybił akurat dziewiątą.

– Głupcy – pokiwał z politowaniem głową. – Wciągają was w grę, żeby waszymi rękoma wyciągać z mętnej wody brudne kasztany, stare lisy kute na wszystkie cztery łapy.

Z jednej strony Mordechaj Rakower, stary mason, a z drugiej komandosi Begina ze znaczkami „Solidarności”. A wy, dumie, pośrodku, odbijacie się od ściany do ściany, żeby oni mogli podzielić się władzą i pieniędzmi. Bez was.

– Bez nas? – zdziwił się Piotr.

Mężczyzna popatrzył na nas uważnie.

– No, może nie bez was, tylko bez nas – poprawił się. – Bez prawdziwych uczciwych patriotów, co to Psie Pole, Cedynia i Siekierki, Kościuszkowo na nas z nieba, w duszy Szopen gra.

– Szopen – wyjaśnił uprzejmie Piotr – nie kwalifikuje się nawet do półfinału.

– A to czemu? – zainteresował się mężczyzna. – Prawda, że był trochę Francuz, ale wiadomo: Polak, Francuz dwa bratanki.

– Trochę był Francuz – rzekł Piotr stanowczo – a trochę Jankiel. Matka się wychrzciała.

– Bluźnierca! – wykrzyknął mężczyzna, osłaniając się szalikiem ze sztucznego jedwabiu milanowskiego w turecki wzorek niczym togą. – Plugawiciel!

Zatoczył się nagle, osłabły, wsparł o kolumnę i mamrotał niewyraźnie, dysząc ciężko:

– Wszystko chcą nam odebrać, wszystko. Kopernika, Stwosza, Jana z Kolna, Piłsudskiego i Bieruta. Ubić rytualnie i przerobić na macę.

Widocznie odzyskał siły, bo wyprostował się i krzyknął z mocą:

– Syjoniści do Syjamu!

Uciekliśmy pośpiesznie.

Gonił nas przejmujący jęk:

– Niech żyje narodowy socjalizm ze Związkiem Radzieckim na czele!

– To noc proroków i wariatów – stwierdził Piotr, gdy oddaliliśmy się już na dość bezpieczną odległość. I natychmiast wyciągnął z tej konstatacji wniosek praktyczny: – Warto by się napić.

Akurat rysował się przed nami biały płatek kawiarnianego ogródka zostawiony tu przez zapomnienie od jesieni, a w jego głębi wąska szczelina drzwi prowadzących do kawiarni Antyczna, dawniej U Marca. Wsunęliśmy się do środka. I tu było zupełnie pusto, w półmroku, pod napisami „Szatnia obowiązkowa” i zaraz poniżej „Szatnia nieczynna”, siedziało dwóch zwróconych do siebie profilem starszych panów ubranych ze staroświecką elegancją, w jasnych łosiowych kamizelkach pod ciemnymi marynarkami, szczupłych tą dobrze zakonserwowaną chudością, z wystającymi nosami i jabłkami Adama. Siedzieli jak zastygli, jakby byli częścią umeblowania, i pozostawało zagadką, jak to się działo, że filiżanki z herbatą pod sztuczną stokrotką w nadtłuczonym wazoniku wciąż dymiły.

Usiedliśmy i my, nie zdejmując kurtek. Po chwili na rozklepanych płaskich stopach przydreptała do nas zmęczona starzejąca się pod wieczór kelnerka.

– Nic nie ma – powiedziała, nie patrząc nam w oczy.

– A co jest? – spytał Piotr.

Machnęła ręką.

– Jest litewski balsam ziołowy.

– Dwa poproszę.

Ruszyła, wciągając głowę w ramiona, ku marnie oświetlonemu bufetowi pod wielkim, niegdyś kryształowym lustrem. W ciszy kawiarni jej kroki dźwięczały pojedynczo i nierówno,

jak w porannej mgle kroki konia zaprzęgniętego do pierwszego jesiennego wozu z węglem.

Nie mówiliśmy nic w tej ciszy, bo trwała i była błogosławił na i można w nią było uciec z tej drugiej ciszy, ulicznej, rozbijającej się o wnęki bram i zapory okien, rozwieszanej nad miastem tumanem ziębiącym koniuszki palców. Starsi panowie siedzieli nieporuszeni, spokojni, nieczekający na nic prócz godziny zamknięcia czy raczej, o tej porze, godziny otwarcia. Kątem oka widziałem wyraźnie ich starannie przyczesani siwe włosy, dłonie pokryte brązowymi starczymi plamkami, sino-czarne wstążki aksamitek przecinające ukośnie klapy marynarek. Kelnerka wróciła do nas, niosąc brązową kamionkową butelkę z nieco ciemniejszym, ale też kamionkowym korkiem i dwie szklanki. Postawiła szklanki, zabełtała butelką, nasłuchując zawartości, i połała nam szczerze do pełna.

– Chciałem dwie zwykłe lufy – powiedział Piotr.

Wzruszyła ramionami.

– To i tak wszystko jedno – rzekła. Zabrzmiało to bardzo przekonująco, tak przekonująco, że sięgnęliśmy po szklanki i pociągnęli po słusznym łyku. Gardło i nozdrza wypełnił mi gorzki zapach piołunu, macierzanki i jodyny, żołądek skurczył się na chwilę i skoczył ku górze, łapiąc powietrze. Zakaszlałem i aby pokryć zmieszanie i wstyd, pod czujnym okiem Piotra spojrzałem ostentacyjnie na zegarek.

– Już późno – stwierdziłem, krztusząc się jeszcze.

– Dla nas jeszcze nie. Ale dla tych tam – brodą pokazał starszych panów nad dymiącymi szklankami herbaty – dla nich jest bardzo późno. Może już za późno.

Spojrzałem raz jeszcze i dopiero teraz dostrzegłem, jak bardzo jest późno. Zobaczyłem wytarte, postrzępione kołnierzyki koszul o niemodnym kroju, nicowane marynarki, nawet strzępek okrwawionego papieru przylepiony do brody w miejscu, w którym prowadzona niepewną ręką brzytwa zadrasnęła skórę. Dostrzegłem sztywność stawu kolanowego przebitego odłamkiem gdzieś na zakurzonym polu pszenicy pod Piedimonte czy może wśród niskich rozłożystych jabłoni w Normandii i nienaturalny blask wycelowanego we mnie szklanego oka wystrzelonego przez snajpera podczas szturmowania Pasty.

Wypiliśmy resztę gęstego, obrzydliwego balsamu litewskiego i wyszliśmy, ścigani milczeniem dwóch pochyłonych ku sobie i ku ziemi starszych mężczyzn i pełną rezygnacji obojętnością kelnerki.

Szliśmy już teraz zamasyście, przedzierając się przez pustkowiec placu Trzech Krzyży jak przed dżunglę, tnąc na przełaj zarośla ulicznych malowanek, pod czujnym okiem wąskich niczym średniowieczne strzelnice, pustych i martwych okien długiego gmachu Komisji Planowania. Zostawiliśmy za sobą rotundę kościoła św. Aleksandra z uchylonymi lekko

wierzejami, przez które sączył się uspokajający miodowy blask wieczornej, samotnej rozmowy z Bogiem.

Przeszliśmy przez Mokotowską i jednym skokiem, koło sklepu z talerzami i kawiarni Ujazdowskiej, znaleźliśmy się w Alejach osłoniętych przed niskim zachmurzonym niebem dwoma rzędami wyniosłych secesyjnych kamienic otwierających perspektywę na rozpostartą ku południowi krainę parków, przyczajonych w krzewach ambasad i dyskretnie zwalistych ministerstw. Koło przystanku autobusowego, naprzeciw dwóch mocarzy, którzy postrzelanymi rękoma podtrzymywali postrzelany balkon, dostrzegliśmy znajomą sylwetkę. Andrzej, z nogą wyciągniętą nad krawężnikiem szykował się do przebiegnięcia na drugą stronę.

Chwyciliśmy go w ostatniej chwili.

– Nie mogę – powiedział zamiast powitania. – Mam wrzód na żołądku, biorę penicylinę, jestem samochodem, śpieszę się na dworzec, bo za 20 minut odchodzi ekspres do Katowic.

– Też mam wrzody – odparł z godnością i żarliwie Piotr – biorę streptomycynę, jestem również samochodem a w dodatku mam wszywkę. Wypijemy po małym, pogadamy chwilę i odprowadzimy cię na pociąg.

Andrzej nerwowo potarł nieogolony podbródek. Paznokiec małego palca u lewej ręki pomalowany miał czerwonym lakierem, na szczęście i od uroku.

– Chłopaki – rzekł prosząco – nie mogę. Muszę jechać, jak Boga kocham. Miałem dziś taki sen. Płynąłem statkiem spacerowym po rzece. Białym statkiem, „Kościuszko” czy może „Pułaski”, z dwoma kołami po bokach zagarniającymi powoli, ale uparcie wodę, z dwoma cienkimi kominami zwieńczonymi ażurową koroną, z których szły pionowo w górę dwa słupy czarnego dymu. Piło się tam szampana, a piękne kobiety w białych sukniach i wysmukli młodzieńcy we frakach tańczyli w rytm jazzbandu. I ja także byłem wysmukłym młodzieńcem we fraku, piłem szampana i tańczyłem. Ten statek płynął do Zaleszczyk.

– No i co? – spytał Piotr

– Nic – odparł Andrzej, rozkładając ręce. – Teraz jadę pośpiesznym 22.07 do Katowic.

Pożegnaliśmy go i patrzyliśmy ze ściśniętym sercem, jak truchtał ku postojowi taksówek przy Konopnickiej.

– Sen mara, Bóg wiara – mruknął filozoficznie Piotr i poszliśmy, a było już bardzo blisko, ku drzwiom wejściowym osłoniętym szklanym secesyjnym daszkiem. Jeszcze kilka marmurowych powyszczerbianych stopni i znaleźliśmy się w obszernym pomieszczeniu zajęтым w połowie przez szaragi szatni. Między nimi przesuwiał się statecznie mąż dostojny, zamożnie i czerstwo otyły, z bystrymi, przenikliwymi oczyma jarzącymi się

niespodziewanym blaskiem, gdy odkładał na rozłożoną na obszernym kontuarze pod gablotką pełną zagranicznych papierosów gazetę staromodne, rozwierchutane okulary.

– Dzień dobry, panie Franiu – uklonił się grzecznie Piotr. Położyliśmy nasze kurtki na drewnianym blacie i śpiesznie weszliśmy na salę, nie czekając na numerek.

Dotarliśmy wreszcie i stanęliśmy w dymie oparem szarym rozłożonym nad stolikami, w rozgwarze głośnym, odważnym, nawet bezczelnym, między śmiechem i zamyśleniem. Przy drzwiach stolik profesorski, godnie obsiadnięty przez czcigodnych starców, jeden kule metalowe oparte o krzesło wyrzucił w pół przejścia, półgłosem gwarzyli, wódkę godnie i z rozmysłem niosąc ku ustom. Ale już dalej gęby młode przez dym papierosowy przeświecały, w każdym razie niestare, rozpalone gorzałą i ochotą, swetry rozciągnięte, znaczki „Solidarności” na nich sterczały dumnie i naturalnie zarazem, niczym godła cechowe. Wódkę łączywie jakoś pili, bez skrzywienia, i łączywie gadali, ale nie o dupach i nie kto może więcej naraz wypić ani czy Olszowski wyimpasuje Rakowskiego, czy Rakowski raczej wystawi Olszowskiego i nawet nie o szmalu, kto więcej zarobił i gdzie jest jakaś chałtura nastojaszczą, tylko zwyczajnie, co robili dziś i co będą robić jutro. Rzeczowo mówili, jak stolarze o składaniu stołu, który nie ma być byle jak zlepiony na taśmie wedle normy państwowej, a był w tych rozmowach jakiś pośpiech, jakby dziś jeszcze trzeba było powiedzieć wszystko, co się powinno i należy.

Miejsc wolnych brak, więc szliśmy dalej, do drugiej sali, nieco większej, ale i tu tłok, pokiwali na nas, miejsce na kanapce przy stoliku pod oknem zrobili, ręce ściskali.

Usiedliśmy. Zaraz przyszła kelnerka Marysia, bez pytania przyniosła butelkę wody mineralnej Mazowszanka i pół litra w okrągłym tekturowym pudełku oblepionym papierem w chińskie smoki. Piotr posypał i wypiliśmy od razu z grubościennych pękatych kieliszków.

Dobrze schłodzona wódka rozlała się po żołądku, zabijając nieznośną zgałę tych wszystkich piw, likierów i balsamów, które donieśliśmy tu z takim trudem i samozaparciem.

– Co słyhać? – zapytał Piotr na zakąskę.

– Co słyhać? – spytali Adaś, Wojtek, Leszek i gruby Zyzio w śmiesznych drucianych okularkach.

I jeden przez drugiego zaczęli opowiadać, co słyhać naprawdę.

– Wyobraźcie sobie – mówił Adaś – że Markowi cenzura zdjęła fraszkę. To szło jakoś tak: „Ja miałbym wrogiem być odnowy? Już dość tych nienawistnych bluzgów. Jaki tam ze mnie twardogłowy, skoro mam rozmiękczenie mózgu”. Ostatecznym argumentem cenzora było, i to jest właśnie najlepsze, że fraszka jest nieprawdziwa. Co jak co można jej bohaterowi zarzucić, ale niedowładu umysłowego nie.

– To wspaniałe – ucieszył się Zyzio. – Zważcie, jak oni dbają o prawdę.

– No – potwierdził Wojtek. – Mnie zaprosili w tym tygodniu do wzięcia udziału w dyskusji.

– O czym? – chciał wiedzieć Piotr.

– A ja wiem? – wzruszył ramionami Wojtek. – Tak, o niczym. No po prostu o palących problemach współczesności. Pytam, kto jeszcze będzie brał w tym udział, mówią mi, że profesor Taki, docent Owaki i redaktor Taki-i-Owaki. No, myślę sobie, proszą mnie tam, żebym robił za chama, wroga socjalizmu i w ogóle szczupaka, który będzie te tłuste karpie partyjne trochę na głęboką wodę wyganiał. Zwarłem się w sobie, postanowiłem, że dam im popalić, i idę. Woda mineralna, paluszki, gadamy, i ja uszom własnym nie wierzę. Zupełnie jakbym na zebraniu KOR-u siedział. Walili w system jak w kaczy kuper i wyszło na to, że powinienem bronić partii, bo inaczej dyskusji nie będzie, ale trochę mi wstyd było, więc tylko powiedziałem, że jestem za tym, żeby wysadzić w powietrze Pałac Kultury i na tym miejscu postawić ze składek społeczeństwa pomnik Gierka i Jaroszewicza, bo gdyby nie oni, to dyskutowalibyśmy o wyższości CRZZ-u nad przedwojennym harcerstwem.

– I co – spytał ktoś – poparli cię?

– Jak najbardziej – potwierdził Wojtek. – Docent Owaki aż się trząśł z ochoty. Gadaliśmy tak ze dwie godziny i ciągle tylko naród i robotnicy, a ani razu społeczeństwo i awangarda. Słowem było buzi dupci i koperta przy wyjściu, więc się napijemy, bo oni płacą.

Opowiadając sobie, co robimy – a wszyscy coś robiliśmy, co wydawało nam się ważne, i wszyscy baliśmy się, choć wstydziliśmy się przyznać, że tego, co ważne, nie zdążymy zrobić – zamówiliśmy szampana.

Piliśmy szampana ze szklanek, bo kieliszki wyflukły się jeszcze za poprzedniego reżimu, a obecny nie miał głowy do dystrybuowania szkła, i gadaliśmy z kolei, co robią inni a czego nie robią, żeby wreszcie dojść do absolutnie pewnej konstatacji, że nie każdy chuj jest do dupy.

Ale wtedy to ja już byłem wreszcie pijany jak trzeba, senny jak trzeba i uwolniony od trosk egzystencjonalnych. I jak zwykle przy takich okazjach wypełzły gdzieś z otchłani wyrzuty sumienia, kąsając boleśnie przypomnieniem żony, dziecka, psa i teściowej. A w Piotra znów jak zwykle w takich przypadkach wstąpił szatan zabawy. Chciał iść jeszcze w miasto, do Ścieku, chlać tam do białych oczu, tak długo, aż się nie będzie mogło ni czuć, ni zasnąć, aż przyjdzie ten i stan, w którym człowiek rozstrzyga tak jasno, iż na trzeźwo lęka się sięgać ku niemu pamięcią.

– Człowiek – ryczał Piotr, trzymając mnie za kłapy – jest tym, kim jest. Jako byt osobny

stanowi zamkniętą w sobie całość i wyklucza możliwość związków z innymi bytami. Zespalać się z innymi ludźmi, unicestwiasz siebie. Nie wolno ci tego robić. Chodź do Ścieku.

– Nie pójdę – uparłem się. – Człowiek jest istotą społeczną, a rodzina jest podstawową komórką. Choćby się Satre z Beauvoire tarzali u moich stóp w pyle i prochu, choćby błagali i obiecywali dziesięć dekagramów kawy naturalnej, nie idę do Ścieku.

– Człowiek jest stworzony do wolności – nie ustępował Piotr. – Rodzi się wolnym i wolność z samej swej istoty jest przynależnym mu atrybutem.

– Byłem wolny od, teraz dojrzałem, żeby być wolnym do – odrzekłem z godnością i beknąłem. – Sprowadź taksówkę.

Piotr odszedł posłusznie, a ja stałem zawieszony nad krawężnikiem i gapiłem się bezmyślnie w kilka brunatnych, zgniłych liści przylepionych do asfaltu.

Stałem i gapiłem się.

Gapiłem się i stałem.

I znów stałem i gapiłem się.

Miałem, stojąc tak i gapiąc się, gapiąc się i stojąc, bardziej niż kiedykolwiek te moje trzydzieści sześć bezpotrzebnych lat nadziei. I bardziej niż kiedykolwiek przedtem czułem się śmietniskiem cudzych idei, cudzych myśli, kłamstw skłamanych tak zręcznie, iż ocierały się o prawdę, i prawd oplutych tak precyzyjnie, iż odstręczały niewiarygodnością. Nawet teraz, pijany jak to sobie zaplanowałem, nie potrafiłem rozstrzygnąć jasno i tylko stałem, gapiąc się w zgniłe liście, i nie robiłem nic ponadto.

Nie chciałem, nie mogłem, nie było mi dane?

Z jękiem wysłużonego silnika zajechała taksówka. Wgramoliłem się z trudem na tylne siedzenie, opadłem na zimną ceratową kanapę.

– No i co pan o tym wszystkim myśli? – zapytał taksówkarz, jakby kończąc zaczętą rozmowę. – Wejdą Ruskie czy nie wejdą? Bo ja to sobie myślę, że nie wejdą. Kto mądry wchodzi do zbankrutowanego interesu, powiedz pan. Co, robić na nas będą? Wała.

Skręciliśmy w Piękną. Taksówkarz mówił dalej, do nas, a może do siebie:

– Wiozłem takiego w zeszłym tygodniu, panie – opowiadał. – Partyjny musiał być, kurwa jego w dupę zajebana mać, bo inaczej skąd by wiedział. No i on mi wszystko wyliczył. Miliard dolarów rocznie, tak powiedział, kurdebele, wychodzi z samej różnicy walut, że dolar w RWPG stoi 70 kopiejek. Drugi miliard rocznie na tych wszystkich umowach, kontraktach, statkach i Hutach Katowice tracimy. Dziesięć lat – dwieście miliardów. Gierek znaczy się niewinny, długów nie narobił, tylko Ruskie nas na forszę naciągnęli. I co pan na to? Wierzyć

takiemu?

– Czy ja wiem? – wzruszył ramionami Piotr. – Ja to nikomu nie wierzę.

Taksówkarz pokręcił z dezaprobatą głową.

– To niedobrze – rzekł, zakręcając z fantazją z Mokotowskiej w Trasę Łazienkowską. – Ludziom trzeba wierzyć. Dużo jest porządnych ludzi, nawet w milicji się trafi uczciwy, ja na ten przykład miałem takie zdarzenie. Jadę, jak normalnie, po lufie, i patrol mnie haltuje. Drogówka. Wsadziłem dwójkę, znaczy się dwa kawałki, w prawo jazdy, podaję przez okno temu sierżantowi i mówię: „Panie władzo, jak Boga kocham, trzeźwy jestem jak nowo narodzony, a w wozie gorzała pachnie, bo pijanego właśnie tu za rogiem wysadziłem”. A ten w dokument zajrzał, zobaczył szmal i powiada: „Panie kierowco, pan wysiądzie i mnie chuchnie, bo o ile pan rzeczywiście nie pił, to ja nie wezmę”. Tak że ludzie uczciwe są i trzeba ludziom wierzyć.

Piotr milczał jak człowiek niezupelnie przekonany.

Objechaliśmy pomnik Lotnika i ruszyliśmy Żwirki i Wigury szpalerem starych, usychających powoli drzew.

– Pan człowiek młody, nie to co ja – ciągnął taksówkarz. – Pan powinien mieć wiarę w ludzi. Ja ostrożny jestem, dużo się w życiu przeszło, w Rosji też byłem, co pan myślał, dopiero w ‘55 wróciłem, a temu Jaruzelskiemu wierzę. On, kurwa go mać, jest w porządku, w sierpniu nie dał do robotników strzelać i teraz też by się z Wałęsą dogadali, żeby nie te partyjne pieski. Po mojemu to on powinien ich wszystkich zamknąć do obozu, chciecie się zreć, to siedźcie, michę zupy dziennie i niech tam pieprzą o tej przewodniej roli partii. Tego grubego, upasionego, pierwszego, bo to sukinsyn najgorszy. Jak pan myśli, zrobi tak?

– Czy ja wiem? – odparł wymijająco Piotr.

– Toś pan dobrze powiedział – zgodził się taksówkarz, podjeżdżając pod dom. – Nic nie wiemy, kurdebalans, a powinniśmy, bo to o nas idzie.

Piotr zapłacił i wysiedliśmy.

Byłem wreszcie w domu.

A to nie dom, tylko istny dopust Boży.

Dziecko nie śpi, Wolnej Europy słucha i bawi się w strajk okupacyjny. Pies od południa nie był na spacerze, biega po mieszkaniu i poszczekuje, na balkonie kupa niesprzątnięta. Żona leży w łóżku, właśnie się obudziła, popatrzyła na mnie i w płacz, że znów pijany jestem i jak mi nie wstyd.

Wśród tego wszystkiego drepcze teściowa, mała, siwa kobieta na starych, zmęczonych nogach. Niezręcznymi, gruzłowatymi dłońmi kraje grube pajdy chleba i rozstawia nas po

kątach.

– Smaruj masłem – mówi – i obkładaj serem. Jabłek też nie zapomnij zapakować. Ciasto upiekłam. Potem wyjdiesz z psem. Ale przedtem przypilnuj, żeby dziecko zęby umyło. A ty przestań płakać. Ubieraj się. Kanapki zaraz będą gotowe. Oni tam głodni siedzą. Wypalaś się, to wracaj, gdzie twoje miejsce.

Smaruję masłem, obkładam serem, jabłka upycham w siatce i czuję, jak Piotr mnie coraz bardziej opuszcza, jak zostaję sam, milczący i bezradny. Żona wstaje z łóżka, naga idzie przez pokój, wchodzi do łazienki, zabierając ze sobą wszystko – stopy, łydki, uda, pośladki, ramiona.

Nie wytrzymałem, odłożyłem nóż i poszedłem za nią.

Stała przed lustrem z jednym policzkiem wypchniętym szczotką do zębów, z białym zaciekiem pasty w kąciuku warg. Podszedłem z tyłu i pocałowałem ją w kark. Kwaśny odór alkoholu wrócił do mnie ze zdyszczanym oddechem, zabijając aromat skóry.

Nie drgnęła. Podniosłem oczy, patrzyliśmy na siebie przez lustro. Jej twarz, niespokojna i biała w ciemnej osłonie włosów przeciętych ostrym pasmem przedwczesnej siwizny. I moja, wielkonosa, pomarszczona jak suszone jabłko zatroskanego klowna. Obie w czarnej lustrzanej dziurze, niczym na starej fotografii, upozowanej i fałszywej.

Mimo to podniosłem ręce i złodziejskim, cichym ruch posunąłem je w przód w beznadziejnej próbie odszukania piersi.

– Daj spokój – powiedziała bez złości i odwróciła się, wyjmując z ust szczotkę. Na wardze kroplą wieczornej rosy błyszczał jej maleńki bąbelek pasty. Cofnąłem się pół kroku. Pies, który zaplątał się za mną do łazienki, przysiadł między nami na kikucie ogona i popatrywał na nas mądrymi, bezstronnymi ślepiami.

– I co teraz będzie? – zapytała.

– Z nami?

– W ogóle. Z nami też.

– Będzie dobrze – zapewniłem ją z zapalem. – Musi być dobrze. Teraz już wygramy na pewno. Panowie tam na górze żrą się o stołki, a to już nikogo więcej nie obchodzi. Nawet nasz dozorca już ze mną na ten temat nie rozmawia. Ogólny brak zainteresowania, aparat władzy oddzielił się od życia ostatecznie i dziś widać, że to byt osobny i niezależny...

Przełękłem się tego słowa z nieprzyjemnym wrażeniem, że choć nie kłamię, to nie mówię całej prawdy, ale brnąłem dalej, paplałem, zagłuszając własny niepokój aż do uśpionego zmęczenia.

– ... po prostu metafizyczny, którego przestrzenią nie jest rzeczywistość realna.

Rozumiesz? Nie ma już więcej podziału na my i oni, ponieważ jesteśmy tylko my, a ich w ogóle w naszej realnej przestrzeni nie ma, nie istnieją, może to tylko, te 37 lat, to była jedna wielka mistyfikacja. Nie było partii, bezpieki, plenów i zjazdów. Były tylko słowa w gazetach zmyte przez sierpniową ulewę.

Zachłystywałem się prawdą i wolnością słowa coraz głośniejsze, jakbym chciał przekrzyczeć monotony szmer wodociągu i głuche uderzenia krwi w skroniach.

– Zresztą to nieważne – mówiłem dalej. – To już odeszło, historia. Wiesz, co jest ważne naprawdę? Czego nic i nikt nie zmieni? Przeczytaj stenogramy z pierwszego zjazdu w Gdańsku. Tam mówią osoby, indywidualnie, nieraz nieporadnie, z błędami, z trudem dobierając słowa. Ale każde wystąpienie ma cechy indywidualne, osobnicze, własnowolne. I weź jakieś plenum dla porównania, gdy zasłonisz nazwiska, nie zgadniesz, czy mówi to liberał, czy beton, czy to Barcikowski, czy Grabski. Każdy może powiedzieć wszystko, ponieważ oni nie tak naprawdę nie mówią. Wykonują tylko figury obowiązkowe jak na zawodach łyżwiarskich, ósemkę w tył zakończoną podwójnym akslem. My to jest różnorodność, różnaitość, oni to zbiorowy uniformizm myśli pod jeden strychulec. Mnogość zawsze zwycięży jednolitość, gdy ilość przejdzie, zgodnie z pierwszą zasadą dialektyki marksistowskiej, w nową jakość.

– Ha, ha! – wykrzyknąłem sarkastycznie, spostrzegłszy, że pobłądziłem znów w ślepy zaułek. – Patrz, jak nas ukuglali, że już rok z okładem wyjść nie możemy z tej skorupy marksizmu, co nam oblepia buty i nogawki. Ale to nic, ich własna ideologia też ich oskarża i obnaża goły, bezmyślny terror tępych dogmatyków.

– Już dobrze – uśmiechnęła się do mnie blado. – Idź z psem na spacer i kładź się spać. Ja muszę zaraz jechać. Czekają na mnie.

Gwizdnąłem na foksa i wyszedłem. Zaraz za drzwiami czekał na mnie Piotr, naszeptując, że może by tak wpaść do sąsiada, że jeszcze nie śpi i że może ma kielicha, co nam przed snem i po tym długim przemówieniu dobrze zrobi.

Oparłem się jednak z męską stanowczością, odprawiając z myślą o śmierdzącej drukarni, w której moja żona dzielić będzie za chwilę chleb z żółtym serem i jabłka, a była to myśl tak zawstydzona i pełna winy, że pierzchnął bez jednego słowa.

Wróciłem spokojnie do domu po obejściu wokół śmietnika i przytulony do psiego karku osunąłem się w męczący sen, z którego miał mnie wyrwać ból głowy i obrzmiewającego podniebienia.

To wszystko było wczoraj. A dziś stoję przy drzwiach górnej sali w Pałacu Ślubów i czekam, aż wszyscy wybormoczą co trzeba i będzie można wyjść, pojechać na wesele,

usiąść po ludzku za obfitym stołem, wziąć do ręki setkową, zmętniałą chłodem szklaneczkę i powoli, z rozmysłem – z tym starannym napięciem uwagi znanym tylko pijakom którzy po całodziennym, beznadziejnym bieganiu po mieście naciągną wreszcie kogoś, kto cały dzień uganiał się za stosownym towarzystwem – nieść ją do ust.

Rozmarzyłem się, przymykam oczy po to tylko, by zdać sobie sprawę, że okupię tę chwilę przyjemności głupkowskim pokrzykiwaniem „gorzko, gorzko”, picciem na komendę zdrowia panny młodej, a może i matki panny młodej, wreszcie poklepywaniem totumfackim po plecach i zaślinionymi bruderszaftami.

Odpędziłem tę myśl, tak zrazu ponętą, a wtedy znów wraca przypomnienie owej wieczornej rozmowy nad otwartą miską sedesową, nieznośnego mentorskiego gadulstwa, które było tylko ostatnią, gasnącą fazą przepicia, a może pierwszym objawem kaca, ale na pewno kłamstwem. Bo przecież kłamałem świadomie, wiedząc, że to nasza przestrzeń nie jest realna, że my zbudowaliśmy wokół siebie mistyfikację po to, by przeżyć kilka upojnych miesięcy i zdychać potem latami parszywych, bezsilnych tęsknot. Wiedziałem o tym, ale wiedzy tej nie mogłem przeciwstawić jej niewinnej nagości i kanapkom z żółtym serem zawiniętym w maszynową przebitkę.

Zaczynam szukać jakiejś szpary, wyjścia jakiegoś, które przyniosłoby mi natychmiastowy ratunek. Przesuwam sobie przed oczyma obrazy dni minionych, żeby wyłuskać z nich jakiś szczegół i uchwyciwszy go mocno, znaleźć chwilę wytchnienia.

To nie jest to. Budzik o szóstej rano, kolejka, kubeczek śmietany, butelka mleka, bułki. To nie jest to. Dziecko do przedszkola, dziecko z przedszkola, brak czasu, zniecierpliwienie. To nie jest to. Dziesiątki zebrań, na których usiłowaliśmy, ja usiłowałem, zagadać zmianę kompromisem. To nie jest to. Wieczne pisanie, wieczorne myślenie. To by było to.

Wtedy właśnie, może po raz pierwszy, ale na pewno po raz ostatni widzę siebie tak wyraźnie. Stoję w owalnym promieniu samotnego reflektora, w głębi wysypanej czarnym żużlem areny, w błazeńskim, pasiastym kostiumie, z przyprawionym sztucznym nosem i ryżą kępką włosów na gołej czaszce. Stoję tak, jednonogi teoretyk skoku o tyczce, w oczekiwaniu na oklaski za odwagę, bezkompromisowość i dowcip, kłaniając się nisko galerii i dyskretnie pozdrawiając lożę rządową.

Reflektor gaśnie, pozostawiając mnie w beznadziejnej, ponurej pustce, w której rozlegają się pojedyncze brawa. To ja sam oklaskuję siebie.

Zaciskam zęby i dłonie, gdybym mógł, byłbym boleśnie zacisnął serce, ale obraz znika i zaczynają mnie teraz wypełniać gorączkowe galopady rzeczy naprawdę przyjemnych, uchylonych pośladków, cieni pod pachami, łagodnego pochylecia pleców, wilgotnych

zaułków, wśród których błędzić można ustami. Zapadam jak w sen, na dnie którego znajduję własną pijaną niemożność i trzeźwą, dumną do głupoty niezdarność.

Szukam dalej, aż skądś wypelza sina jak nieboszczyk, pomięta tysiączłotówka. Czepiam się jej i już nie puszczam. Tysiączłotówka, ona może mnie uratować. Wyobrażam sobie, że spotykam tutaj, w tej sali, kogoś, kto na pierwszej śmiało napomknienia wyjmuję ją chętnie z portfela, mówiąc: „Ależ nie ma sprawy”, i nie jest to ktoś konkretny, ale w każdym razie ktoś, kogo się zawsze w takich sytuacjach potrzebuje, kto o nic nie pyta, ponieważ i tak rozumie wszystko a może nic nie chce wiedzieć, bo tu nie wiedza jest potrzebna, tylko obustronny gest wybaczącego zawstydzienie. Więc mam teraz tę tysiączłotówkę i wychodzę z nią wolny na ulicę, idę na plac Zamkowy pod kolumnę Zygmunta i tam wreszcie mogę sam postanowić, dokąd iść, a może nigdzie w ogóle nie idę, tylko stoję i czekam, aż nadejdzie ktoś, z kim można porozmawiać bez kokieterii.

Stoję, wracam, już pięćset złotych by mi wystarczyło, może nawet trzysta, otwieram z wolna oczy w powszechnym milczeniu i czuję na sobie ciężki wzrok społecznych oczekiwań. Wszyscy odwrócili się do mnie twarzami, patrząc uważnie, a ja podpieram plecami złoconą klamkę jedynych drzwi wyjściowych i stoję w pustym przejściu między rozsuniętym szpalerem na czerwonym pluszowym chodniku oko w oko z Hybrydem i oko w oko z panną młodą w różowej sukni.

Ona jedyna wśród stężonych policzków ma na twarzy uśmiech wyrozumienia, a ja wiem, że to dlatego, iż nie jestem jej mężem. Więc uśmiecham się również, szeroko i szczerze, bo przychodzi mi na myśl właśnie w tej chwili, że to dobrze, iż ona nie jest moją żoną, i odsuwam się na bok, otwierając usłużnie drzwi.

Znowu wesele

Młodzi wychodzą, Hybryd z rozmysłem nie patrzy na mnie, a za nimi wysypują się, dobierając po drodze w pary, skrzypiący butami i szeleszczący taftami goście. Usuwam się na bok, żeby ich przepuścić.

– Ach, to pan – ktoś mówi nagle z tyłu. – Dopiero teraz pana spostrzegłem.

Odwracam się gwałtownie, popędzany gasnącą myślą o tysiącłotówce.

– Myślałem ostatnio sporo o panu.

Przede mną stoi Dragon Belzebubowicz we własnej osobie. Ubrany niechlujnie jak zwykle, choć całkiem elegancko, a nawet wyszukanie, podaje mi pośpieszną, niecierpliwą dłoń miękkim ruchem starego wyjadacza, po prostu muskamy się w przelocie, ale tyle w tym jest porozumiewawczej amikoszonerii, że aż dreszcze przechodzą mi po krzyżu.

– Pan też czeka, aż się to wszystko przewali – stwierdza raczej niż pyta i zaraz dodaje, wzmacniając wątpliwość porozumienia: – Ja też wolę przepuścić wszystkie te ciotki.

Milczę taktownie, rozglądając się na boki, czy aby ktoś nie widzi tego naszego kielkującego zbratania, choć właściwie jest tu jak w kolejce po mięso, a więc moralnie obojętne, za kim czy przed kim się stoi. Poza tym nikt nie zwraca na nas uwagi.

– Dużo myślałem ostatnio – powtarza Belzebubowicz – o panu.

Wlepił we mnie swoje jasne błękitne oczy niewinnego dziecka i wyraźnie czekał na odpowiedź.

– No cóż – mamrocze niewyraźnie, jakby bełkotliwie – z jednej strony oczywiście tak, ale znowu, proszę pana...

– Niech pan mówi Dragonie – proponuje.

– Więc, panie Dragonie, mówiąc szczerze – brnę dalej – z drugiej strony po prostu nic szczególnego nie słyhać.

– No, no – rzecze jowialnie – tylko bez fałszywej skromności, panie Mścislawie. A jak właściwie mówią do pana przyjaciele?

– Mści – mówię złośliwie. Nie dziwi się.

– Czytałem, panie Mści, czytałem – pochyła mi się ucha. – Znakomite. Powiadam panu, znakomite. I ma pan dużo racji. Instynktownej racji – dodaje.

Jest to tak nieoczekiwane, że spoglądam mu po raz pierwszy prosto w oczy. Po raz pierwszy w ogóle spoglądam na niego uważniej. Widzę znaną mi, lekko nalaną twarz, może nawet gębę, spocony kosmyk włosów spadających na ucho i jeszcze coś, co sprawia, że

wbrew sobie chichoczę.

Dostrzegam, że w otaczającym nas tłumie tylko my dwaj nie mamy kwiatów.

– Pana to śmieszy? – pyta bez wyrzutu.

– Ależ nie – krztuszę się – po prostu coś sobie przypomniałem.

Kwituje to cichym mruknięciem pasującym do jego zwalistej postury i znowu zawiesza się głową nad moim ramieniem.

– Pan oczywiście jedzie na wesele – stwierdza. – Zabiorę pana. Mam na dole samochód. W końcu ja tu jestem służbowo.

Mruga do mnie i znowu jest to mrugnięcie porozumiewawcze.

Tymczasem kolejka gratulantów posuwa się sprawnie do przodu, w końcu nie trzeba wycinać kuponów z kartek, i dziękuję Bogu, że badylarze obrzucili młodą parę takim naręczem gerberów, że moja w tej mierze absencja z pewnością ujdzie uwagi. Dochodzimy i my, Belzebubowicz wypycha mnie do przodu, wykrztuszam coś niezdarnie, całuję pannę młodą w rękę, pocieramy się z Hybrydem policzkami i potykając się o własne nogi, ustępuję miejsca Dragonowi.

Za chwilę idziemy już razem w kierunku schodów. W przejściu stoi samotnie ojciec Hybryda, dokładnie taki, jakim go znam z telewizji, może tylko jeszcze wyższy. Na ustach uśmiech, przyklejony krzywo i niedbale jak znaczek pocztowy, czoło przecina mu pionowa zmarszczka.

– Przepraszam – burczy mi Belzebubowicz. Podchodzi do starego Męczydława, chwilę potrzęsają sobą nieznacznie, trzymając się za ręce, po czym Dragon odwraca się i wskazuje mnie skinieniem głowy. Kłaniam się dyskretnie, ale wyraźnie, a Męczydław kiwa głową tak, iż nie wiem, czy jest to odpowiedź na mój ukłon, czy znak zgody dla Belzebubowicza.

– Mówiłem szefowi – rzecze Dragon – że zabieram pana autem. Chodzi o to, żeby na pana nie czekali z całym autokarem.

Schodzimy po schodach.

– Swoją drogą – mówię bardziej do siebie niż do niego – czy to nie dziwne, że syn Męczydława żeni się z córką badylarza?

Spogląda na mnie zdziwiony.

– Mam nadzieję, że pan nie ma przesądów klasowych? – pyta. – W każdym razie Męczydław ich nie ma.

Milczę, a on pewnie bierze to moje milczenie za kpinę, bo nieoczekiwanie dodaje:

– W końcu to awans społeczny. Jego ojciec miał gospodarkę, dwie morgi i sześć arów. I siedmioro dzieci do wykarmienia. A teść Hybryda ma pewnie trzy razy więcej, tyle że pod

szkłem.

Wychodzimy wreszcie na zewnątrz, w małą uliczkę wciśniętą między katedrę i zamek. Belzebubowicz idzie pierwszy, lawiruje pośród stłoczonych samochodów, prowadzi mnie niezawodnie wprost w otwarte drzwi fiata, przy których stoi kierowca w granatowej kurtce.

– No co, Wojtek – powiada Dragon – zmarłeś?

– E, nie – krzywi się zapytany. – Buty mam dobre.

– Buty rzecz najważniejsza – sentencjonalnie stwierdza Belzebubowicz i zarządza: – Otwórz tylne. Usiądziemy razem.

Puszcza mnie pierwszego, gramoli się za mną, kierowca zatrzaskuje drzwi i truchtem obiega auto, żeby sięść za kierownicą.

Jedziemy powoli, przez wąskie uliczki staromiejskiego obrzeża.

Po chodnikach brną, grzęzną beznadziejnie w rozmokniętej śniegowej breji, poszarzałe, pobrzydłe kobiety, dźwigając wzdęte ziemniakami siatki.

– Socjalizm – mruczę do siebie.

– Co pan powiedział? – pyta Dragon.

– Powiedziałem: socjalizm – powtarzam głośno, i Belzebubowicz uśmiecha się łagodnie.

– Panie Mści – mówi, kładąc mi dłoń na kolanie – pan oczywiście myśli o tym tam, za oknem? Proszę, tylko bez ławego sentymentalizmu. To tam – głową pokazuje tłum kłębiący się pod jakimś sklepem, zdaje się jest to sklep monopolowy, więc głośno przełykam ślinę – to nie jest socjalizm.

– Aha – potwierdzam, bo boję się, że wciągnie mnie w dyskusję o socjalizmie, o pryncypiach, o państwie, społeczeństwie i klasie robotniczej. I boję się jeszcze, że będę potakiwał, nie ze strachu, iż każe Wojtkowi nagle zatrzymać auto i wysadzi mnie gdzieś nad Wisłą, ale dlatego, że brak mi siły, aby się przeciwstawić. Tak jest zawsze. On, Belzebubowicz, oni wszyscy mają zawsze pełne kieszenie gotowych argumentów, precyzyjnych, wyczelowanych, popartych teorią i statystyką, a ja, też zawsze, wiem, że kłamię, tylko potrzebuję czasu, zacisza, biurka i maszyny do pisania, żeby się z tego oszołomienia bezczelnością fałszu wydobyć i powiedzieć skromną, pozbawioną nadętego kabotynizmu prawdę.

A i tak zawsze jeszcze pozostaje gdzieś na dnie uczucie wstydu, iż nie obyło się bez demagogii.

– Socjalizm – Dragon zyczliwie patrzy mi w oczy – jest tu, w tym samochodzie, skoro my dwaj możemy nim jechać razem, rozmawiać swobodnie, zupełnie swobodnie, a to, co wspólnie ustalimy, będzie nas obu obowiązywać. Rozumie pan?

Coś rozumiem, ale kręcę głową, że nie. Niech się Belzebubowicz odkryje, niech wyjdzie do mnie zza gardy marksizmu teoretycznego, niech raz wreszcie będzie słabszy.

– Lubię pana – wyznaje nieoczekiwanie. – Ma pan talent i rzadki dar przekonywania. Szkoda by było, gdyby się pan zmarnował.

Tak powiedział: szkoda, żeby się zmarnował, nie mój talent, nie dar, ale ja sam, osobiście. Byłoby to przejęzyczenie?

– Mój drogi – ciągnie dalej Belzebubowicz. – Socjalizm to ani kolejki, ani brak kolejek, ani strajki, ani brak strajków. To nie ma nic wspólnego z robotnikami, z jakąś prawdą obiektywną czy z czymś takim. Wy, intelektualiści, zawsze musicie wszystko zagmatwać i potem sami nie możecie sobie dać z tym rady. A to bardzo proste: socjalizm jest formą władzy.

– A władza pochodzi od Boga – kończę niespodziewanie dla samego siebie.

– No, no – powiada pobłaźliwie Dragon. – Efektowne, złośliwe, ale głupie. Pan pewnie uważa, że władza pochodzi od ludu. Są tacy, co sądzą, iż od narodu. Tylko co to za różnica, od kogo ona pochodzi? Władza jest. Po prostu. Sztuka polega na tym, żeby w niej uczestniczyć. Ponieważ zaś władza jest socjalistyczna, socjalistą jest ten, kto w niej uczestniczy. Natomiast kto nie uczestniczy, jest naturalnie antysocjalistą.

I Belzebubowicz przechyla się nagle do przodu poprzez oparcie siedzenia kierowcy.

– Wojtek, mamy socjalizm czy nie?

Wojtek odwraca się i szczerzy zęby w uśmiechu jak tresowana małpa.

– Jasne, że mamy – mówi – Jeszcze jak woziłem Łukaszkę, też zawsze pytał, czy mamy socjalizm, to mu potwierdzałem. No i co? Dla niego już po socjalizmie, tramwajem jeździ, a dla nas socjalizm jak cholera.

I korzystając z zaproszenia do rozmowy, pyta:

– Długo tam zabawimy, na tym weselu? Jakby do rana to i ja lufę bym sobie strzelił.

– Strzelisz sobie – obiecuje mu Dragon i znów do mnie. – Widzi pan, jakie to proste. A mimo wszystko pan nie dowierza. To niech pan popatrzy na opozycję. Każdy z nich mógłby siedzieć na moim miejscu, bo wszyscy zaczęli od komunizmu, tylko im się nie poszczęściło. Albo weź pan „Solidarność”, im przecież nie chodzi, żeby było więcej kielbasy czy mieszkań. Oni chcą władzy. Wołają, że są socjalistami, bo władza jest socjalistyczna. Gdybyśmy mieli faszyzm, nasi dysydenci byłiby faszystami.

– Nieprawda – krzyknąłbym najpierw.

– Chodzi o władzę niejako o wartość samą w sobie – mówiłbym potem – ale o służbę społeczną, której działania chroniłyby godność obywatela, poczucie odpowiedzialności, sens

życia. Wypchajcie się swoją kielbasą, my możemy zjeść brukiew, byleśmy byli u siebie, nie u was, w przedpokoju waszej ponurej władzy.

Ale powiedziałem tylko:

– Gdybyśmy mieli niewolnictwo, byliby niewolnikami.

– To chyba przesada – zgadza się Belzebubowicz i ucieszony dodaje – ale w gruncie rzeczy pan sądzi tak samo. Chciałby pan Polski, w której rządziłby jakiś elektryk?

Mój Boże, jakiej ja bym chciał Polski? Nigdy się nad tym tak naprawdę nie zastanawiałem. Wiem, jakiej Polski nie chcę, i sądziłem zawsze, że to wystarcza. Prawie tak też odpowiadam.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

Belzebubowicz jest ucieszony. Częstuje papierosem. Przypala.

– Zawsze twierdziłem, że z panem można się dogadać – oznajmia. – Pan ma otwartą głowę, nie jest pan doktrynerem ani historykiem. Szczerze panu powiem, zaprosiłem pana do auta, żeby z panem pogadać.

Spoglądam za okno. Wydostaliśmy się już za miasto, rozmazany grudniowy krajobraz rozlewa się po szybie falą deszczu ze śniegiem.

– Sądziłem – mówię – że zaprosił mnie pan, żeby mnie odwieźć na wesele. Po drodze.

Belzebubowicz rozdziawia się w uśmiechu. Jak zwykle bierze wszystko, co ode mnie słyszy, za dowcip.

– No, to także – potwierdza. – Rzecz jednak w tym, że my, władza, też mamy kłopoty. Wiesza się nam u klamki mnóstwo gnid, miernot, ludzi bezwartościowych. Oczywiście – zastrzega od razu – bywają niekiedy użyteczni, ale są zupełnie niewiarygodni. A nam dziś bardziej niż kiedykolwiek potrzeba ludzi wiarygodnych.

– Spróbujcie sami się uwiarygodnić – proponuję całkiem poważnie. – Szansa jeszcze jest.

– Ha, ha, ha! – ryczy Belzebubowicz bez opamiętania, waląc mnie znów otwartą dłonią w kolano. – Dobry żart. Ale do rzeczy. Zna pan oczywiście Pędraka Tuzinkiewicza i to jego pisemko?

Potwierdzam kiwnięciem głowy.

– Jego służalczość – objaśnia mi Dragon osobowość Tuzinkiewicza – graniczy z kretynizmem. Produkuje nieinteligentną szmatę, której nikt nie czyta. To się musi zmienić. Będziemy potrzebować wkrótce satyry błyskotliwej, pan rozumie, wymierzonej w przeciwnika, ale nie tępej i prymitywnej. I oczywiście robionej przez odpowiednich ludzi, którzy nie mają tak zaszarganej opinii jak Tuzinkiewicz.

Dlatego pomyśleliśmy o panu.

– O mnie? – dziwię się.

– Tak, o panu. Proponuję panu stanowisko redaktora na czelnego. Od jutra – Belzebubowicz podnosi palec w górę. – Pan się oczywiście zgadza?

Patrzę znów przez okno, na zaorane pola z białym cieniem śniegu w bruzdach, na poszarzałe zagajniki, na beznadziejnie płaski krajobraz, w którym nie mogę odnaleźć niczego, czego mógłbym się mocno uchwycić.

– To prawda – mówi lekko zaniepokojony Belzebubowicz. – Miał pan kłopoty z cenzurą, z wydziałem. To się wszystko oczywiście zmieni. Zresztą szczerze panu powiem, że tak będzie nawet lepiej. Pana poprzednie kłopoty będą teraz pracować dla nas.

Liczę szybko w myślach, z twarzą ukrytą w oknie, ile zarobię jako naczelny. Co najmniej dwa razy tyle co do tej pory. Może nawet trzy razy. Powiedzmy dwa i pół. Będę miał jakieś dwadzieścia tysięcy miesięcznie. Przydział dodatkowy benzyny. Ale już przydziału mięsa nie dadzą. Wszystko jedno, można kupić na Polnej. Wrócę do domu, powiem żonie: „Zostałem naczelnym”, a ona mi odpowie: „A my nie daliśmy się złamać, strajk trwa. Aż do skutku”.

– Aż do skutku – powtarzam.

– Proszę? – dziwi się Belzebubowicz.

– Ach, nic – powiadam. – To do siebie.

– Nie – powiedziałbym. – Nie zgadzam się. Co wy mi możecie zaoferować? Nędzne dwadzieścia tysięcy. Dajcie mi wille, otwarte konto, samochód, wtedy pomyślę. A tak? Was nawet nie stać na to, żeby mnie kupić.

– Nie – mówiłbym. – Nie zgadzam się. Nie będę firmował swoim nazwiskiem waszych marnych, brudnych interesów, waszej władzy, żebyście mnie traktowali jak lokaja, jak uwieszoną u partyjnej poły wesz.

– Nie. – mówię wreszcie. – Nie zgadzam się. Nie nadaję się do kierowania ludźmi, nie potrafiłbym. To nie dla mnie.

Powiedziałem i czuję się teraz wspaniale, uwolniony i lekki, wrócę do domu i powiem o tej rozmowie żonie, a ona uśmiechnie się do mnie zadowolona i znów będziemy się kochać bez lęku i napięcia, wolni i zależni tylko od siebie.

– To nie takie proste – rzecze surowo Belzebubowicz, jakby czytał w moich myślach. – To nie była propozycja do odrzucenia.

Wybałuszam na niego oczy.

– Tak – potwierdza. – Niech się pan zastanowi. Niech pan pomyśli o żonie i dziecku. Ma pan czas do rana.

Chcę mu odpowiedzieć, że właśnie pomyślałem o żonie, ale Dragon Belzebubowicz zmienia nagle temat.

– No, Wojtek – pyta – daleko jeszcze?

– Już docieramy do celu, towarzyszu sekretarzu.

– No to klawo – powiada Belzebubowicz i znów zwraca się do mnie: – Z przyjemnością strzelę sobie kielicha. A pan, niech pan myśli o tym, co panu powiedziałem.

Kiwam głową, że myślę rzeczywiście, ale już wjeżdżamy na obszerne podwórze przed dwupiętrową willą wyłożoną różnokolorową mozaiką z utłuczonych denek od butelek, niekształtne gmaszysko wzniesione z nieznośną, pretensjonalną prostotą. Nad podwórzem unosi się luna rozproszonego w mglistym powietrzu światła sączącego się przez szyby ciągnących się długo i daleko szklarni.

– Ładne – mówi Dragon, wskazując na willę, i zaraz dodaje z niepokojem: – Cóż to, nikt nas nie wita?

Rzeczywiście, lastrykowe schody prowadzące do willi są puste.

– No tak – powiadam, gapiąc się na Belzebubowicza cynicznie. – Nie ma drухen w białych sukniach z kwiatami. Jeśli chodzi o mnie, jestem przyzwyczajony.

Ale Dragon się nie obraża.

– Jeśli chodzi o moje przyzwyczajenie i rzecze otwarcie – to powinny tu stać taczki. Tak, ostatnio raczej nie witano mnie entuzjastycznie. Cóż, chodźmy, spróbujemy się czuć jak w domu.

Wysiadamy z samochodu i włączymy po schodach, Wojtek skromnie krok za nami. Belzebubowicz pewnie chwytą za klamkę i otwiera drzwi. W obszernej sieni wyłożonej ciemną boazerią nie ma nikogo. Szereg pustych wieszaków świadczy, że jesteśmy pierwsi. Stoimy tak chwilę niepewnie, z głębi wysuwa się siwowłosa kobieta w czarnej sukni i narzuconym z wierzchu białym fartuchu. Patrzy na nas podejrzliwie.

– Dzień dobry – kłaniamy się grzecznie.

– Tu podobno jest wesele – mówię.

– Jesteśmy zaproszeni – dodaje Dragon, wystawiając twarz ku przodowi. – Jestem Dragon Belzebubowicz.

– Aha – rozjaśnia się kobieta – znaczy, panowie są rodziną pana młodego.

Wyciera dłoń w rąbek fartucha i sunie ku nam z wyciągniętą ręką.

– W sensie duchowym – potwierdza Belzebubowicz.

– Chociaż nie wszyscy – zastrzegam się i Dragon łypie na mnie ponuro.

– Ja jestem ciotką Violetty – wyjaśnia kobieta, wrywając mi dłoń sprzed ust

wstydlwym gestem. Jest to gruzłowata, twarda, spracowana dłoń o postrzępionych, nierównych paznokciach. – To znaczy panny młodej.

Rozbieramy się, ciotka Violetty prosi nas dalej.

– Pośpieszyliśmy się – powiada przepaszająco kierowca Wojtek.

– Ależ nic nie szkodzi – zapewnia ciotka. – Reszta zaraz nadjedzie. O, już nadjeżdżają. Proszę do jadalni.

Wchodzimy do ogromnego pomieszczenia przedzielonego rozsuwanymi drzwiami. Stoi tu ogromny, w podkowę, stół pokryty białymi, lnianymi obrusami. Na widok tego stołu stajemy jak wręci.

– O Boże – wzdycha wzruszony Wojtek.

Na stole piętrzą się brązowe, domowego wyrobu wędliny, ryby w galarecie, wędzone węgorze, w misach połyskuje blade czerwienią i oblażącą czernią kawior astrachański, białymi płatami spływa po półmiskach schab pieczony przekładany plastrami polędwicy.

Z boku, przy ścianie, pod olbrzymim obrazem przedstawiającym Chrystusa z gałązką oliwną w ręce przepływającego łodzią wzburzone jezioro Genezaret – a wszystko na tym obrazie, Chrystus, łódź, gałązka i jezioro w różnych odcieniach fioletu i bladego różu – stoi zwalisty bufet zastawiony butelkami otoczonymi kieliszkami, szklankami, szklaneczkami. Wpatruję się w ten bufet nieprzytomnie jak w dobrze znany, zapomniany już świat, odsłaniany na nowo, przypomniany w wyrazistym śnie zawsze kończącym się przykrym przebudzeniem tuż przed osiągnięciem dna, gdy się od tego barwnego świata odbiega, spadając wąskim, czarnym szybem windy.

Jest tam chambertin, jest remy martin, jest słodowa whisky Glenfiddich, ale ja, spauperyzowany esteta, smakosz barów piwnych, wysublimowany znawca win owocowych, szukam zgłodniałym wzrokiem wódki, zwykłej ordynarnej gorzały, która może zaszkodzi mi na wątrobę, ale pomoże powiedzieć Dragonowi prawdę. I co więcej, powiedzieć całkiem bezpiecznie, z całą tą neodpowiedzialnością przynależną w naszym systemie tylko wariatom i pijanym.

I tak też odpowiadam na pytanie uprzejme Wojtka, czego się napiję.

– Gorzały – odpowiadam ochrypłym głosem, czując, że brzmi to ordynarnie i sprawia Belzebubowiczowi przykrość. Ale tak właśnie jest dobrze. Belzebubowicz zresztą wsadził już nos w kieliszek z jakimś koniakiem, może to jest hennessy, a może camus. Wojtek szpera w butelkach, pośpiesznie, bo z przedpokoju dochodzą już podniesione głosy, łypie na mnie, wreszcie, nie znalazłszy wódki, nalewa mi szklanę białego bacardi pachnącego obcym, wysokim słońcem.

A tu słyhać dźwięki marsza triumfalnego z „Aidy”, otwierają się podwoje i wkracza Hybryd z małżonką, niosąc w ręku tacę z bochenkiem chleba i srebrną solniczką. Za nimi wlewa się tłum gości, a pośród nich, ale jednak w wyraźny sposób osobno, stary Męczydław, o pół głowy wyższy od pozostałych, bardziej nalany i bardziej czerwony na twarzy. Gwar głosów, wszyscy gadają naraz, przekrzykując Verdiego, i z tego karnawałowego zbiegowiska wyróżnia się tylko Męczydław właśnie, nieobecny, ale widocznie wykalkulowanym milczeniem.

Przychodzi mi na myśl, że i ja milczę, smętny bohater marnej rejterady, przed chytrą pewnością Dragona, i jedyne, co mnie pociesza, to że ja milczę do wewnątrz, w siebie, a on, Męczydław starszy, milczy na zewnątrz. I to jego milczenie autorytatywne rozchodzi się w jakiś niepojęty sposobna boki, przepływa przez jadalnię ku przedpokojowi« wszyscy milkną nagle uciszeni jego wyniosłą martwością.

Milknę nawet z przeciągłym zgrzytem igły po płycie chór Egipcjan z „Aidy” i tylko ja, ucieszony, że mnie przecież nie zdołał uciszyć, bo milczałem od początku, zachęcony miłym ciężarem szklanki pełnej rumu w ręce, odzywam się w tej ciszy namaszczonej i napiętej:

– Zdrowie młodej pary!

I znów, jak w tej sali na pierwszym piętrze Pałacu Ślubów, wszyscy patrzą na mnie, ale już bez oczekiwania, tylko ze zgrozą. Hybryd, czerwony na twarzy, a może tylko mi się tak zdaje w tym świetle, spogląda na mnie błagalnie, gdy podnoszę do ust szklankę.

Tylko Męczydław rozjaśnia się.

– Zdrowie młodej pary! – powtarza. – Ale ja nie mam kieliszka.

I już strzelają korki szampana, piana spływa na podłogę, podstawiam swoją szklankę, Męczydław pije, wszyscy piją i pomału narasta gwar głosów, jedynie Hybryd stoi bezradnie pośrodku, z tacą, chlebem i solą, i jest to ten sam bezradny chłopiec, którego pamiętam z jego pierwszego wernisażu witającego gości przy wejściu do galerii.

– To było dobre wejście – klepie mnie po ramieniu Dragon. – Z wyczuciem.

Żal mi się nagle zrobiło Hybryda, bo to przecież w końcu jest jego wesele, tymczasem stoi z boku, wszyscy tłoczą się, by potrafić kieliszek Męczydława, by się choć otrzeć o jego rękaw.

Trącam Dragona łokciem w bok.

– Spodziewam się – mówię szyderczo, brodą pokazując Hybryda – że Męczydław nie przepuści też nocy poślubnej.

Gruby ma jednak refleks.

– Wojtek – dysponuje – weź tacę od pana młodego.

I zaraz zwraca się do mnie tonem zgoła poufałym.

– Normalnie pewnie by nie przepuścił – syczy mi w ucho – ale synowa nie bardzo mu się udała.

Szukam wzrokiem panny młodej, jeszcze nie zdążyłem jej się przyjrzeć, nie wiem, może gdzieś już ją widziałem, a może tylko opowiadano mi o niej. Więc się przyglądam, nie natarczywie, tylko ot tak sobie, od niechcienia prześlizguję się wzrokiem po twarzy i sylwetce.

Dragon ma rację. Żona Hybryda, który jest przecież ładny chłopak i zdolny, tylko zupełnie niezaradny, jest brzydka jak kwit na węgiel. Głęboko wpadnięte oczy, duży nos, wąska smużka ust. Duże dłonie. Piersi, tak, piersi wyglądające śmiało z dekoltu, ocierające się o siebie wąską smużką dzielącego je łagodnie bladego cienia żyją własnym rytmem pod wystającymi kośćmi obojczyków. Idę ze szklanką oblepioną musującą słodkością krymskiego szampana, który jeszcze nie zdążył się gdzieś tam we mnie przeżreć z cierpkim rumowym odwarem, i pod pretekstem stuknięcia się szkłem z panną młodą, nieprzeparłej chęci okazania jej w tym dniu tak wyjątkowym wszechobejmującej życzliwości, pakuję nos w dekolt, nad białą koronkę, w ten cień, w jedyne miejsce które wydaje mi się z sali wypełnionej ludźmi świeże, soczyste i żywe. Pakuję nos i otwieram szeroko oczy, by się napatrzeć, nabrać siły, uwierzyć, że i tu jest miejsce, w którym zawsze poszukać można schronienia. I widzę z bliska białą skórę pokreśloną sinymi żyłkami, zamazanymi różową warstwą nierówno nałożonego pudru. Patrzę dalej i w momencie dziwnej iluminacji widzę ukrytą głęboko pod suknią konstrukcję z drutu i fiszbin, sznurków i tasiemek, która wiąże to wszystko, chroni przed upadkiem, ale nie może powstrzymać powolnego umierania.

Ale już Dragon, czujny żuraw, towarzysz mój nieodstępny, wali mnie swą ciężką łapą w plecy.

– Zdrowie panny młodej! – woła ochoczo. – Pij pan, panie Mści, aby do dna.

Piję i krztuszę się, szampan uderza mi do nosa, oczy pełnią się łzami, kaszlę długo i chrapliwie z powrotem w nadstawioną szklankę.

Dragon dziwi się.

– Coś pan nie w formie – stwierdza. – A przecież wesele jeszcze się nie zaczęło.

Już się zaczyna, już rozsadzają gości wedle skomplikowanego protokołu, najpierw oczywiście Męczydława przy węższym boku stołu, na miejscu honorowym i prezydialnym, nad samotnym nakryciem różowiącym się stertą kruchej porcelany. Potem sadzają następnych, mniej ważnych gości i trwa to długo, w nieskończoność, ten taniec wokół ofiarnie zastawionego stołu, aż wreszcie siedzimy wszyscy, ciasno jeden obok drugiego, ja przy Dragonie, i jedno tylko miejsce honorowe, to naprzeciw Męczydława, pozostaje puste.

– A to dla kogo? – pytam szeptem Dragona myszującego wzrokiem między zakąskami i obliczającego pierwszy niezawodny chwyt.

– Co? – mówi niezbyt przyjemnie. – Ach, to? To dla tego księdza chyba, który dał Hybrydowi ślub z błogosławieństwem w jakichś ciemnych katakumbach, z dala...

Dragon nie kończy, a ja chcę wiedzieć, co to znaczy z dala.

– No z dala – powtarza poirytowany. – Pan jest jak dziecko, jakby pan sobie nie zdawał sprawy, jaka to gratka dla wroga ideowego, że proszę, Męczydława syn, a klęczy przed ołtarzem, spowiada się, stułę całuje.

– U nas nie ma odpowiedzialności zbiorowej – mówię.

– No tak – bawi się widelcem – ale kołtuństwo, ciemnogród, panie Mści, klerykalizm.

– Pan sądzi – też zaczynam bawić się widelcem – że wierzący mogą wysunąć przeciw Męczydławowi zarzut, że jego syn brał ślub kościelny?

Dragon odkłada widelec i patrzy na mnie przeciągle.

– Pan jest urodzonym prowokatorem – powiada – więc dobrze, ja sam też brałem ślub w kościele, Męczydław zdaje się też brał. To były inne czasy i teraz nie ma znaczenia. A dziś powiedzą: „Syna wychować nie umiał, a mamy mu powierzyć klasę robotniczą, społeczeństwo, naród?”. Teraz pan rozumie?

Czekanie jest nużące i nie chce mi się zrozumieć, bo nudziłbym się jeszcze bardziej.

– Kto powie? – drażę. – Klerykalny kołtun?

– Z panem dziś się nie da rozmawiać – mówi zrezygowany. – Jakby pan przyjechał z zagranicy.

– Bo pan, mój drogi – pozwalam sobie na poufałość – chciałby, żebym z panem dyskutował dopiero po przyjęciu pańskiego punktu widzenia.

– Chciałbym – wzdycha komicznie, a ja wiem, że to jest jego wyznanie najgłębszej wiary, że ja w końcu przyjmę ten punkt widzenia bez zastrzeżeń i wątpliwości.

Daję spokój Dragonowi i zaczynam rozglądać się po gościach oplatających ciasno stół. Jest tu z pięćdziesiąt osób, a jeszcze w kącie izby tkwi mniejszy, przy którym siedzi jeszcze kilku mężczyzn, zdaje się, że poznają Wojtka, i oni tam nie czekają, tylko jedzą i piją. Tak, to Wojtek, nasze oczy się spotykają, mruga znacząco i podnosi do ust setkowy kieliszek.

A my czekamy wciąż w rozgwarze przyciszonych rozmów, czeka też Męczydław, zwiesiwszy nad stołem gumiąstą, porozciągąną twarz. Zaś naprzeciw mnie, nieco ukosem w lewo, zasłonięty piramidką białej kiełbasy Hybryd, z białym goździkiem wpiętym w klapę marynarki czy może raczej zakietu, z perłą wpiętą w szary połyskliwy krawat wygląda tak staroświecko i bezbronnie, aż mi się go żal robi i chciałbym mu powiedzieć coś ciepłego,

dodać odwagi, zachęcić do złamania ceremoniału, do zrobienia czegoś najnaturalniejszego w świecie, nałożenia sobie kielbasy, wypicia wódki, pocałowania panny młodej i nawet nachodzi mnie szalona chęć, by go zastąpić, złapać ręką kawał wędzonego łosia, który kusi mnie matową tłustością z najbliższego półmiska, i pochłonięcia go łąpczywie, bez chleba, na oczach wszystkich czekających. Już wyciągam rękę, gdy kątem oka dostrzegam dziwne manipulacje mego sąsiada z lewej, na którego, zajęty pouczającą i głęboką rozmową z Dragonem, nie zwróciłem uwagi. Jest to prosto trzymający się starzec z siwym wąsem, wysoko podgoloną siwą czupryną, twarzą kościstą. Starzec, zbyt bowiem jest wysoki i wyschnięty, bym mógł go nazwać staruszkiem, uszczknął więc ze stołu, zawalonego pod sufit prawie półmiskami, niewielką pajdkę chleba i teraz manipuluje nią na kolanach, wydłubując z brązowej skórki kawałki mięszu i niosąc je pod osłoną cichego pokaszliwania ku ustom.

Zawstydziłem się, a on, poczuwszy mój wzrok, podsuwa mi w geście porozumienia, kładąc rękę na kolanie, tę swoją napoczętą kromkę. Odłamuję kawałek i żując kwaśną okruszynę w konspiracyjnej solidarności ze starcem, solidarności skierowanej przeciw wszystkim innym zastygłym przy stole w biernym oczekiwaniu, czuję się szczęśliwy, że oto spełnił się mój bunt w geście, któremu mógłbym nawet przypisać znaczenie tajemne i symboliczne.

Od jednego powstrzymać się nie mogę, od okazania tej mojej niezależności duchowej Dragonowi Belzebubowiczowi, który ma własne konwenanse narosłe na pokładach dawnych, wszystkie razem nosić musi ze zręcznością prestidigitatora, gdyż upadek jednego spowodowałby załamanie się całej tej, tak misternie splecionej, piramidy zachowań, słów i gestów, których współistnienie gwarantuje mu jego pozycję. Więc odwracam się do Dragona, który rozłożył sobie na kolanach papierową, różową serwetkę i już sposobi się, by solidarnie i rzetelnie uczcić święto swego pryncypała, i z pełną gębą powiadani najbezczelniej w świecie:

– Czy mógłby mi pan podać sałatkę?

Belzebubowicz cofa się przestraszony, z brzękiem leci na podłogę widelec, wszyscy patrzą na nas, ja sam czuję na karku, na krawędzi ucha, na włosach ciężki wzrok Męczydława i właśnie wtedy następuje cud, bo oto przy drzwiach robi się zamieszanie, ktoś wstaje, szurając ciężko krzesłem, wszyscy patrzą w drzwi, zapominając o nas, o mnie, o prowokacji, bo teść Hybryda wprowadza ostatniego, oczekiwanego, gościa. Barczysty mężczyzna w czarnym swetrze pod marynarką, spod którego wystaje rąbek białego kołnierzyka tak dyskretnie, że nie wiadomo, czy to koszula, czy koloratka, patrzy z zadowoleniem na

olbrzymi stół, na zastawę i siadając wreszcie, mówi, zacierając ręce:

– No to z Bogiem.

Iskra przelatuje wokół stołu, jakby powiał nad nim istotnie Duch Boży, tchnąc życie w umęczone pozowaniem manekiny, ręce przebiegają nad półmiskami, kłębią się nad salaterami, trącąc się i splątując, rozrywając misterne konstrukcje pozwijanych w trąbkę płatów szynki, stosów ofiarnych z uwędzonych szczap węgorza, zwojów kielbasy domowego wyrobu. Już niektóre półmiski świecące bezwstydną bielą ozdobioną samotną pogardliwie pozostawioną rzodkiewką wędrują na powrót do kuchni. Belzebubowicz, choć w ogniu walki, spocony, przechylony do przodu, nie zapomina o mnie. Nałożywszy sobie dwie łyżki czerwonego kawioru i jedną łyżkę czarnego, pakuje mi na talerz pół salaterki sałatki jarzynowej, jakbym go o nią prosił właśnie w tej chwili, a nie w owej zamierzchłej przeszłości, gdyśmy dopiero czekali na wypełnienie wokółstołnego frontu jedności.

Nic to jednak, bo krążą też w powietrzu pękate butelki, z miłym, głuszącym wszystko bulgotem napełniające kieliszki.

Dwie przy stole osoby nie biorą udziału w tej powszechnej rozdygotanej bieganinie rąk i sztućców. Starzec siedzący u mego lewego boku powoli, starannie jak rzemieślnik kroi w cienkie plastry wysuszoną kielbasę, kładzie ją na chleb, lekko muska zmoczonym w chrzanie końcem noża, przykrywa drugim kawałkiem chleba, kroi to wszystko raz jeszcze na cienkie paski i je kawałek po kawałku wolno i dyskretnie, tak jak przed chwilą spożywał okruchy. Męczydław nie rusza się w ogóle. Tańczą wokół niego dwie kobiety, może jedna z nich to teściowa Hybryda, pewnie tak, w każdym razie podsuwają mu pod nos coraz to nowe talerze i półmiski, a on drobnymi ruchami głowy, w górę i w dół lub na boki, wydaje strategiczne dyspozycje.

Wbijam widelec w łososiowego soczystego rydza z octu, który wyrósł mi na samym szczycie kopca sałatki jarzynowej, przychyłam obszerny kieliszek i palącą ciecz, która zatrzymuje się w ustach, oblepiając dziąsła i zęby, popycham strzępami grzyba.

– Nic pan nie je – mówi z wyrzutem Dragon, brodą pokazując mój talerz przelewający się sałatką na wykrochmaloną biel obrusa. W kącikach ust zastygły mu spieczoną czernią ziarnka kawioru.

Ale we mnie wszedł już na dobre lodowaty ziąb zmrożonej wódki, ogrzewając końce palców, po których talerz mój unosi się w górę i wali wprost na jego kolana, na starannie zaprasowane spodnie, spływając w dół falą majonezu poznaczonego cętkami zielonego groszku.

Nimem zdążył coś powiedzieć, usprawiedliwić się, schwytać mój tak fortunnie

opróżniony talerz, już biorą Dragona pod rękę, już go, kwiczącego i opierającego się, odprowadzają od stołu, ledwie zdołał w ostatnim odruchu rozpaczy pochwycić w rękę pęk kabanosów, którym macha w moją stronę niczym anioł zemsty mieczem ognistym. Nic to, bo jakaś ręka dobrotliwa napełnia znów mój kieliszek, a ja myszkuję wśród stołowego pobjowiska jak maruder obdzierający trupy na polu walki, wyławiając przegapione lub wzgardzone co smakowitsze kąski. Rwę zębami rolmopsy zawinięte w poledwicę, wysysam węgorki utyłane w musztardzie, z nabożnym szacunkiem sypię na przerośnięty baleron ziarenka jesioteowej ikry.

Z zapamiętania roszącego czoło potem rzetelnego wysiłku wyrywa mnie dyskretne dzwonenie. To Męczydława podniósł z wysiłkiem swoje ciało obrzękłe puchliną władzy, trawione bezruchem narad i zebrań, i dyskretnie dzwoni końcem noża w kryształowy pucharek.

Cichną posapywania, mlaskania, chrzęsty, zatrzymują się w pół biegu rozjątrzone szczęki. Wlepiamy wszyscy wzrok w Męczydława, który, opierając się lekko końcami palców o krawędź stołu, kołysze się to w przód, to w tył.

– Przepraszam – rzecze Męczydława głosem solennym i brzuszonym – że będę mówił bez kartki, ale ci z państwa, którzy znają mnie z telewizji, wiedzą, iż wbrew plotkom umiem jednak czytać.

Tu przerywa i patrzy na nas, a my go oczywiście w takim dniu uroczystym nie zawadzimy, podnoszą się brzuchy, podskakują podbródki, kadzidło śmiechu osnuwa Męczydława, a on wdycha je rozwartymi chrapami. Najgłośniej, najprzenikliwiej, kaskadami piskliwego chichotu wybija się ponad wszystkich szlachetny starzec po mojej prawej ręce. W koniuszkach jego bladobłękitnych oczu błyszczą łzy.

Męczydława nawet skierował wzrok w tę stronę, popatruje na starca z pobłażliwym zadowoleniem, ale gdy śmiechy powoli milkną, zamierają pod wysokim sufitem między zwojami żyrandola, starzec najnieoczekiwanej w świecie zwraca się ku mnie i, wskazując Męczydława kościstym palcem zakończonym poszarpanym paznokciem, pyta na cały głos:

– Co on powiedział?

Powiało grozą, tylko Męczydława, zaprawiony w politycznych utarczkach, sam wzór gabinetowej zręczności, piskorz narodowego porozumienia sunący wzdłuż linii socjalistycznej odnowy, nie słyszy nic, nie zwraca uwagi, lekceważy, przechodzi mimo i mówi dalej, a mówi pięknie, do swego syna i nowej synowej, do księdza, który ich w bocznej kaplicy, zaryglowanej i ciemnej, połączył węzłem wieczystym w obawie przed publicznym zgorszeniem, do Dragona, do mnie, do wszystkich zgromadzonych. Mówi do

ludu, do społeczeństwa, do narodu: do klas, warstw, grup; do wierzących i niewierzących, partyjnych i bezpartyjnych, zaangażowanych i obojętnych; do milczącej – wyjąwszy głuchego starca, który skłonił głowę na oparcie fotela i drzemie – większości oczekującej jego słowniczym rozstrzygnięcia.

A Męczydław mówi pięknie w tym dniu tak dla niego uroczystym i ważnym, prawi o niebezpieczeństwach grożących temu małżeństwu; o zdradzie, infiltracji i agenturze; o zazdrości i nienawiści; o rozpasaniu i ślepcie; o pomście, odwecie i rewanzu; o miłości i karceniu. I mówi jeszcze, że do ostatniej jego kropli krwi bronić będzie tego małżeństwa i nie zawaha się przed niczym, bo po jego stronie jest racja, historia i system prawa chroniący związek małżeński niczym dobro najwyższe.

A mówi tak, pięścią uderzając o stół, aż mu kryształowe kieliszki sercem swym wódczanym odpowiadają, że szloch biegnie wokół stołu i podnoszą się w ludziach słabego nawet ducha serca.

Wreszcie skończył i nadeszła chwila najpiękniejsza, bo sięgamy po kieliszki i pijemy zdrowie młodych, do dna. Ledwie przełknął, słyhać dzwonienie srebrzyste jak sygnaturka. Książd mówi teraz i też od żartu swobodnego zaczyna:

– Krótko będę mówił – prawi – po żołniersku. Co Bóg złączył, tego niech człowiek nie rozłącza, a wyroków boskich dochodzić rozumem ludzkim nie wolno, bo łąco można pobłądzić. Ustanawiając sakrament małżeństwa, Bóg umiar ustanowił, a kto by to święte prawo łamał nieumiarkowanie na wieczne się skazuje potępienie, a i doczesnym nieszczęść tylko przysporzy. Dlatego piję zdrowie nowożeńców, aby im przykład dać w umiarkowaniu.

– O to, to, to właśnie! – woła Dragon i z uciechy bije się ręką w kolano, a potem, z rozpędu, i mnie po udzie.

Męczydław z drugiego końca stołu głową z zadowoleniem kiwa, ale nic to, bo znowu pijemy, a mnie już o nic innego nie chodzi, tylko żeby toast szedł za toastem, żeby nie rujnować tempa, nie rozregulowywać tego zegara biologicznego, jaki mam w sobie, a który, wiem to, odezwie się bolesnym ssaniem i dusznością, gdy rytm się zmiesza i opóźni.

Toteż patrzę z nadzieją wokół stołu. Jakoż podnosi się Hybryd, spłoniony jak panienka, zmieszany, by na toasty tak życzliwe odpowiedzieć.

Chwilę stoi, spuściwszy głowę, obracając w rękę pusty nie wiadomo czemu kieliszek, i wreszcie, przemógłszy się, wykrztusza tylko jedno słowo:

– Gorzko.

Podchwytyjemy to wszyscy i po chwili, przy wtórze klaskania w dłonie, skandujemy zgodnie:

– Gorzko, gorzko, gorzko!

Nad chór, nadspodziewanie składny, wybija się głos mego sąsiada, starca, który zbudziwszy się ze snu, rozgląda się nieprzytomnie wokół, jakby nie poznawał, gdzie i dlaczego się znalazł, ale jednak woła gromko to jedno słowo:

– Gorzko, gorzko, gorzko!

Żona Hybryda, spłoniona równie jak on, wstaje, przymuszona tak powszechnym, jednomyślnym żądaniem. Hybryd łapie ją w pól i przyciska lekko jak w tangu argentyńskim, a ona pochyla się w tył, odrzucając głowę tak, że włosy spływają na stół. A wtedy Hybryd też przegina się w pasie, nieznacznie wypinając w stronę gości, wpija w jej usta i zamierają oboje w małżeńskim pas de deux. My wciąż wołamy: „gorzko, gorzko!”, a wtedy przez salę, od bocznego stolika, podnosi się jeden z siedzących tam, idzie ku Dragonowi, nachyla do jego ucha i szepce coś, czego dosłyszeć przez chóralne skandowanie nie mogę. Dragon kiwa głową, odsuwa krzesło i wciąż wołając: „gorzko, gorzko!”, idzie do Męczydława, dłoń zwiniętą w trąbkę przykłada mu do ucha, Męczydław, skinąwszy głową, uderza ręką na płask o blat stołu.

– Dość – powiada cicho, ale stanowczo.

– Dość? – pyta ktoś.

– Dość, dość – odzywają się głosy z różnych końców stołu.

Hybryd i jego żona odskakują od siebie, zdyszani, stargani, umazani szminką.

– Dość – mówię i ja. – Napijemy się.

Podnoszę kieliszek, ktoś stuka oń delikatnie, odwracam się i zaskoczony widzę, że starzec, który siedział dotąd obok ranie, gdzieś zniknął, że teraz siedzi tu uśmiechnięty szelmowsko Piotr, przepija do mnie pełną szklanką.

– Nie – bronię się. – Nie, jeszcze nie teraz, dopiero się przecież zaczęło wesele. Proszę cię, jeszcze nie teraz.

I choć wiem, że to beznadziejne, wstaję, by od niego uciec, obronić się łykiem świeżego powietrza. Po drodze łapie mnie za łokieć Wojtek.

– Chodź pan do nas – woła i grzecznie robi mi miejsce, szerokim gestem pokazując na współtowarzyszy i wyjaśniając: – Koledzy.

Kłaniam się kolegom taksującym mnie badawczym spojrzeniem.

– Lufę? – pyta Wojtek, lejąc obficie do szklanki od wody mineralnej. – No wal, stary, co się będziesz obcyndalał. Widziałeś, jak te chamy tu żyją, kurdebele? Dziesięć hektarów pod szkłem, to im mogą z całym kryzysem naskoczyć. Wszystkich by tu nas, jak siedzimy, kupili. No to lu.

Przechyla z wielką wprawą ćwiartkową szklanke i wlewa jednym ruchem prosto w gardło. Pije i ja, krztuszę się i znów piję.

– No, co jest? – dziwi się Wojtek. – Nie idzie?

– Co ma nie iść? – odpowiadam i czuję, jak wraca. – Musi.

– Git jesteś człowiek – Wojtek obejmuje mnie ramieniem – to ci powiem. Męczydław, on jest chytrusek. Przezorny zawsze ubezpieczony. Jak mu się teraz noga poślizgnie, na emeryturę go pošlą, doktorat pisać, to ma jak znalazł. Z głodu nie zginie. Dlatego zgodę dał na małżeństwo, choć wiedział, że to walewska jest.

– Co? – pytam lekko oszołomiony.

– No przecież po polsku mówię – Wojtek jest urażony.

– Walewska, znaczy się pakulska. Kolega sprawę badał, to wie. No nie, Władek?

– No – potwierdza obojętnie Władek. – Normalnie dziurawka.

– Posyp, kolego – zwracam się do Wojtka, bo czuję, że słabnę. – I co Męczydław?

– A nic, wie, co mu potrzeba, i tyle. Synowa mu tam teraz nie podskoczy, żadnego koziołka nie wywinie – Władek ściska dłoń w pięść: – O, tak ją trzyma.

Pijemy znowu.

– Zajarałbym – mówię do Wojtka, bo mnie ta rozmowa wciąga zupełnie. – Kopsnij szluga.

Wojtek daje mi carmena, przypala, chwilę siedzimy w milczeniu.

– Ty – powiada nagle Władek, zwracając się do Wojtka to swój człowiek?

– A jak – odpowiada Wojtek – nasz. Krew z krwi naszej kość z kości.

Ale Władek jeszcze nie dowierza.

– Skąd jesteś? – wyciąga ku mnie palec, a ręce ma żylaste, prawne, podziargane tatuażem.

– Z Pragi – mówię z dumą. – Z Targowej ulicy.

– A Józka z Brzeskiej znasz? – bada mnie dalej Władek. Ale nie ze mną te numery.

– Którego Józka? – pytam. – Pilnika spod piątki czy Presleja spod jedenastego?

– Mówiłem – rozjaśnia się Wojtek i patrzy na mnie z aprobatą.

– No nie – Władek też szczerzy się w uśmiechu – trzeba to oblać. Bo ja jestem z Karolkowej.

Oblewamy, a mnie wraz z wódką przepelnia wzruszenie, że tutaj, w obcym miejscu, hałaśliwymi i tłoczonym, jednak udało mi się spotkać rodaków, co tam rodaków, dusze bratnie niemyte, swojaków, przy których zedrzeć mogę nienawistną maskę konwenansu, otworzyć się, wyjąc na stół to moje nagie ja, duszone na co dzień i tłamszone.

– Chłopaki – mówię przez łyzy – chłopaki.

– Chłopaki to u szewca, gwoździe prostują – warczy trzeci przy stole, milczący dotąd, i patrzy na mnie z niechęcią.

– Spadaj – ucina go Wojtek, który widać czuje się za mnie odpowiedzialny.

A Władek, widząc moją spłoszoną minę, powiada konfidencjonalnie.

– To ja ci więcej powiem. My nie tylko wiemy, z kim ona, co i kiedy, ale mamy zdjęcia. Bardzo twarzowe fotki.

– I Męczydław je widział?

– A po co? – dziwi się Władek. – Myśmy widzieli, to starczy, nie? Jemu się pokaże, jak przyjdzie pora.

Wybałuszam oczy, więc Wojtek śpieszy z tłumaczeniem.

– No jakby on się chciał odchylić od linii, to my jesteśmy od tego, żeby czuwać. Kapujesz?

Kapuję i wobec tego sięgam znów po papierosa.

– Tak, tak – powiada sentencjonalnie Władek. – Ciekawą mamy pracę, tylko, kurza twarz, bywają momenty trudne. Weźmy na ten przykład teraz. Wesele w pyte, gorzały skolko ugodno, zagrycha w porządku, tylko gorąco jak w piecu, a katany zdjąć nie można. Cały mokry jestem.

– To ściągaj – zachęcam go. – Co się będziesz obcyndalał.

– Akurat – wzrusza ramionami i rozchylając poły marynarki, pokazuje mi na brzuchu błyszczącą kolbę broni służbowej. – W uprzęży będę publicznie biegał?

A ja sobie przypominałem o swojej marynarce, z za długimi rękawami, parzącej mi grzbiet, zdejmuję ją i niosę do przedpokoju, na wieszak. W samej koszuli wychodzę na ganek. Noc jest czysta, mroźna, wygwieżdżona, powietrze pachnie świeżo końskim moczem i koksowo węglowym czadem. Stoję chwilę w pustce między weselem i kreską lasu na dalekim horyzoncie, jakby wahając się, co dalej, aż wreszcie, nie przestając się zastanawiać, wracam do środka. Tymczasem towarzystwo porozłaziło się po całym domu, przerwało wyżerkę i opilstwo, kupi się po kątach, gadając, w obszernej izbie na prawo zaczęły się tańce, słysząc stamtąd monotonne uderzenia bębna, zadyszki akordeonu i melancholijny głos solisty śpiewającego: „Żółti jesienni liść mówi nam o rozstaniu, żółti jesienni liść słowa śle pożegnania...”, szurają po wyszorowanych do białości deskach podłogi podeszwy butów. Zaglądam do środka, kilka par kręci się niemrawo wokół Hybryda i jego żony obserwowanych ciekawie przez dwie przycupnięte w kącie starowinki, ale w tym całym tańcu nie ma ognia, nie ma ochoty, nie ma wesela właśnie. Nawet nie ma szczypty ukradkowego,

przytulonego erotyzmu. Jest dojmujące poczucie obowiązku, wypełnianie weselnego programu, którego nie ożywiają wystudiowane, profesjonalne ruchy prowincjonalnego solisty.

– A wy, panie, nie tańczycie? – pyta mnie jedna ze staruszek i nie czekając na odpowiedź, stwierdza: – Za moich czasów, jak młodzież tańczyła, to dom cały chodził.

I rusza drobnym klusem wzdłuż ściany, rozkładając i składając luźną spódnicę z różowej krempliny w takt ludowego tańca, którego w pół zamarłe echo snuje się jeszcze ukradkiem po izbach tego domu.

Umykam na korytarz, do sieni.

A tam, oparci o poczerniałą komodę, rozdzieleni pękatą karafką, gawędzą sobie z małymi kieliszkami w ręku Męczydław Parazycki w rozpiętej kamizelce i ksiądz, też już bez marynarki, w samym sweterku. Chcę się przemknąć bokiem, ale Męczydław dostrzega mnie i kiwa łaskawie ręką.

– Mój drogi – mówi do księdza – pozwól, że ci przedstawię naszego redaktora, nadzieję naszej prasy i zresztą moją też. W dodatku to przyjaciel Hybryda, rozumiesz?

– A, skoro tak – powiada jowialnie ksiądz – to może pan się z nami napije. Coś zupełnie wyjątkowego, moja specjalność, przywozłem specjalnie, żeby uczestować starego przyjaciela. To lepsze niż koniak. I ma swój wiek, dwadzieścia lat.

Nie odmawiam. Nalewka jest rzeczywiście wyśmienita, zaprawiona łagodną, ściągającą działającą goryczą.

– Boski napój – mówię.

– Prawda? – cieszy się ksiądz. – Taką nalewkę jeszcze mój ojciec robił. Pamiętasz, Męciu, jak szliśmy na wagary nad rzekę i ja ściągnąłem staremu z piwnicy butelkę, i jak się popiliśmy, i jak spaliśmy w łóżach do wieczora, a komary nas tak pożarły, że trzeba było po nocy budzić aptekarza Wrońskiego?

– Co tam nalewka – śmieje się Męczydław. – Lepsze było, jakeśmy księdzu prefektowi wino mszalne z ampułki wypili i naleli wody i jak potem przed ołtarzem wypluł tę wodę i mszę trzeba było zaczynać od początku.

Ksiądz mruży oczy do wspomnień, marszczy się w uśmiechu.

– A pamiętasz co zrobił ten Staszek, ten piegowaty, co siedział pod oknem, jak mu było? Aha, Strzębiel. Więc trzeba panu wiedzieć, redaktorze, że ten Strzębiel... – tu ksiądz odwraca się do Męczydława: – A propos, nie wiesz, co się z nim dzieje, bo ja nie mam żadnych wiadomości.

– Ach, nie powiodło mu się – macha ręką Męczydław. – Jest zdaje się ślusarzem

w jakiejś fabryce czy coś w tym rodzaju. Pisał do mnie nawet, bo miał jakieś kłopoty, z mieszkaniem zdaje się, zresztą nie pamiętam, o co chodziło.

– I co? – interesuje się ksiądz.

– I nic – powiada Męczydław. – Nie mogę się przecież zajmować osobiście każdym głupstwem. Coś mu tam sekretarz odpisał, ale nawet nie wiem, co dokładnie. I co ten Strzębiel?

– To ja już pójdę – mówię, nie chcąc mieć toku wspomnień. – Dziękuję za nalewkę. Wspaniała.

– A nie, nie – zatrzymuje mnie Męczydław, chwytając za rękę. – Dragon przedstawił panu, zdaje się, propozycję. Pan, oczywiście, przyjmuje. To awans, to szansa.

– Jeszcze się nie zastanowiłem – odpowiadam wykrętnie.

– To nie takie proste.

– Radzę, żeby pan się pośpieszył – Męczydław patrzy na zegarek. – Czasu nie mamy wiele.

I zwraca się do księdza, i mówi z wielkim zapalem:

– No popatrz, jacy są ci dzisiejsi młodzi ludzie. Kariera sama pcha im się w ręce, a oni się zastanawiają.

– No nie wszyscy, nie wszyscy – łagodzi ksiądz i chwyta mnie za koniec krawata. – Czasy są niespokojne, trudne, może nawet nigdy nie były trudniejsze. Dlatego trzeba wiele poświęcenia. Musimy się trzymać razem, żeby łagodzić, żeby zapobiegać, żeby powstrzymywać. Rzecz idzie wielka, o substancję narodową, którą jakże łatwo zaprzepaścić. Jeśli wszyscy się odwrócą, to powstanie pustka, dziura, w którą wejdą obce żywioły, stąd i stamtąd, opustoszeją kościoły i wiatr tylko będzie hulał po pustkowiach.

Męczydław, który zasłonił sobie oczy wierzchem lewicy, a prawicę wyciągnął przed siebie, ciągnie dalej:

– O widzę, to, widzę. Duch Targowicy unosi się nad krajem. Wszędzie zdrada, sprzedajność. Jedni wołają o pomoc Amerykanów, inni Ruskich. Widmo rozbiorów wisi nad krajem, krwawe widmo.

Ksiądz, oczy zasłoniwszy sobie prawicą, lewicę przed siebie wyciąga:

– I ja widzę jasno, jak w pył i proch pod żołnierskimi butami rozpada się ten gmach, któryśmy wspólnie w zgodzie czy niezgodzie, jednak dla siebie i dzieci naszych, dla narodu z krwi przodków naszych budowali. O, ręce do bitki bratobójczej wyciągnięte zapleść nam trzeba w serdecznym uścisku, a Matka Boska Częstochowska, Królowa Korony Polskiej, pobłogosławi zgodzie i z kryzysu wyjść pomoże.

Poruszony do głębi nalewam sobie bez pytania nalewki, piję, znowu nalewam, a Męczydław i ksiądz, objąwszy się, poczynają się całować.

– Zgoda – mówię – tak jest, zgoda, a Bóg wtedy rękę poda.

– A widzi pan – podchwytuje ksiądz – już pan pojął. To dobrze. Ja miałem wikarego ekstremistę. Zawsze poranną mszę odprawiał, bo ja lubię dłużej pospać. No, mało tam ludzi przychodziło, ale zawsze. I raz mnie biskup wzywa, że skargi są od wiernych, trzeba go jakoś powściągnąć, bo przeciw władzy ludowej każe i tolerować tego dłużej nie sposób, jeszcze mu się coś może przytrafić, a po co. Wychodziłem mu stypendium, jest teraz w Watykanie, prawo kanoniczne wkuwa, to mu i głupstwa nie w głowie.

– Tak i ze mną było – dodaje Męczydław. – Miałem kierownika wydziału, beton to mało, łeb twardy i do tego rusofil, co dzień do ambasady latał, aż wreszcie woła mnie attache i rzecze: „Zróbcie z nim coś, bo już i słuchać się nie chce tego, co on na władzę waszą ludową wygaduje”. Załatwiłem mu radcostwo handlowe w Ułan Bator, skóry baranie kupuje, uspokoił się całkiem.

– Będzie dobrze – cieszy się ksiądz – byleśmy my, Polacy, o naszych sprawach sami rozstrzygać mogli, bez podszeptów obcych i diabelskich.

– No – Męczydław podaje mi rękę na znak, że audiencja jest skończona – skoro pan wszystko już pojął i zrozumiał niech pan idzie do Dragona i zanieś mu odpowiedź.

Odchodzę, skłoniwszy się nisko, i rzeczywiście drepczę do Dragona, a obok mnie idzie Piotr, który stał cały czas w cieniu wieszaka, nie ośmielając się przyłączyć do rozmowy, a teraz naszeptuje mi do ucha, żeby znów wypić, i jeszcze, uchlać się, przewracać butelki, potłuc kieliszki i dać się odnieść na siano, by przespać tę noc, te rozmowy, to całe wesele.

Walę się na krzesło obok Dragona, który ani na chwilę nie przestał jeść, nalewam sobie i wpatruję się w pobojowisko stołu, w rozgrzebane szańce salatek, w okopy półmisek, w porzucone w beładzie sterty widelców, w pomięte proporce serwetek oznaczonych krwawymi śladami szminki, w samotne zwłoki pozostawionych w popłochu zakąsek. I wydaje mi się, że obrus wzdyma swą splamioną biel, unosi się ku górze i wydyma jak fala, by obrzucić mnie resztkami, odpadkami weselnego stołu, a samemu ulecieć swobodnie ku wyziębionym, nagim polom i rozłożyć się na nich od krańca do krańca. Czuję boleśnie, jak ten widok osobliwy i pijany budzi we mnie myśl bezsłowną, która wydaje się być dotknięciem tajemnicy.

– Wódki! – wołam.

Dragon chwyta za butelkę i patrzy mi prosto w oczy.

– I co? – pyta.

– Zdecydowałem się – mówię.

– Ach, jak słodko – cieszy się – jak uroczo. Jakim blaskiem wspaniałym lśnią modre oczęta, jak wiją się złote włosy nad wzniosłym czołem, jak szlachetnie rysują się usta w zapowiedzi uśmiechu. Pięknyś pan, mądry i dobry.

Dragon głaszcze mnie po głowie z rozczeniem, zrywa się, łapiąc za kielicha, woła:

– Bruderszafta!

– Bruderszafta? – pytam.

– Tak, tak, bruderszafta! – chwyta moją rękę, przekładając ją wraz z kieliszkiem przez swój łokieć. – Ten stygmat braterstwa dusz, pokrewieństwa sumień, szczerości wzajemnej, wierności i oddania. Bruderszafta, o tak, teraz bruderszafta!

Pijemy i Dragon, wyższy o głowę, może nawet o dwie głowy, pochyla się nade mną, przygniata i przysysa do mego policzka, śliniąc go obficie z jednej, z drugiej, i znów z tamtej strony. Przyduszony dostrzegam rozwarte pory obwisłej skóry, kępki rudych włosów wychodzących z uszu, samotnego węgry wzbierającego pod pocerniałym czopem tłuszczu. Nareszcie Dragon mnie puszcza, by odepchnąwszy od siebie, przyglądać się chwilę z zachwyceniem i przygarnąć na powrót do piersi.

– No – mówi głosem złamanym wzruszeniem – jużes teraz mój. Mów mi Draguś.

Wycieram mokrą twarz rękawem.

– Draguś – powiadam – zaszło, widzisz, nieporozumienie. Zdecydowałem się, to prawda, ale zdecydowałem, że nie.

Zaskoczony wybałusza się na mnie, mamrocze coś pod nosem, rozważa.

– Ach tak – mówi wreszcie. – No cóż.

– Wolna wola – dodaje. – Jak chcesz.

– Ale – uprzedza – moment był ostatni.

– Najostatniejszy.

– Ostateczny.

Znów chwyta butelkę, nalewa, wciska mi w rękę kieliszek.

– Pij – mówi – synu marnotrawny, bracie stracony na zawsze, pij, Mści, antybruderszafta ze mną, boż musimy tę więź nieprawą, zdradą i podstępem niegodnym zawiązaną, zmyć i splukać.

– Antybruderszafta? – pytam.

– Antybruderszafta – potwierdza.

Pijemy i Dragon rękę do mnie wyciąga, sztywną i jednocześnie jakby bezwładną.

– Dragon Belzebubowicz – przedstawia się – kierownik wydziału.

– Miło mi – mówię machinalnie.

– A teraz – rzecze Dragon – bądź pan tak uprzejmy i odwróć się ode mnie, bo mi przykrość sprawia widok mordy pańskiej, ordynarnej i nieinteligentnej, pańskie świńskie oczka rażą zmysł mój estetyczny, a poza tym zapach, który pan wydzielasz, odbiera mi apetyt. Mówiąc szczerze, bo jakież ja mam powód bawić się z panem w drobnomieszczkańskie konwenanse, śmierdzisz pan nie do wytrzymania błotem i zgnilizną.

Opuszczam głowę na piersi tak, że guzik rozchełstanej już koszuli wżera mi się boleśnie w brodę, i zgnębiony zasypiam z otwartymi oczami. Budzi mnie szarpnięcie. To Piotr, pochylając się nade mną, potrząsa mnie za ramiona.

– Nie śpij! – woła. – Nie wolno ci teraz spać. Bierz władzę, bierz co prędzej i wdepcz grubasa w podłogę, między deski, w szpary wypełnione kurzem i mysimi bobkami. Zabierz mu mieszkanie służbowe, dając przerób na żłobek, fiata na przedszkole, niech się stanie malutki, biedny i zahukany, niech się ciebie boi, niech trzęsie portkami, że mu i kartki na płatki owsiane zabierzesz. Bierz władzę!

– Aaa! – ryczę, bo słowa Piotra leją się jak balsam na moją godność deptaną latami, na moją ranę krwawiącą po wyrwanym bruderszafcie, bo podnoszą we mnie umiłowanie sprawiedliwości dziejowej. – Aaa, wolność, równość, braterstwo! Braterstwo, wolność, równość! Dajcie mi władzę, dajcie mi rząd dusz, mnie, inżynierowi subtelnemu.

Za pysk Dragona i w uźdzenie, tę samą, którą mnie chciał kielźnąć, władzy.

Wtem starzec obok siedzący ocknął się także, na nogi stanął chłop jak świeca, prosty, zgrabny, obcasami wali.

– Starszy ułan Kuśmider melduje się na rozkaz – powiada. – Bić?

– Bić! – wołam – Bić, kto w Boga wierzy!

– Jezus, Maria, Józef! – wtóruje mi starszy ułan Kuśmider, proporzec furkocze mu nad głową, dźwięczą ostrogi.

– Książd Skorupka z nami, Matka Boska Radzymin błogosławi! Cud, cud prawdziwy nad Wisłą!

– Nie było żadnego cudu nad Wisłą – wtrąca Dragon.

– Własnąsmy piersią bolszewię odparli.

– Bluźnierco, z drogi! – woła Kuśmider i już krzesło kulbaczy.

I ja zgrabnie, skokiem jednym, którym po przodkach odziedzyczył, po Somosierrach, Korsuniach, Wiedniach i Chocimiach, okraczam krzesło.

– A trąbić mi tam przez munsztuk do szarży! – komenderuję. – I ławą, mości panowie, kupą! Bić, zabić, a pardonu nie dawać! Naprzód!

Ruszamy klusem wokół stołu, wyciągamy się w galopie, że tylko nogi zacnych, dębowych, karych krzeseł łomoczą po posadzce. Bitewny zapach dechu nam zatyka, Kuśmider dzielny samowtór się wysforował, brzeszczotem widelca z zacnej stali nad głową błyska, ale przed nami pustka, ściana rozległa aż po przeciwległą ścianę.

– Pierchnął wróg tchórzliwy! – woła Kuśmider, krzesło wstrzymuje, aż na zadzie przysiada. – Zwycięstwo z nami, panie rotmistrzu! Czas by popasać.

Zajeżdżamy wedle stołu, prostą żołnierską strawą się krzepimy, pierogami na gorzałce z prochem.

– No, Kuśmider – mówię – dzielnieś się spisał, nie ma co. Nie minie cię nagroda.

Order mu srebrny przypinam do piersi, a stary łzę, co mu po policzku spływa, kułakiem rozgniata i aby pomieszanie skryć, organki z kieszeni łuska, do ust przykładam.

„Ułani, ułani, malowane dzieci, niejedna panienka za wami poleci...”

Ale mnie tego mało.

– „Pierwszą brygadę”! – wołam, wyciągam z kieszeni portmonetkę i rzucam orkiestrze, która rozłożyła się w kącie koło obszernego pieca.

Harmonista woreczek złapał, licząc zawartość, coś szepczą, grają wreszcie, a my z Kuśmidrem na bacność stajemy. „Krzyczeli, żeśmy stumanieni, nie wierząc nam, że chcieć to móc...”

A ja dopadam Dragona, który z głową w talerzu ćpa, mlaska i zażera się obojętny na wszystko.

– Wstać! – wołam. – Hymn grają święty, hołoto!

Za krawat podnoszę go znad stołu, stawiam na nogi.

– Nie tańczyć tam! – krzyczy Kuśmider i ciężkim wzrokiem wodzi dokoła.

Dragon stoi ogłupiały, z pełnymi ustami, nie śmiejąc nimi poruszyć.

„Skończyły się dni kołatania do waszych serc, do waszych kies...”

– O Boże, Boże! – wzywam Wszechmogącego, gity orkiestra wreszcie zawodzić przestaje. – Polska, ojczyzna moja nieszczęsna, zgwałcona przez obce żołdactwo na rozstajach dróg, a Ty na to patrzysz spokojnie!

I łkam, i łzami się zalewam, ślady złości na koszuli białej i odświętnej, Kuśmider mi wtóruje, szklanki napelniając pocieszycielką wódką, czystą jak słowo niewinna.

– A teraz „Czerwone maki”! – żądamy, i Dragon, który znów się w krzesło rozwalił, niewzruszony sam wstaje, nie czekając na komendę.

Grają grajkowie smętną pieśń, a w nas wypala się gniew i wzbiera żal dojmujący i zrezygnowany.

Stoimy na spocznij, z głowami zwieszonymi ku kolanom; i tak nam siebie samych żal serdecznie, tak żal, że się tulić do Kuśmidra poczynam, gdy wtem między nas wdziera się Dragon, który, odtrącony i samotny, zapragnął też uczestniczyć w naszym misterium tajemnym, w naszym akcie strzelistym.

– Zaprawdę – mówi Dragon z przejęciem – i jam krew za ojczyznę najdroższą przelewał, i jam życia a znoju nie żałował.

I koszulę rozpina, potem spodnie, brzuch obwisły, lekkim włosem pokryty, na wierzch wyciąga i szramę po ślepej kiszce w dłoń ujmując, pod oczy nam tka.

– Oto ona – przedstawia – to rana serdeczna, blizna dotąd niezarośla, którą podstępnie reakcyjne podziemie mi zadało, gdym o Polskę waszych marzeń, sprawiedliwą, demokratyczną i ludową, walczył. Zatem i ja mam prawo, by mi grali, by dziatwa kwiatami mnie w progu szkół witała. Grać, muzykanci!

I Dragon Belzebubowicz, prężąc się, wciągając brzuch w rozpięcie spodni, śpiewa gromko, donośnie i daleko: „Tysiące rąk, milion rąk, a serce bije jedno...”

– Co za noc – chwytam dłońmi rozpalone skronie. – Co za szalona noc.

– Zwyczajnie, wesele – mówi ktoś obok. To Wojtek.

– A co ty tu robisz? – pytam zdziwiony.

– Zwyczajnie, zabezpieczam – mówi obojętnie i dodaje mechanicznym, znudzonym tonem: – Proszę się cofnąć, proszę nie utrudniać.

Wokół stołu, ujęci pod ręce, maszerują Męczydław z księdzem, skandując na przemian:

– Postęp.

– Tradycja.

– Tradycja.

– Postęp.

– Wie pan, w zasadzie jestem progresistą – powiada do mnie Dragon. – Postęp jest dialektyczną koniecznością historii, ale jednak jakaż ta nasza tradycja jest piękna, jaka urocza. Choćby wesele. To co, wypijemy po jednym?

– Postęp – odpowiada za mnie Piotr – jest, drogi panie, pojęciem względnym. Jeśli zamierzam wyjść, opuścić pańskie skądinąd cenne towarzystwo i udam się w stronę tamtej ściany, w której wyrąbano drzwi do sieni, będzie to oczywiście postęp, gdybym natomiast udał się w stronę przeciwną, ku tej gdańskiej szafie rzeźbionej, nie byłobyż to wstecznictwo i obskurantyzm? I oczywiście na odwrót.

– Ale bo też pan jesteś trywialny – protestuje energicznie Dragon. – Postęp to kategoria ducha, to droga, którą ludzkość zmierza ku niedościgłym dziś jeszcze ideałom jak roślina ku

słońcu.

– Zresztą – dodaje po chwili, wskazując na dwójkę demonstrantów wciąż maszerujących w dookólnym pochodzie – popatrz pan na nich. Nie idą ani do tych drzwi pańskich, ani od nich, a jednak są na drodze postępu i tradycji. Wciąż krążą dokoła i wciąż przyłączają się do nich nowi, porwani zapalem.

Rzeczywiście, za Męczydławem i prałatem idzie już spory tłumek, idzie Hybryd z żoną, idzie orkiestra, waląc w bęben, i inni weselni goście, nawet Kuśmider stanął w szeregu, głowę w dół zwiesił, nogami zmęczonymi powłóczy, a i pozostali bez ognia maszerują, bez okrzyków i pieśni, dudnieniem werbla tylko ponaglani.

– Trzeba im podziw okazać, wsparcie, radości dodać i otuchy – szepce mi w ucho Dragon, chwytając ze stołu serwetkę pokrytą tłustymi plamami i machając nią nad głową, woła piskliwie: – Niech żyje, niech żyje, niech żyje!

A oni suną przed nami sennie, omijając nas wzrokiem, tylko Męczydław ręką nam macha, tylko ksiądz szerokim żegna nas znakiem krzyża. Na końcu pochodu idzie Wojtek, czujne dając na wszystko baczenie, podtrzymując słabnących, kuksańcem zapędzając do szeregu tych, co odstali. A tu drzwi się otwierają do sieni, para z nich czosnkowym i majerankowym sosem bucha i gospodyni z krzykiem:

– Prosim na pieczyste! – wnosi ogromny półmich świniny.

– Pieczyste rzucili, pieczyste! – rozlega się okrzyk, głusząc bęben i harmonię. Demonstracja rozprasza się w mgnieniu oka, wszyscy tłoczą się ku swoim miejscom, zasiadają, rychtują widelce.

– Bierz pan głowiznę – radzi Belzebubowicz, który widać nie stracił jeszcze całej swej ku mnie sympatii. – Celuj pan w kawałek z uchem.

Chrzęszczą rozrywane ścięgna, tłuszcz płynie po palcach, zastygając białym kożuchem na obrusie. Ja jednak biorę golonkę, która pod uchyloną, na złoto przypieczoną skórą kryje biały pokład słoniny, a jeszcze głębiej wąskie strużyny różowego mięsa. I jemy, aż pomruk i posap idzie przez salę, objijając się o ściany dyskretnym bekiem zadowolenia i sytości. I ja czuję się błogo, swojsko, po domowemu, rozrzewniam się i rozczulam, a może to tylko chrzan żre w oczy, dość, że pochylam się ku Dragonowi, by mu coś serdecznego powiedzieć, wyrazić poparcie dla rządu, zrozumienie dla partii, wreszcie nawet zgodzić się na tamtą propozycję i w końcu poprosić jeszcze o zeberko. Ale koło mnie nie ma już krzesła i nie ma Belzebubowicza. Siedzi przy mnie w mosiężnym surducie mosiężny Dzierżyński z pomnika na placu Bankowym, rozparty w wózku inwalidzkim, z nogami okrytymi szarym pledem, w pomazanej czerwona farbą dłoni ściskając kopytko.

Patrzę na to ociekające tłuszczem kopytko w ociekającej czerwieni szponiastej dłoni i czuję, że wesele się dla mnie przewaliło. Za dużo zjaw i symboli, a może za dużo wódki. W każdym razie trzeba uciekać. Ukryć się gdzieś i przeczekać do poprawin. Wstaję z trudem.

– Przepraszam na chwilę – mówię do Dzierżyńskiego.

Macha kopytkiem.

– Idź, zdrzemnij się kwadrans. Marnie wyglądasz – mówi łaskawie.

Idę powoli wzdłuż ściany, omijam piec kaflowy, wchodzę w jakieś drzwi. Trafiłem do sypialni. Duże łoże zarzucone płaszczami. Skrzynia malowana w ludowe wzory, może po przodkach pańszczyźnianych, a może z Cepelii. Jakies szafy dębowe, szafki ze sklejki, wersalka, uginający się pod ciężarem futer wieszak. Walę się na to łóżko, na płaszcze, i zamykam oczy, bo pokój wiruje, ściany oddalają się ode mnie, otwierając jakąś ciemną, przerażającą przestrzeń.

Leżę tak z zamkniętymi oczyma, czekając na sen, z którego, coraz bardziej jestem pewny, obudzę się gdzie indziej. Na wielkiej leśnej polanie pokrytej różnobarwnymi kwiatami, w zapachu miodu i brzęczeniu owadów. I już zostanę tam na zawsze, z łodygą czterolistnej koniczynki w zębach.

Leżę, czekam i w tym czekaniu słyszę jakieś trzaski, szmery, szurania, z których coraz wyraźniej odczytuję szepty.

– Nic nie mów, to obcy, kto wie, kto to jest.

To o mnie?

– Zapytaj go o pogodę, dopiero dziś go przywieźli.

– O nic nie pytaj, nie wdawaj się z przybłądą...

– A może zostanie na zawsze? Warto wiedzieć, z kim ma się do czynienia.

Wysłuchując się w te głosy, orientuję się, że to rozmawiają meble. Nawet łóżko, na którym leżę, stękając pod moim ciężarem, odzywa się z jękiem sprężyn.

– Niech mówi o sobie. Niech coś opowie, nie będzie tak nudno na tym weselu.

I wieszak w kącie zaczyna opowiadać, głębokim barytonem, z niezwykle, jak na mebel użytkowy, staranną dykcją.

Opowieść starego wieszaka

Moje życie? Mój Boże, jakże to dawno już było.

Przyszedłem na świat w pięknym okresie belle époque, gdzieś na przełomie stuleci, w rozbawionym Wiedniu. Moje narodziny otacza mgła tajemnicy. Oficjalnie ojcem moim był Thonet, ale już wkrótce po tym, gdy ujrzałem światło dzienne, rozeszły się pogłoski, iż być może pochodzę z zupełnie prawego łoża, a moim ojcem właściwym jest Bugatti. Naturalnie stary Bugatti, ojciec młodego Ettore, który później zrobił taką fantastyczną karierę w przemyśle samochodowym. Nie jechałem nigdy bugattim, ale w dawnych czasach często wieszano na mnie skórzane pilotki i długie, białe szale kierowców pachnące jeszcze oszalałym pędem i dobrymi perfumami.

Ostatecznie sam nie jestem pewien swego pochodzenia. Z nami, meblami, jest zresztą inaczej niż z ludźmi, wątpliwe pochodzenie nobilituje nas i świadczy o klasie i doskonałości. Ostatecznie przyszedłem na świat jako Thonet i to także zadowala w sposób doskonały moją próżność. Sporządzono mnie wedle ścisłych planów z najlepszego drewna wiśniowego sprowadzonego specjalnie z południowego Tyrolu, mimo że panował tam silny ruch irredentystyczny dążący do oderwania tych ziem od c. i k. monarchii austrowęgierskiej i włączenia ich na powrót do królestwa Włoch. Dużo później dowiedziałem się z jakiejś przypadkowej rozmowy – zdaje się, że było to wówczas, kiedy wieszano na mnie cylinder i płaszcz ambasadora Wierusz-Kowalskiego, który przybył właśnie z Rzymu i został zaproszony do nas na five o'clock – iż obecnie, to znaczy wówczas, rozwinął się w południowym Tyrolu ruch irredentystyczny na rzecz połączenia z Austrią bądź Niemcami. Upewniło mnie to w przekonaniu, iż ojczyźnie moich przodków należy się pełna suwerenność.

Przekonany też jestem, iż sprowadzanie drewna wiśniowego z południowego Tyrolu było elementem polityki integracyjnej cesarstwa starającej się powiązać wielonarodową monarchię silnymi związkami ekonomicznymi.

Pomyślany byłem niezwykle funkcjonalnie, mimo że forma moja nasycona była panującą wszechwładnie wówczas secesją. Głowę moją, zakończoną ponętą rzeźbioną kulą, otaczała korona sześciu wieszadeł na kapelusze, które łagodnym łukiem osuwały się w dół, jedną tworząc całość z wysuniętymi na zewnątrz ramionami stanowiącymi dogodne miejsce spoczynku dla płaszczy, pelis i futer. Opierałem się pewnie na trzech, również zgrabnie wygiętych nogach przepasanych okrągłą obręczą gwarantującą bezpieczne schronienie dla

lasek i parasoli. Mimo pewnego wyrafinowania w szczegółach mój wysmukły jak maszt korpus, bez żadnych ozdób, a jedynie świecący ciemną politurą z lekkim rysunkiem drewnianych słoików, dawał rzucające się w oczy wrażenie zawsze miłej prostoty. Słowem, znajduję moją urodę całkiem zadowalającą i kiedy mam tylko okazję, z chęcią przeglądam się w lustrze, nie żeby się przed nim krygować, ale by stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, iż prawdziwa uroda nigdy nie przemija.

Kiedy już skończono wokół mnie wszystkie zabiegi pielęgnacyjne – a Thonet, czy był moim ojcem, czy też tylko ojczymem, doglądał wszystkiego osobiście z niezapomnianą czułością – zostałem wystawiony w salonie naszej firmy przy ulicy Mariahilfe. Pośród spłoszonych kanapek wybitych wytłaczaną tkaniną, krzeseł cuchnących wygarbowaną skórą i ponurych biurek z zachłannie rozwartymi szufladami czułem się królem elegancji. Ponadto, jakkolwiek nieskromnie by to brzmiało – a nie potrzebuję się przecież uciekać do fałszywej skromności, która tak blisko graniczy z kabotyństwem – wiedziałem doskonale, że ze wszystkich tych mebli ja jeden jestem naprawdę niezbędny. Każdy, kto zamierza rozsiąść się w fotelu, pracować za biurkiem albo tylko położyć do łóżka, musi przedtem mnie powierzyć swą wierzchnią odzież. Istnienie tych moich butnych, pyszałkowatych kuzynów było więc tylko marnym następstwem mego istnienia, jego konsekwencją, a konstatacja owego faktu, choć gdym ją głośno wyrażał, nieodmiennie wywoływała gniewne tupanie nóg i kłapanie szuflad, przynosiła mi zdrową, słuszną satysfakcję.

Stałem więc w salonach firmy przy ulicy Mariahilfe i tam właśnie zobaczyła mnie pani Lilpopowa powracająca akurat z pobytu u wód na Capri. Do Wiednia wstąpiła na kilka dni, aby zakupić rękawiczki, szelki, getry i kilka innych drobiazgów. A właściwie to ja ją zobaczyłem przez dużą kryształową szybę naszej wystawy, gdy szła w towarzystwie swej francuskiej guwernantki, podczas gdy powóz z zapijaczonym, podrzemującym woźnicą posuwał się wolno wzdłuż chodnika. Była ubrana w skromną, ciemnobłękitną, jedwabną suknię, twarz ocieniał duży kapelusz z takąż kokardą. Jakby mimochodem spojrziała przez szybę do wewnątrz naszego salonu, przesunęła nieuważnym wzrokiem po saloniku wybitym adamaszkiem w pasy i nagle stanęła jak rażona gromem, pociągając guwernantkę za rękaw. Przez szklaną tafłę widziałem, jak wskazuje mnie dyskretnie palcem i coś tłumaczy swej towarzyszce. Po chwili obie weszły do środka.

Drżałem cały na myśl, że oto opuszczę niezbyt przychylne, mówiąc szczerze, zawistne otoczenie z piękną, elegancką damą. Wyłoniły się wszelako pewne komplikacje. Otóż do salonu naszego przychodził już od niejakiego czasu pewien młody porucznik dragonów zaręczony z córką pana Szwarca, właściciela banku hipotecznego, od którego otrzymał był

właśnie zaliczkę na posag, z której kompletował umeblowanie przyszłego mieszkania młodej pary. Maniery tego młodego człowieka pozostawiały wedle mnie wiele do życzenia, ponadto wybierając meble, sprawdził on przy okazji, czy będę się nadawał do wieszania jego paradnej szabli. Jestem urodzonym pacyfistą i dźwiganie narzędzi mordy zgoła nu się nie uśmiechało. Cóż, kiedy byłem właściwie już zadatkowany, i subiekt, gnąc się przed panią Lilpopową w ukłonach i rozpływając w uśmiechach, rozkładał bezradnie ręce.

Głośna dyskusja wywabiła z kantorka samego Thonet, który przybył akurat, aby sprawdzić rachunki. Elegancja pięknej cudzoziemki musiała zrobić na starym lowelasie duże wrażenie, skoro gniewnym machnięciem lewej ręki odprawił przestraszonego subiekta, a prawą już niósł ku ustom dłoni młodej damy, przepaszając ją stokrotnie za grubiaństwo personelu.

Oboje przybliżyli się do mnie, pani utkwiała we mnie swe jasne oczy, gładząc jednocześnie opiętą w nicianą rękawiczkę dłonią mój dumnie sterczący korpus. W jej twarzy dostrzegłem z satysfakcją oznaki pożądania. Thonet patrzył też z przyjemnością na jej zaróżowione policzki i rozdęte nozdrza, kiwając przyzwalająco głową.

Transakcja została przypieczętowana i po dwóch dniach, starannie opakowany w trociny, jechałem koleją warszawsko-wiedeńską na północ, ku nowej ojczyźnie, z którą losy moje związać miałem na dobre i na złe.

Wierciłem się w swym trocinowym posłaniu, przebierając wszystkimi trzema nogami z niecierpliwości, z tęsknoty, z chęci ujrzania mojej pani.

Jakże kruche jednak bywają nasze marzenia, jak rzadko możemy być sternikami własnego losu.

Kiedy wniesiono mnie do pałacyku Lilpopów, rozpakowawszy uprzednio na podjeździe i otarłszy z kurzu podróży, a lokaj w nicianych rękawiczkach i kamizelce w paski starał się znaleźć dla mnie najlepsze miejsce między stojącym zegarem o pozłocistej tarczy a rozłożystą palmą, naturalnie pod dyktando stojącej na schodach wiodących w górę, odzianej w uroczy łososiowej barwy dezabil pani, otwarły się z trzaskiem dębowe solidne drzwi rzeźbione w liście akantu, z klamką w kształcie lwiej głowy, i stanął w nich sam Lilpop.

Ubrany był w surdut, wokół stojącego kołnierza koszuli snuła się czarna krawatka spływająca swobodnie na wykrochmalony gors. Postawę miał szlachetną i wyprostowaną, wydatny nos nad starannie wyszczotkowanym wąsem zdradzał siny charakter, lekko zarysowujący się podbródek natomiast skłonność do otyłości. Stał tak, przyglądając mi się badawczo, z namysłem wiodąc wzrokiem wzdłuż mego smukłego korpusu, a ja, mimo całej sympatii, jaką wzbudzały we mnie zarówno jego nieposzlakowana elegancja, jak i fakt, że był

mężem kobiety, którą uznałem w głębi serca za swoją dozgonną panią, siódmym zmysłem wyczułem, że moje uczucie jest jednostronne i nigdy nie uda mi się wzniecić w tym człowieku, zapewne staroświeckim i nie pojmującym przemian współczesnego świata, żadnych żywszych uczuć poza niechęcią.

Wyrok wyczytałem w jego siwych oczach, i ta świadomość sprawiła, iż kończyny moje zdętwiały – powiedziałbym, gdyby to było stosowne, iż zdrewniały – i byłbym upadł, gdyby nie lokaj podtrzymujący mnie swą urękawiczoną ręką.

Nie słyszałem, co się dalej działo, a raczej pamiętam niezbyt dokładnie spokojny, lecz stanowczy głos męski, oświadczający, iż coś takiego – to coś takiego to miałem być ja, ja sam osobiście, co za hańba – dobre jest w szatni restauracyjnej lub w teatrze, a nie w hallu szanowanego i szanującego się domu.

Moja pani oponowała, lecz bez żaru, któremu mógł się po niej spodziewać. Ostatecznie wsunęło mnie wstydliwie za palmę.

Nie było to takie najgorsze, mogłem wszak pozostać w tym domu i widywać panią choćby przelotnie, ale przyznam, że moja ambicja została głęboko ugodzona. Z czasem – a lubię oddawać się marzeniom, dziś nie tak częsty jak w dniach młodości, doświadczenie życia wypaliło we mnie optymizm, tak niezbędny, aby myślą ścigać poprawę losu – zacząłem sam siebie przekonywać, że wszystko się ułoży, i Lilpop przywyknie do mnie, może nawet polubi, i powolutku, cal po calu, zaczną mnie wysuwać z mego zakrytego kąta, aż wreszcie zajmę honorowe miejsce w hallu, które z racji urody i pochodzenia słusznie mi się należy.

Towarzystwo miałem nie nadzwyczajne: stara palma cierpiąca na suchoty, narzekająca wiecznie, że znów ją zapomniano podlać, zegar będący mimo imponującego wyglądu obsesjonatem przerywającym każdą pogawędkę pytaniem o dokładny czas, gdyż ciągle mu się zdawało, iż idzie za wolno, tak że nawet mu radziłem, by się poddał psychoanalizie, ale na tej warszawskiej prowincji prace młodego wprawdzie wówczas jeszcze Freuda w ogóle nie były znane, a wreszcie kilka bufonowatych krzesel i duża chińska waza, której w ogóle nie rozumiałem, czy to dlatego, że mówiła wyłącznie po chińsku, czy też że bulgotała, ponieważ zawsze stały w niej świeże kwiaty. Nigdy nie mogłem tej zagadki rozstrzygnąć.

Jedyną odmianę w mym dość monotonnym bytowaniu stanowiły liczne przyjęcia, herbatki tańczące, wizyty towarzyskie, które czyniły z naszego domu nader ruchliwe i chętnie odwiedzane miejsce. Na mnie wprawdzie mało kto zwracał uwagę, kontakt bezpośredni miałem raczej z lokajem i okryciami gości, ale był to dla mnie okres niezmiernie pouczający, który, pozwalając mi poszerzyć znacznie horyzonty, odwrócił moje wrodzone zainteresowania od sztuki i skierował je, jak się miało w odległej wprawdzie jeszcze, ale

przewidywalnej przyszłości pokazać – na moje nieszczęście – w kierunku polityki i zagadnień społecznych.

A początki były dość niewinnie. Państwo prowadzili dom otwarty, bywali u nas ludzie z towarzystwa, bywali także młodzieńcy, których stroje i maniery pozostawiały wiele do życzenia. Zanim zacząłem się nieco orientować, iż nasz wspomniały, bogato zdobiony pałacyk z jego salonikami jest nie tylko miejscem spotkań towarzyskich, ale również dyskusji o charakterze politycznym, ścierania się obrazoburczych poglądów na organizację społeczną, urządziłem sobie zabawę w zgadywanie, do kogo należą okrycia, jakie właśnie wieszano na mych zawsze szeroko otwartych, oczekujących ramionach.

Bardzo szybko nauczyłem się rozpoznawać ciężkie bobrowe futro prałata Kakowskiego, wytarte i, mam wrażenie, nieraz nicowane paletko redaktora Bolesława Limanowskiego, fantazyjną pelerynę hrabiego Potockiego zwanego powszechnie Guciem, doskonale skrojone palto Romana Dmowskiego, czerkieskę złotem szamerowaną i szablę księcia Imeretyńskiego, szary cylinder hrabiego Szuwałowa czy wreszcie sukienną kurtę przyjeżdżającego ze Lwowa Ludwika Kulczyckiego, w której kieszeni wyczuwałem zawsze jakiś niepokojący ciężar.

Nieco później, przysłuchując się przyciszonym rozmowom prowadzonym w okryciu palmy czy też głośnym dysputom na mojej sąsiadce kanapce w stylu ludwikowskim, wprowadziłem nową odmianę tej zabawy, starając się odgadnąć już nie osobę, ale poglądy, jakie słyszeć będę za chwilę, na podstawie stanu powierzonej mojej pieczy odzieży. U początków zdawało mi się, iż wykryłem niezmienną prawidłowość ludzkich zachowań, co naturalnie podniosło jeszcze wrodzoną moją dumę, składając pierwsze doświadczenia w prawo obiektywne, iż od posiadaczy ubrań dostatnich i modnych usłyszę zawsze poglądy zachowawcze, że nosiciele futer są też nosicielami przekonań o niezmienności porządku świata, gdy właściciele biednych i połatanych okryć żądają zmian nawet rewolucyjnych i szczęście wspólne upatrują w obaleniu hierarchii społecznej i budowaniu jej od nowa.

Zawsze byłem demokratą z przekonań, choć do dziś uważam, iż dobrego urodzenia nic nie jest w stanie zastąpić, ale słysząc niekiedy tyrady samym zestawieniem słów podpalające fundamenty, na których opierał się nasz dom gościnny, zżymałem się na państwa, iż pozwalają pod swym dachem na tak niebezpieczne poglądy.

Z czasem jednak musiałem zmienić zdanie, gdy zorientowałem się, jak prymitywne były moje oceny wywiedzione z powierzchownych i niepopartych głębszą refleksją spostrzeżeń. Zwłaszcza wstrząsnęło mną, gdy postrzegałem, iż często ubogo odziani upatrują szczęśliwej przyszłości w zachowaniu stosunków dotychczasowych, podczas gdy właściciele pelis pragnęliby ich zmiany.

Polityka w każdym razie wciągnęła mnie, przestałem się bawić w marne zgadywanki, a zacząłem się dokładnie wsłuchiwać w rozmowy, rozszyfrowywać aluzje, dopowiadać niedopowiedzenia. Anim się spostrzegł, jak całkiem nowy i niespodziewany problem pochłonął mnie bez reszty. Muszę tu przypomnieć, że z racji pochodzenia jestem urodzonym kosmopolitą, wychowankiem wielonarodowej monarchii, który z rodzinnego Wiednia wyniósł przekonanie, iż to forma i styl władzy, a nie jej przynależność członkom tego lub innego plemienia sprzyja rozwojowi wielu kultur, z czasem stapiających się w bogactwo różnej jednolitości.

I oto nagle w namiętnych dyskusjach socjalnych coraz gęściej dostrzegać zacząłem elementy narodowe. Większość rozmów u nas prowadzona była po francusku, niekiedy, zwłaszcza rankiem, gdy przychodziło do interesów, słyszało się żargon, nigdy zaś, nawet w obecności Imeretyńskiego, nie mówiono po rosyjsku. Czasem, z ludźmi bardzo zaufanymi, gdy była po temu sprzyjająca pora, mówiono po polsku, ale polszczyzna obecna była wokół, w jakiś nieuchwytny sposób wisiała w powietrzu między smużkami kurzu prześwieconymi kolorową barwą wielkich okien.

Pamiętam, jak pani powiedziała kiedyś o jednym z naszych młodych gości, gołowąsie jeszcze, zdaje się, że był to Horwitz-Walewski:

– Il'es, nes'e paz dziarski.

Czasami słyszało się język niemiecki, ale i on też przeplatany był zwrotami polskimi. Przypominam sobie dokładnie, jak ktoś szeptem przekonywał Perła w typowym narzeczu galicyjskim:

– Sie haben recht, aber trotzdem er ein wielki patriota geblieben ist.

Chodziło, jak przypuszczam, o Karola Raczkowskiego, choć mogło też dotyczyć Teofila Waligórskiego. A może chodziło o Zygmunta Balickiego, do którego liczni nasi goście mieli jakieś zadawnione pretensje z racji rzekomo przez niego zdradzonej wspólnej sprawy? Jaka była to sprawa, domyślać się tylko mogę, nigdy nie mówiono o niej bowiem wprost. Głęboko jednak zapadła mi w pamięć rozmowa między Balickim i Feliksem Perlem, której świadkiem mimowolnym i niemym zostałem.

Było to bodaj największe przeżycie mej młodości i długo nie mogłem pozbierać się w sobie i dojść do ładu z własnym obrazem świata.

Perl powiadał, że celem socjalistów jest powstanie przeciw Rosji i wyzwolenie narodowe. Tymczasem Balicki dowodził, iż nacjonałści oceniają, że stan dzisiejszy i położenie narodu nie przedstawiają członków zbrojnej lub choćby dyplomatycznej akcji na rzecz niepodległości i dlatego stawiają sobie za cel zdobycie w każdym z trzech zaborów

stanowiska zapewniającego żywiłowi polskiemu możliwie najszerszy rozwój sił narodowych i wszechstronny postęp ekonomiczny w ramach istniejącego układu państwowo-prawnego.

Wtrąciło mnie to w istny chaos myśli. Jakże to – rozważałem – więc socjaliści podążają ku narodowemu wyzwoleniu, podczas gdy nacjoniści z niego dobrowolnie rezygnują, starając się zaledwie przystosować do przemocy tak, aby wziąć w niej udział i korzyści wyciągnąć jak największe? Doprawdy nie potrafiłem dać sobie rady z tym zagadnieniem; być może sposób wyrażania się ludzi przekracza – tak wówczas myślałem – nasze, mebli, możliwości. Próbowałem konsultować ten problem ze starym zegarem, o którym sądziłem, iż z racji podeszłego wieku, doświadczenia i obcowania z czasem wiecznie przemijającym ukrywa wewnątrz sprężyn mądrość syntetyczną, ku każdej rzeczy komplikacji użyteczną. Kiedym go jednak spytał, co o tym myśleć, zbył mnie, powiadając, iż tempora mutantur, a na pocieszenie odegrał mi kuranta. Obraziłem się na niego i nie odzywałem przez trzy tygodnie, nie reagując na stałe zapytania, która godzina. Dziś myślę, że gdybym go miał spotkać, przeprosiłbym za niegrzeczne ówczesne zachowanie niestosowne wobec tak szacownej osoby i przyznałbym mu słuszność.

Cóż, zdaje się, że spłonął wraz z całym pałacem.

Oczywiście, że wciągnięty w rozmyślenia o polityce i sposobach urządzania świata sam zacząłem zastanawiać się nad swoim w nim miejscem. Naturalnie, byłem wieszakiem, ale nie znaczyło to bynajmniej, że my, wieszaki, mamy być pozbawione światopoglądu. Nadto, gdyby doszło do wydarzeń, które i od wieszaków wymagałyby opcji, musiałbym decydować po omacku, co sprzeczne byłoby z moją głęboką i refleksyjną naturą.

Próbowałem zagadać do palmy, która wychowana od małej flancy nad Wisłą musiała mieć jakiś stosunek do spraw polskich. Zapomniałem wszakże, iż była to, w odróżnieniu ode mnie, istota obdarzona płcią lub przynajmniej płci prerogatywami i jedyne, co ją rzeczywiście zajmowało, to troska, iż jest jałowa i bezpłodna. Życie bez wydania na świat potomstwa uważała za raz na zawsze zmarnowane. Machnąłem ramieniem na płaczliwe biadolonia o pyłkach, pręcikach i owocniach, zwracając się do francuskiej kanapki. Ta zachichotała i trzeszcząc sprężynami, jęła mi opowiadać, jak to pewnej sobotniej nocy podczas przyjęcia jakiś nieznany mi nawet ze słyszenia Harzl obmacywał na niej jakąś pannę Luksemburg. To było wszystko, co potrafiła mi powiedzieć o stosunkach w Królestwie Polskim przed moim przybyciem. Oczywiście, z chęcią słuchałem także i plotek, cieszyłem się, ilekroć odwiedzał nas wesoły redaktor Aleksander Głowacki zdający się wszystko wiedzieć o życiu w Warszawie, ale opowiadanie kanapki na tak niskim stało poziomie moralnym, że raz na zawsze zdyskwalifikowałem ją jako koronną idiotkę.

Nagabywana przeze mnie waza chińska bulgotała coś bez ładu i składu, a jedynym, co z tego zdołałem wyłowić, było, iż Chińczycy trzymają się mocno.

Tak miotany wątpliwościami, pozostawiony sam sobie, bez wsparcia duchowego byłbym się zadręczył w swoim kącie, gdyby nie szczęśliwy przypadek.

Pewnego wiosennego dnia odwiedziło nas dwu młodych jeszcze mężczyzn. Słońce już przygrzewało, rankiem jednak na szybach osiadał zamróz, a w zakamarkach dachów leżały smugi śniegu. Obaj panowie weszli ogorzali, tchnący jakąś siłą i świeżością. Lokaj niósł ku mnie ich proste półkożuszki pachnące wiatrem i wyprawioną skórą. Kiedy indziej zapach ten wywołałby we mnie, przyzwyczajonym do francuskich perfum, wstręt. Tym razem jednak odebrałem go raczej jako coś podniecającego, jakby niejasną zapowiedź wielkiej przygody.

I nie omyliły mnie przecucia. Jeden z tych panów, wiodąc oczyma za lokajem niosącym kożuchy, natrafił wzrokiem na mnie. Chwilę patrzył jak osłupiały, potem podszedł szybkim krokiem, wyciągnął mnie bez ceremonii na środek sieni i w zachwyceniu podziwiać począł moje kształty.

Te tak jawne wyrazy uwielbienia nieco mnie zamroczyły szczęściem, duma uderzyła mi do toczonej głowy.

– Podoba się panu? – usłyszałem niski, spokojny głos Lilpopa. – Ależ drogi Witoldzie, może go pan zabrać. Chętnie uczynię panu ten drobny upominek.

W dwie godziny później jechałem przez miasto odkrytą dorożką, po raz pierwszy spoglądając na ulice Warszawy.

Bolało mnie trochę, iż wydano mnie z domu, który przywykłem uważać za swój, bez jednego choćby słowa protestu mej ukochanej pani. Miłość własna była zadraśnięta, to jednak, że mój nowy właściciel obejmował mnie z nieudawaną czułością, stanowiło plaster balsamiczny na otwartą ranę.

Później wniesiono mnie po schodach na pierwsze piętro, do obszernego, nieco zagraconego mieszkania, gdzie postawiony zostałem w przedpokoju, na miejscu honorowym, między opasłą szafą gdańską a rzeźbionym stolikiem mauretańskim z porcelanową tacą na bilety wizytowe.

Moim nowym właścicielem był Witold Jodko-Narkiewicz.

Nie widywaliśmy się zbyt często, początkowo zaś nie mogłem odgadnąć przyczyny. Od mej sąsiadki, opasłej szafy gdańskiej, której solidność wzbudzała zaufanie, niewiele mogłem się dowiedzieć. Była bardzo nieufna, przypuszczam, iż miała nader konspiracyjne usposobienie, a wszystkie moje pytania zbywała opryskliwym burczeniem. Kiedyś wreszcie poirytowana moim natarczywym nagabywaniem rzekła mi wprost, iż nie ma do mnie

zaufania, gdyż wydaję się jej być nasłanym agentem.

– Czyim? – zdumiałem się.

Odparła, że tego jeszcze nie wie, ale ponieważ w rzeczy samej jest o mojej agenturalnej proweniencji głęboko przekonana, reszta wyjaśni się sama, w najgorszym razie gdy za lat pięćdziesiąt otworzy się publiczny dostęp do tajnych archiwów. Obraziłem się rzecz oczywista śmiertelnie i uwagę swą odwróciłem ku mauretańskiemu stolikowi. Miałem jednak wyjątkowego pecha, gdy chodzi o stosunki towarzyskie. Stolik zbył mnie gburowatą uwagą, że z hołyszami nie zwykł się zadawać, że on sam, stolik, był własnością Usari Husseina Paszy, brał udział w bitwie pod Mohaczem, a pod Wiedniem zdobyty został przez króla Jana III Sobieskiego i przewieziony do Warszawy, gdzie, jak twierdził, przeszedł na katolicyzm.

Z racji swej przeszłości uważał się za arystokratę i wyniośle, choć grzecznie, poprosił mnie, bym się do niego nie zwracał niepytany. Otrzymawszy dwa tak niemiłe responsy, nie odważyłem się już nagabywać porcelanowej tacy na bilety wizytowe, uznając na przyszłość, że lepiej mi będzie przestawać z ludźmi niż z meblami, które coraz mniej wydawały mi się być braćmi.

Z rozczuleniem myślałem o moim nowym panu, który tak ciepłym darzył mnie uczuciem. Tymczasem jednak widywałem go dość rzadko. Całe dni przebywał poza domem, wracał późno lub wcale, a gdy nawet wracał, to w towarzystwie kilku co najmniej osób, które obwieszały mnie ponad siły swymi okryciami, tak że przez całe noce oka nie mogłem zmrużyć, bowiem na ogół siedzieli do rana, żywo dyskutując, w saloniku, a ciężkie opary dymu tytoniowego sączyły się przez drzwi wraz ze strzępkami słów, z których niewiele mogłem poskładać treści. Mówiono wciąż o rewolucji socjalnej i wyzwoleniu narodowym, niestety szczegóły, jak zamierzano tego dokonać, wciąż mi umykały. Nie chciałem zresztą zbyt pilnie, zbyt widocznie nadśłuchiwać, aby nie podniecać w antypatycznej szafie jej wstrętnych podejrzeń.

Do Jodki przychodziło wielu ludzi znajomych mi z poprzedniego mego domu – Wałecki, Perl – a także kilku mi nieznanym, jak choćby Sachs czy Bielecki. Z nowo poznanych największe wrażenie zrobił na mnie poważny wążacz Piłsudski.

Mniej więcej w miesiąc po moim nastaniu na nowe miejsce przeżyłem po raz pierwszy wielki wstrząs. Nocą załomotano do drzwi, wszedł oberpolicmajster Keller w towarzystwie kilku żandarmów. Obwieszono mnie dla odmiany płaszczami mundurowymi i rozpoczęła się wielogodzinna rewizja, po której Jodko zniknął na kilka dni. Później przyzwyczaiłem się do nocnych najść, ponieważ powtarzały się z dość dużą regularnością, przy czym za każdym

razem z mojej sąsiadki szafy wywalano wszystko na podłogę tak brutalnie, aż poskrzypywała z nietajonego oburzenia.

Współczułem jej bardzo, nie uważałem jednak za stosowne tego okazywać.

Gdzieś chyba w połowie listopada 1904 roku zebrało się u nas w domu liczniejsze niż zwykle grono młodych ludzi. Było ich tak wielu, że choć obwiesili mnie płaszczami jak choinkę, część okryć położyć musieli na arystokratycznym stoliku mauretańskim. Cieszyłem się, wyobrażając sobie, jak był wściekły. Wszyscy obecni kręcili się jakoś tak bezładnie po całym mieszkaniu, a z rozmowy wynikało, iż wybierają się do kościoła na placu Grzybowskiem. Dziwiło mnie to bardzo, ponieważ w kieszeniach wyczuwałem ciężkie przedmioty, których z pewnością nie nosi się przed ołtarze. Chciałem podzielić się swym spostrzeżeniem z szafą, ale w ostatniej chwili ugryzłem się w język. Od niejakiego bowiem czasu miałem niejasne podejrzenia, że być może współpracuje ona z cyrkułem.

Późną nocą wrócił do domu Jodko. Był zdyszany, cisnął na mnie niedbale sukienką kurtę i zanim jeszcze nań spojrział, wiedziałem już, co się stało. Rękaw kurty był rozdarty, przepojony lepłą wilgocią i mdłym zapachem krwi.

Odtąd wypadki toczyły się z tak szaloną prędkością, że ani ich pozbierać, ani posegregować nigdy już nie zdołałem. Od tej pory właściwie trwało już u nas nieprzerwanie jedno wielkie zgromadzenie. Ciągłe ktoś przychodził i wychodził, przynoszono dziwne paczki, kieszenie kozuchów obciążone były metalem i papierami. Stójkowi pokazali się tylko raz, byli dość niedbali, jakby skrepowani, dość, że nic nie znaleźli, wypili na stojąco w przedpokoju gorącą herbatę i poszli, nie zaglądając nawet do szafy. A głowę dam, że było w niej tym razem czego szukać.

W dwa, a może trzy tygodnie po Nowym Roku o niczym innym się u nas nie mówiło, tylko o Japonii i popie Gaponie. Nie bardzo rozumiałem, co ma wspólnego pop z Japonią, ale tak właśnie było – o Japonii rozmawiano u nas już dawno, znałem nazwisko generała Nogiego i jeszcze kilku generałów, ale pop Gapon wypłynął zupełnie nagle. Byłem zaaferowany popem tak bardzo, że przestałem zwracać dostateczną uwagę na otoczenie. Dręczyło mnie pytanie, czy Japończyk może być popem, i chciałem o to zapytać wreszcie szafę, o której sądziłem, że wie prawie wszystko. Zanim się jednak zdecydowałem, pewnego styczniowego ranka przyszło do nas tak wielu ludzi, iż nie mogli się niemal pomieścić w mieszkaniu. Tym razem nie było jednak żadnych dyskusji, żadnych rozmów, wszyscy milczeli skupieni, jakby na coś czekając. Dziwne było też, iż pozostali w paltach, tak że wobec nich czułem się jak nagi.

Trwało to dobrą chwilę, wreszcie jeden z tych młodych ludzi wyciągnął z zanadrsa

kawał czerwonego płótna, rozpostarł nad głową i zakomenderował:

– Idziemy!

Ozwały się jednak stłumione głosy protestu, jak to tak, bez drzewc? Robotnicza chorągiew niesiona jak szmata w rękę? Stali chwilę bezradnie, gdy nagle wzrok Jodki padł właśnie na mnie.

– Ot! – krzyknął. – Mamy drzewce!

Skuliłem się w swoim kącie, ale już przyniesiono młotek i gwoździe, już przytwierdzano do mego nieskazitelnego korpusu czerwone płótno. Dziś rzec muszę najpoważniej, iż był to czarny dzień mego życia i że nigdy rozstrzygnąć mi się chyba nie uda, co się wówczas stało – czy czerwoną chorągiew przybito do mnie, czy też odwrotnie, mnie przybito do czerwonej chorągwi.

Wyszliśmy na ulicę, kierując się w stronę ogrodu Saskiego. Ja szedłem w pierwszej czwórce uniesiony wysoko ponad głowy maszerujących. Śpiewano nieznane mi pieśni: o czerwonym sztandarze, o ostatnim boju. Przyznać muszę, iż była w nich jakaś porywająca siła, poczułem nagle przyływ uniesienia i wspólnoty z ludźmi, coś, czego nigdy ani przedtem, ani potem nie dane mi było przeżyć.

Miasto było jak wymarłe. Pozamykane sklepy, opustoszałe szyny tramwajowe, jedynie my waliliśmy zwartą kolumną w stronę placu Teatralnego, a po drodze przyłączało się do nas coraz więcej i więcej osób. Usiłowałem ze swego wywyższenia policzyć to morze głów, lecz było to zadanie ponad siły.

I właśnie gdyśmy mijali wylot ulicy Niecałej, wysunęła się z niej sotnia, a może nawet dwie, Czerkiesów w przerzuconych przez ramię burkach, z pendentem tnącym pierś mundurowej kurtki. Daleko, gdzieś pod soborem na placu Saskim i koło Ratusza, także zamajaczyły oddziały jazdy. Maszerujący pochód zawahał się, ale trwało to tylko chwilę. Pieśń rozbrzmiewała z jeszcze większą mocą, ludzie skupili się ciaśniej i poszliśmy dalej.

Zobaczyłem wtedy, jak przed szereg jezdnych wysuwa się oficer na białym koniu, daje znak dłonią odzianą w białą rękawiczkę i usuwa się na bok, ustępując miejsca ławie konnych sunących nieśpiesznym kłusem z szablami uniesionymi na wysokość piersi.

Wtedy właśnie z naszych szeregów padły strzały, jeden czy dwóch jeźdźców opadło głowami na końskie grzywy, inny osunął się na ziemię i z nogą utkwioną w strzemieniu sunął dłońmi po bruku, znacząc na nim krwawy ślad.

Momentalnie zamieszało się wszystko, tłum zafalował, palba stała się gęsta, ktoś krzyknął, żeby chronić sztandar, więc wzięto mnie w środek utworzonego koliska, w powietrzu unosił się zapach prochu przytłumiony potem końskim, a za chwilę mdłym

zapachem krwi. Niewiele powiedzieć mogę, co stało się później. Cięty dwa razy szablą – a blizny te noszę po dzień dzisiejszy jak dumną pamiątkę – straciłem przytomność.

Ocknąłem się dopiero w więzieniu. Osadzono mnie w osławionym IX Pawilonie Cytadeli Warszawskiej, gdzie jednak, przyznać muszę, obchodzono się ze mną, jako z ważnym świadkiem i dowodem rzeczowym, dość dobrze. Czułem się jednak fatalnie. W Cytadeli było przeraźliwie zimno i wilgotno, świeże rany doskwierały mi, rad bym się też uwolnił od gwoździ ciągle tkwiących w moim korpusie i od resztek czerwonego sztandaru zwisających teraz jak żalosna szmata na moich ramionach. Dręczył mnie także niepokój o los Jodki i wszystkich jego przyjaciół, do których zdążyłem się w krótkim czasie szczerze przywiązać.

Śledztwo przeciągało się. Okazywano mnie wciąż jakimś nieznanym mi całkiem ludziom, aby – jak się zorientowałem – ustalić mego właściciela. Jak tylekroć już w moim krótkim, lecz burzliwym życiu, uratował mnie przypadek. Pewnego dnia, mogło to być latem lub wczesną jesienią, do gabinetu sędziego śledczego, w którym stałem, zaszedł elegancki oficer w mundurze białej gwardii. Był wysoki, postawny, lekko krzywe nogi zdradzały od razu kawalerzystę. Sędzia, w mundurze urzędnika trzeciej rangi, z orderem Anny czwartej rangi na piersi, zerwał się na baczność, tracąc zwykłą, okazywaną tak chętnie przesłuchiwanym, butę. Coś mówił, pewnie się meldował, ale oficer zbył go pogardliwym kiwnięciem ręki, przechodząc od razu do sprawy. Rzeczowo wyjaśnił, iż dowiedział się, że sędzia jest w posiadaniu pewnego niezwykle cennego mebla, przybył więc, aby go odkupić. Rozejrzał się przy tym po pomieszczeniu i palcem bezbłędnie wskazał na mnie. Miałem przecucie, że tak się stanie, choć oprócz mnie stała tam jeszcze okuta skrzynia, w której przechowywano karabin i dwa bagnety, a także biurko z podwójnym dnem szuflad, gdzie znaleziono bibułę.

Śledczy giął się w ukłonach, wasze błagarodje nie schodziło mu z ust, kiwał jednak przecząco głową. Nie byłem meblem, jeno dowodem rzeczowym, a cena moja istotnie była wysoka, ale wyłącznie jako przedmiotu dochodzeń. Zmartwiałem, nie dlatego, bym po wszystkich moich przejściach kochał oficerów carskiej armii i pragnął przebywać w ich towarzystwie, ale chciałem wyjść na wolność, opuścić te ponure mury, nadto zauważyłem od razu, iż oficer ten ubrany był zupełnie inaczej niż Czerkiesi, którzy posiekali mnie szablami.

On tymczasem uśmiechnął się pogardliwie, dobył z kieszeni pugilares, wyjął zeń pięć rubli i cisnął memu prześladowcy. Sędzia pochylił się jeszcze niżej, rozmazał w uśmiechu, ale rozłożył bezradnie ręce. Powtórzyło się to kilka razy, gdy jednak między papierami na biurku leżało już całych dwadzieścia pięć rubli, skoczył ku mnie, wyniósł na środek kancelarii

i postawił przed oficerem. Oficer, wciąż z tym samym uśmiechem, wskazał bez słowa na resztki czerwonego sztandaru. Sędzia rzucił się natychmiast, próbując wyciągnąć gwoździe palcami, gdy jednak nie dawało to żadnego widocznego rezultatu, jako że wbito je solidnie, jął chwytać jeden po drugim zębami, aż usunął wszystkie.

Oficer otworzył drzwi, kiwnął na czekającego adiutanta i wyszedł bez słowa. Wyniesiono mnie w ślad za nim.

Tak dokonała się trzecia już przeprowadzka w moim życiu, tym razem do mieszkania dowódcy pułku lejbgwardii Jego Cesarskiej Wysokości, pułkownika von Mannerheima.

Ustawiono mnie tam na honorowym, przyznać muszę, miejscu, w gabinecie pułkownika, gdzie po ścianach rozwieszono były mapy sztabowe, na obszernym biurku walały się zapisane cyrylicą rulony papieru, a w powietrzu unosił się zapach szuwaksu i tureckiego tytoniu. Pułkownik zrobił na mnie w pierwszej chwili wrażenie człowieka oschłego, a nawet surowego. Wtedy miałem już niejaki pojęcie o politycznej sytuacji europejskiej, dlatego zdziwiło mnie niepomieranie, że w domu rozmawia się po niemiecku. I to nie z tym miękkim, zapamiętanym z dzieciństwa akcentem wiedeńskim, ale jakimś twardym i moim uszom zupełnie obcym. Dopiero wiekowy fotel, wytarty weteran salonów, sprężyniasty i z lekka już pokręcony, nieco rozjaśnił mi w głowie. Ale czy to z postępującej demencji starczej, czy z prostej niewiedzy nie potrafił przypomnieć sobie, czy nasz pułkownik jest Szwedem pochodzenia fińskiego, czy też odwrotnie, Finem pochodzenia szwedzkiego. Precyzyjne ustalenie faktycznej przynależności narodowej Mannerheima traktowałem bardzo poważnie, uważając, że zależnie od okoliczności winienem kształtować mój do niego stosunek. Gdyby był Finem pochodzenia szwedzkiego, byłby tedy najemnym żołnierzem w służbie obcego monarchy, gdyby jednak był Szwedem pochodzenia fińskiego, traktować musiałbym go jako zaprzańca i narodowego zdrajcę, gdyż wiedziałem już, że Finlandia równie jak Królestwo Polskie jęczy pod butem moskiewskiego satrapy. Niestety, niczego bliższego nie udało mi się ustalić. Nagabywana przeze mnie szafa, własność skarbową, więc gburowata jak każdy czynownik niskiej rangi, ofuknęła mnie bardzo niegrzecznie i kazała zgłosić się za tydzień. Jeszcze gorzej poszło mi z biurkiem, które zasłoniło się lakonicznie tajemnicą wojskową. Nie pozostało mi nic innego, jak próbować wydostać prawdę ze starego klubowca. Ale on zaczął najpierw opowiadać o swoich arystokratycznych koneksjach, bo podobno spokrewniony był z francuską rodziną królewską, a potem już tylko chichotał i ciągle wracał do jakichś brukowych i niegodnych opowieści o pokojówkach. Na zwróconą mu uwagę, że z jego pochodzeniem i w jego wieku powinien wyrażać się nieco oględniej, frywolny starzec obraził się i przestał się w ogóle odzywać. Tak więc nie udało mi się rozgryźć tajemnicy pochodzenia

Mannerheima, którego zresztą w kilka tygodni później awansowano do stopnia generała i przeniesiono gdzieś na Daleki Wschód. Więcej jużem o nim nie słyszał, bo przed samym wyjazdem ofiarował mnie młodemu księciu Bagrationowi, pułkownikowi lejbgwardii cesarskiej odbywającemu w Warszawie staż bojowy.

Był to piękny, postawny mężczyzna, o rasowej twarzy, orlim nosie i ciemnej cerze. Przypuszczam, że miał w sobie krew gruzińskich górali, o czym świadczył i jego temperament. U księcia stanąłem w obszernym antyszambrze, o ścianach wybitych adamaszkim, ale niesłychanie zagraconym. Stały tam jakieś okute skrzynie, na wbitych bezlitośnie w atlas ordynarnych gwoździach wisiały szable i samopały, w kącie przycupnął wystraszony trójnóg arabski obity ręcznie kutą blachą mosiężną, w drugim rozpierał się dla odmiany dufny, opasły samowar tulski. Zanim jeszcze miałem okazję poznać się bliżej z nowymi sąsiadami, już przekonałem się, jakiego rodzaju staż odbywa w Warszawie książę. Nie lubię być niedyskretny, powiem tylko tyle, że obwieszany bywałem codziennie jedwabnymi koszulkami, pończoszkami, nawet koronkowymi dessous. Nie powiem, aby mi to było niemiłe.

– Co on bredzi? – odezwała się nagle szafa.

– Niech mówi – zaprotestował stolik. – Doszedł do momentów. Jak ty opowiadałaś, kto się w tobie chował, kiedy nagle wrócił mąż, to było w porządku.

– A ja omal nie usnęłam z nudów – oświadczyła wersalka. – Miał powiedzieć, skąd się tu wziął, a on opowiada o jakimś Wiedniu, wojskowych, wywrotowcach. Kogo to dziś obchodzi?

Chciałem krzyknąć, że mnie obchodzi, ale wieszak odezwał się pierwszy:

– Mamy czas, jeszcze nie minęła północ, ale skoro nie chcecie słuchać, to powiem tylko, że przyjechałem z Muzeum Ruchu Rewolucyjnego.

– Tak myślałam. Zwykły szatniarz, któremu się w głowie przewróciło – stwierdziła szafa, zazdrosna widać o swoją pozycję towarzyską.

– O, nie! – zaprotestował energicznie wieszak. – Jestem tam eksponatem. Stoję po sąsiedzku z biurkiem Lenina, obok mnie na ścianie wiszą kajdany Waryńskiego.

– A to dlaczego? – szafa była wyraźnie poirytowana.

– Bo w dwudziestym roku stałem na plebanii w Wyszku. U księdza kanonika Mieczkowskiego.

– No to co? I tak zaraz do muzeum? Z plebanii? – zaszumiały meble.

– A tak – rzekł dumnie bardziej jeszcze spiżowym głosem wieszak. – A zanim trafiłem do muzeum, byłem na Zamku Królewskim w Warszawie.

– No to opowiadaj, bracie – z szacunkiem już poprosiła szafka nocna.

– Do Wyszkowa trafiłem w czasie ewakuacji Rosjan z Warszawy.

– To się już ewakuowali? – zapytał oleodruk znad łóżka przedstawiający chyba świętego Izydora Oracza.

– No jakże. W 1915. Wsadzili mnie na wóz, z jakimiś pakami, jaszczykami, portretem Mikołaja II, i pojechaliśmy na drugą stronę Wisły, a potem coraz dalej, na wschód. Już myślałem, że mnie wywiozą na Syberię, do kopalni albo na zesłanie jak tylu ludzi, z którymi miałem do czynienia i których polubiłem. Ale na szczęście pod Wyszkowem, w połowie brodu przez Bug, jakiś odłamek artyleryjski zabił naszego konia. Eskorta uciekła, a ja wraz z wozem tkwiłem bezradnie w ławicy piasku. Pod wieczór zlazło się paru włościan z okolicy, porozbijali skrzynie i podzieli się zawartością. Czego tam nie było – kałamarze, suszki, przyciski do papierów, ryzy papieru i kilkanaście butelek araku. Słowem, cała kancelaria. Mnie zanieśli na plebanię i dali w prezencie proboszczowi razem z ikoną Mikołaja Cudotwórcy. Tam przestałem całą wojnę światową, tę pierwszą. Tam doczekałem wolności i odrodzenia Rzeczypospolitej. Z rozmów kanonika z wikarym dowiedziałem się, że moi znajomi z czasów rewolucji, kiedy to zrobiono ze mnie drzewce do sztandaru, byli teraz najważniejsi w kraju. Przede wszystkim Piłsudski, a ja zapach jego kożuszka jeszcze czułem na sobie i czuję do dziś. Niestety, moi ówcześni sąsiedzi z plebanii to byli straszni dewoci i klerykałowie i nie dało się z nimi rozprawić o polityce. Zwłaszcza stojak od mszału miał Piłsudskiego za komunistę, odstępę od wiary, i żądał ekskomuniki. Sam mszał nie chciał się wypowiadać, a nagabywany o zdanie wykręcał się śpiewaniem godzinek.

– Co on bredzi? Mów o zamku – zatrzeszczała szafa, zgrzytając kluczykiem.

– Niech będzie, ciemno na wysoki połysk – zgodził się wieszak. – W ‘20 roku Wyszków zajęli bolszewicy, a na probostwie zakwaterował się sowiecki rząd polski. Na mnie właśnie swoje szynele powiesili jego członkowie, Julian Marchlewski, Feliks Kon i Feliks Dzierżyński. Czekali na zdobycie Warszawy. Nie czekali długo, bo kiedy do Wyszkowa zaczęła się znów zbliżać kanonada, uciekli. Marchlewski nawet nie zdążył zabrać kapelusza. A w niewiele godzin potem przyjechał na plebanię generał Haller z ambasadorem francuskim Jusserandem w towarzystwie poważnego pana, jak się później dowiedziałem, pisarza Stefana Żeromskiego.

Ksiądz opowiadał o swoich rozmowach z bolszewickimi dygnitarzami, ja chłonałem nienaganną francuszczyznę Hallera, przypominając sobie słówka i gramatyczne zawiłości, Żeromski coś notował i w pewnym momencie rzekł, że bardzo żałuje, iż nie zastał już pana doktora Marchlewskiego, bo upomniałby się u niego o należne pieniądze. Okazało się, że

przyszły szef komunistycznego rządu Polski był wydawcą niemieckich tłumaczeń książek Żeromskiego, ale nigdy nie zapłacił ani grosza. Pewnie finansował z tych pieniędzy rewolucję. Rozbawiony ksiądz Mieczkowski pokazał na pozostawiony kapelusz Marchlewskiego, proponując, aby Żeromski wziął go jako odszkodowanie. Pisarz spojrział na mnie sterczącego w kącie z tym kapeluszem na czubku. Musiałem go oczarować od razu, bo rzekł:

– Wolałbym wieszak.

– A, to proszę bardzo. To łup wojenny. Już jest pański – ucieszył się ksiądz, ale nie tym, że się mnie pozbywa, ile tym, że może zrobić przyjemność wybitnemu literatowi. I tak pojechałem odkrytym rolls-royce'em do Warszawy, na Zamek Królewski, w którym Żeromski miał mieszkanie.

– A co się stało z kapeluszem? – chciała wiedzieć szafa.

– Ksiądz powiedział, że ozdobi nim stracha na wróble w parafialnym sadzie.

Nagle mrok pokoju rozjaśniły błyski. Z dworu dobiegł huk.

– Północ – miarowo wyszeptał zegar. – Strzelają fajerwerki.

Środek nocy

Bardzo chcę poznać dalsze losy wieszaka, ale rozmowa mebli cichnie. Wygrzebawszy się spośród płaszczy, wylażę na ganek. Nie ma żadnych fajerwerków. Gdzieś daleko na horyzoncie biją w niebo jak bąbelki w szampanie różnobarwne strugi pocisków. Bliżej, bitym gościńcem, z hukiem gąsienic jedzie czołg i kilka transporterów opancerzonych.

– Wojna – przemyka mi przez myśl. – O Chryste, jednak weszli.

I w tym momencie dostaję w mordę. Już z ziemi spostrzegam Wojtka. Rozciera sobie dłoni. Jego kolega, ten antypatyczny, pochyla się nade mną i sprawnie zatrzaskuje kajdanki. Podnoszą mnie i prowadzą do samochodu. Krew z nosa wąską strugą ścieka mi do ust.

– To nic osobistego – mówi obojętnym tonem Wojtek. Nie bierz tego do siebie. Służba.

– Dokąd jedziemy? – pytam.

– Na Sybir – rzuca ponuro ten drugi.

Odjeżdżamy w kierunku Warszawy. A może Wyszkowa? Z głową między kolanami zaczynam najdłuższą podróż mego życia, nie wiedząc, że wraz ze mną podróżują wszyscy. Całe wesele.

Wielka Emigracja

Leżałem na plaży w bardzo dziwnym miejscu. Prawie w innym kosmosie. Gdyby mnie ktoś spytał, skąd się tu wziąłem, po co i dlaczego, nie umiałbym odpowiedzieć. Przypadek, los, przeznaczenie. Przede mną aż po horyzont rozciągało się ogromne jezioro. Niemal morze. Jak Bajkał, pomyślałem i w tym miejscu było to bardzo dziwne porównanie i równocześnie jak najbardziej na miejscu. Szerokie morze, swiaszczennyj Bajkał. Byłem na wyspie Ometepe na jeziorze Nikaragua, oczywiście w Nikaragui. Trochę na południe od zwrotnika Raka, jakieś 150 kilometrów od Morza Karaibskiego i może 50 od Pacyfiku. Po drugiej stronie globusa od Warszawy, ale całkiem blisko. Geograficznie to się nie zgadzało, ale byłem w tym momencie na wschód od ojczyzny.

Oddalałem się od Polski, bo najpierw były Niemcy i ludziłem się, że jeśli wrócę, to z odwrotnej strony. Po okrążeniu globu. Przez Pacyfik i Syberię. Nowym szlakiem, a nie jak pokolenia przede mną, przez Syberię i Pacyfik, a przynajmniej Syberię, Persję i Palestynę.

W Niemczech trafiłem do Hamburga. Ażyl niemiecki, mieszkanie socjalne niemieckie, zasiłek socjalny niemiecki, status socjalny niemiecki, uchodźcy polscy i polska wódka. Krąg, z którego trudno się wydostać. Pokazano mi kiedyś w parku grupę kobiet ubranych tak, jakby przeniesiono je właśnie z jakiegoś rosyjskiego miasteczka pod Kujbyszewem. Szare, w chustkach na głowie, ale całkiem innych niż tureckie, bo też szarych, stały na mostku nad stawem i rozmawiały po rosyjsku. To były Niemki wołżańskie, późni przesiedleńcy. Na moje pytanie, jak długo już tu są, powiedziano mi, że niedługo. Dopiero 15 lat. Ich mężowie wychodzili rano przed blok, siadali na ławeczce i pili z gwinta wódkę Gorbaczow aż do zmroku. Od czasu do czasu ktoś kogoś przejechał nożem, pisały o tym brukowce. Porachunki wśród Rosjan. Ale gdy jeden z tych Ruskich wyciągnął z kanału portowego tonącego Szweda, napisali: „Niemiec uratował życie szwedzkiego marynarza”.

To było pouczające. Coś trzeba było zrobić, żeby nie utknąć na sąsiedniej ławce, obok Rosjan, na zawsze. Ale co? Prasa emigracyjna nie płaciła. Bo i z czego? Niemieckie media nie potrzebowały moich doświadczeń z komunizmem, bo miały własne. Znacznie lepsze. Miały Realpolitik i nie potrzebowały psuć sobie sielankowego obrazu świata zagrożonego tylko przez imperializm amerykański. A na amerykańskim imperializmie się nie znałem.

Trochę byłem dumny, że spotkał mnie los Wielkiej Emigracji, że jestem człowiekiem niepotrzebnym nigdzie i nikomu i że skończę jak Norwid, jako anonimowy trup w zbiorowej mogile. Pochlebiałem sobie. Cóż, trzeba nam było psychicznego wsparcia.

Uratował mnie Rappaport. Żyd ze Lwowa. Miał lwowski śpiewny akcent i dwa domy publiczne na Sankt Pauli. Umawiał się ze mną przed południem, kiedy jego interes jeszcze się nie kręcił, i kazał opowiadać sobie o Polsce, tej, z której wyjechałem, i tej obecnej, o której wiedziałem z gazet. Nigdy nie spotkałem nikogo innego tak głodnego Polski. Spragnionego Polski. Jego komentarze były zdumiewająco celne. Kiedy mu opowiadałem o gospodarce, zadłużeniu zagranicznym, pustych półkach, zamyślił się, a potem powiedział:

– Ja bym na miejscu generała przepisał Polskę na panią Jaruzelską.

Moniek dla przyjaciół, oficjalnie Marian, zaproponował mi pracę. Dobrze płatną. Naganiacza przed jednym z jego lokali, tuż przy Grosse Freiheit. Moim obowiązkiem było zaczepiać przechodniów i nakłaniać ich do wejścia. Choćby na live show i drinka. Okazało się jednak szybko, że nie mam zdolności. Ta praca wymagała głębokiej znajomości ludzkiej psychologii, obeznania w fizjonomice, potężnej porcji bezczelności i wytrwałości. Tego wszystkiego mi brakowało. Byłem nieśmiały. Wstydziłem się tego, co musiałem robić, właściwie diabli wiedzą dlaczego, bo faceci, którzy się tu kręcili po zmroku, po to właśnie przychodzili, żeby w końcu wynająć sobie dziwkę.

– Nic z ciebie nie będzie, redaktorku Mści – powiedział po dwóch dniach Moniek, zapłacił mi za cały tydzień, zasępił się i wreszcie rzekł:

– Nie ma innego wyjścia, musisz pójść na taksówkę. Trzeba by zdać egzamin ze znajomości miasta i okolic, ale ja mam znajomego i on cię weźmie bez papierów. Dlaczego miałby cię nie wziąć? Tu co drugi nie ma żadnych papierów, nawet paszportu. Jak się nauczysz miasta, to sobie zdasz. Jak mi przywieziesz klienta, dostaniesz 20 marek od łebka. Zgoda?

Zgodziłem się. I zacząłem jeździć starym mercedesem dieslem w kolorze śmietany po Hamburgu. Po prostu Kanada. Każdego obcokrajowca, który wsiadał i szeptem prosił o zawiezenie gdzieś, gdzie – pan rozumie, mein Herr – można się zabawić, wiozłem do Mońka i kasowałem szmal dwa razy. Od klienta i od lokalu. Zaczęło nam się powodzić, córka przestała się w szkole wstydzić swoich starych ciuchów, kupiliśmy pralkę, ja zrobiłem się mordziasty od tych nocnych kebabów i od pizzy. Napatrzyłem się też na nocne życie Hamburga i na obyczaje naszego gatunku, bo prawie co noc wsiadali do taksówki faceci z ulicznymi freelancerkami, z panienkami pracującymi na własną rękę, i kazali parkować gdzieś na uboczu. Miałem kino pornograficzne pierwszej klasy i nawet zainstalowałem sobie panoramiczne lusterko wsteczne.

Pewnego dnia odbyłem już ze trzy kursy do teatru Salambo. To taka słynna instytucja hamburskiej dzielnicy rozrywki. Rewia i seks na scenie. Bez żadnego udawania. Na ostro.

Hardcorowo. Ale takich tłumów tam jeszcze nie widziałem. Okazało się, że występuje sławna amerykańska gwiazda porno, pseudonim artystyczny Little Oral Annie, a jej główny numer to wkładanie sobie tu i ówdzie wziernika, przez który każdy widz może popatrzeć i obejrzyć ją od środka. Cały Hamburg aż dyszał z podniecenia. Kursowałem między hotelami a teatrem, aż wpakowało się do taksówki trzech smutnych panów w ciemnych garniturach z teczkami. Zaczęli coś bąkać łamaną niemczyzną z tak wyraźnym polskim akcentem, że zaproponowałem:

– Mówcie, panowie, po polsku.

– Mści? – wykrzyknął jeden z nich. Obejrzałem się. Trochę wyłysiały, trochę grubokarczysty i czerwony na gębie, ale to był Stefan. Mój kolega ze studiów. Działacz ruchu studenckiego i animator kultury.

Daliśmy sobie gęby przez oparcie siedzenia. Też oczywiście chcieli do Salambo i też byli podnieceni. Po drodze pytaliśmy siebie nawzajem, Stefan mnie, a ja jego, co tu robimy, skąd się wzięliśmy i co słychać. Ale czasu było mało, zaledwie parę minut drogi, więc umówiliśmy się, że podjadę po nich po przedstawieniu.

Wyszli trochę rozdygotani, chaotycznie opowiadali o ginekologicznych przeżyciach z małą Annie, więc nie pytając, zawiozłem ich do Mońka, zostawiłem tych dwóch, kasując 40 marek, a Stefana zabrałem do knajpy. Na kolację i pogadać. Opowiedziałem mu o sobie, a Stefan, jak już trochę wypił, zwierzył mi się, że jest w Hamburgu z tajną misją związaną z fundamentalną reformą ustrojową i gospodarczą. I zaczął długą, fascynującą opowieść naocznego świadka.

Głos z Polski

Pomysłodawcą przedsięwzięcia był osobiście generał Jaruzelski, kiedy walnąwszy pięścią w stół, powiedział do Szałajdy:

– Jeśli nie potraficie zrobić reformy w tym burdelu, to zajmijcie się burdelem w reformie.

Szałajda po powrocie do biura chwycił za słuchawkę.

– Jest, rozumiecie, instrukcja – powiedział do Messnera – żeby zakładać domy publiczne.

Rada Ministrów zażądała najpierw ekspertyzy naukowej. Zakład Historii Partii, do którego się zwrócono, zawyrokował, że przedsięwzięcie rokuje najlepsze nadzieje, prostytutka jest bowiem nie tylko najstarszym zawodem świata, ale i najbardziej dochodowym. W dziejach świata – pisano w ekspertyzie – nie było jeszcze przypadku, aby burdel zbankrutował lub zanotował deficyt.

Dla dokładnego opracowania projektu, opatrzonego kryptonimem „Czerwone światło w tunelu”, powołano komisję międzyresortową, w skład której weszli przedstawiciele resortów Pracy, Płac i Spraw Socjalnych, Kultury i Sztuki, Zdrowia i Opieki Społecznej, Młodzieży i Sportu oraz naturalnie Spraw Wewnętrznych. Komisja obradowała w permanencji. Na początek ustalono założenia eksperymentalnego programu pilotującego, wedle których domy publiczne powstać miały w trzech ośrodkach o różnej wielkości i składzie socjalnym ludności – w Warszawie, Lesznie i Siedlcach.

Potem nastąpił okres przetargów, kto ma być wobec domów publicznych organem założycielskim. Minister kultury i sztuki Aleksander Krawczuk powoływał się na Safonę, resort sportu na wysiłek fizyczny, resort zdrowia przedstawił opinie lekarzy, iż współżycie seksualne poprawia krążenie krwi i ogólne samopoczucie. Minister spraw wewnętrznych argumentował, że nowe placówki odwiedzać będą także dyplomaci i przedstawiciele opozycji, a to wymaga czujności.

Wobec niemożności znalezienia konsensusu sprawę musiało wziąć pod obrady Biuro Polityczne. Referował, jako znawca przedmiotu, Mieczysław F. Rakowski, jednak jego propozycja, żeby burdele podlegały bezpośrednio Biuru Prasowemu rządu, ponieważ ich pracownice będą miały okazję życzliwie nastawiać szerokie warstwy ludności do polityki władz, spotkała się z ostrym sprzeciwem lobby przemysłowego. Zasadniczym celem przedsięwzięcia – dowodzili przeciwnicy Rakowskiego – są efekty ekonomiczne, zysk, dochód i obrót. Ściąganie z rynku gorącego pieniądza i nawisu inflacyjnego. Popyt, podaż, rynek.

Zapadła decyzja, że organem założycielskim będzie minister handlu i usług. Administrację domów powierzono nowemu Zjednoczeniu Domów Rozrywki z siedzibą w Warszawie, przy którym powstała Rada Programowa złożona z pracowników kultury i ludzi nauki. Dyrektorem został pułkownik Jerzy Lipiński, dotychczasowy główny specjalista w Komitecie Rady Ministrów do Spraw Przestrzegania Prawa, Porządku Publicznego i Dyscypliny Społecznej.

Do udziału w Radzie Programowej zaproszono niektóre osoby związane ze środowiskami opozycyjnymi, pod warunkiem że uznają przewodnią rolę partii. Na przewodniczącą Rady Programowej wybrano jednogłośnie doc. dr Bożenę Krzywobłocką, publicystkę tygodnika „Rzeczywistość”. Na biura Zjednoczenia zajęto pomieszczenia Domu Chłopa w Warszawie, znaleziono też odpowiednie lokale we wszystkich trzech miastach i przystąpiono do werbowania personelu, na początek administracyjnego. Eksperyment wszedł we wstępną fazę realizacji, a tymczasem w prasie rozgorzały polemiki. Najostrzej projekt „Czerwone światło w tunelu” atakowała prasa wyznaniowa, najzjadlej broniły „Argumenty”, powołując się na Marię Magdalenę. Księża z ambon gromili niemoralność projektu do czasu, kiedy episkopat po posiedzeniu Komisji Wspólnej uznał nadrzędność argumentów ekonomicznych w trudnej sytuacji państwa i powołał Duszpasterstwo Środowisk Rozrywkowych.

Zgodnie z zasadą klucza dyrektorem burdelu w Warszawie został członek PZPR, w Lesznie Stronnictwa Demokratycznego, a w Siedlcach ZSL. PAX-owi obiecano równorzędne stanowisko, gdy tylko przedsięwzięcie wyjdzie z fazy wstępnej i rozszerzy się na inne województwa. Zatrudniono ponadto księgowych, buchalterów, kasjerów, specjalistów do spraw socjalnych, osoby do rozdzielania kartek żywnościowych, kierowników pięter, sprzątaczkę, portierów, szwaczki, pomywaczki, kontrolerów ruchu, specjalistów do spraw planowania inwestycji, innowacji, wynalazczości i tak dalej. W sumie Zjednoczenie zatrudniało już około 1500 osób.

Podczas gdy w łonie Rady Programowej trwał spór, czy pensjonariuszki zaliczyć będzie trzeba do pracownic umysłowych, za czym obstawała doc. Krzywobłocka, czy do fizycznych, za czym optowali obaj wiceprzewodniczący, Sokorski i Bratny, dyrektor Lipiński, uzyskawszy stosowną kwotę dewiz z puli rezerwowej Ministerstwa Finansów, wyjechał do przodujących krajów rozwiniętego kapitalizmu, zbierać doświadczenia w myśl zasady, że uczyć się trzeba nawet od diabła. Kiedy wrócił po trzech miesiącach, Rada doszła już do niejkiej zgody, przedkładając wniosek, by w kwestiach zabezpieczenia socjalnego pracownice traktowane były jako umysłowe, a w kwestiach kart zaopatrzenia jako fizyczne.

Odpowiednie zarządzenie Zjednoczenia zostało potem uchylone przez Trybunał Administracyjny na skutek skargi OPZZ mówiącej o nienależnych przywilejach i ostatecznie przyznano personelowi świadczenia socjalne w wymiarze dla fizycznych, a kartki w wymiarze dla umysłowych. Za skargą OPZZ kryło się działanie Samorządnego Niezależnego Związku Górników. Wniosek Związku o świadczenie przez domy publiczne darmowych usług z Karty Górnika został mianowicie przez Zjednoczenie odrzucony. Rada przeforsowała jednak ośmiogodzinny dzień pracy i jedną wolną sobotę w miesiącu.

Rozpoczął się werbunek personelu usługowego. Przyjęto zasadę, że w każdym z województw mogą pracować tylko jego mieszkańcy, co usuwało kłopoty z zameldowaniem i mieszkaniami służbowymi. Ograniczenie wieku odrzucono jako sprzeczne z konstytucją i Powszechną Deklaracją Praw Człowieka i Obywatela. Także wysuwane przez niektóre czasopisma sugestie, iż do pracy winno się przyjmować wedle kryteriów wyglądu zewnętrznego, nie znalazły uznania.

– Znacznie ważniejsze jest – dowodził pułkownik Lipiński, aby kandydatki dawały gwarancję właściwej postawy ideologicznej, skoro stykając się z przedstawicielami ludności, będą miały możliwość kształtowania opinii publicznej. Dlatego warunkiem przyjęcia będzie rekomendacja organizacji społecznej, opinia z poprzedniego miejsca pracy oraz podpisanie krótkiego oświadczenia w sprawie nienaruszalności granicy na Odrze i Nysie, trwałości sojuszy wojskowych i rozdziału Kościoła od państwa.

Jednocześnie poufnymi kanałami komisja kwalifikacyjna, na czele której stanął generał Pożoga, zasięgnęła opinii o prowadzeniu się kandydatek w miejscu zamieszkania. Opinie wystawiali dzielnicowi. Ogółem na 40 wolnych miejsc zgłosiło się 137 kandydatek, z miejsca odrzucono 23 wobec niespełniania kryteriów moralności socjalistycznej. Zaszła jednak potrzeba dalszej selekcji, wobec czego wprowadzono punkty za pochodzenie społeczne, odznaczenia państwowe i resortowe. Doktor Łopatkowa chciała uprzywilejować matki wielodzietne i samotne, ale napotkała na ostry opór. Doc. Krzywobłocka wysunęła propozycję premiowania przynależności partyjnej i ukończenia wieczorowych kursów marksizmu-leninizmu. Prezes Poręba na skutek nacisków Ministerstwa Spraw Zagranicznych wycofał wniosek Stowarzyszenia Patriotycznego „Grunwald” o badanie czystości rasowej kandydatek.

Ostatecznie przyjęto do pracy w Warszawie dwadzieścia pań, a w Siedlcach i Lesznie po dziesięć. Uroczyste otwarcie z udziałem przedstawicieli władz partyjnych, administracyjnych, reprezentantów organizacji społecznych i młodzieżowych odbyte w dniu Święta Pracy zakończyło się bankietem. Następnego dnia już od rana przed nowymi placówkami ustawiały

się kolejki czekające na godzinę otwarcia. Kwadrans przed jedenastą wszystkie trzy budynki otoczyły lotne brygady MO i rozpoczęły sprawdzanie dokumentów, by wyłowić wśród pierwszych klientów osoby uporczywie uchylające się od pracy, pasożytów społecznych, posiadaczy zwolnień lekarskich i tych, którzy oddalili się z miejsca pracy bez pozwolenia. Po błyskawicznej akcji w kolejce pozostała nieliczna grupa cudzoziemców, głównie Arabów, i kilku reporterów. Dziennikarzy odesłano do Witolda Filiera, rzecznika Prasowego Zjednoczenia, natomiast cudzoziemców wpuszczono do środka, najpierw wszakże do biura, gdzie musieli, gdy chcieli płacić w złotych, okazać dowód wymiany z Narodowego Banku Polskiego. Ci, którzy takiego dokumentu nie mieli, płacić musieli w dolarach.

Następnego dnia kolejki już nie było. Natomiast w ciągu pierwszego miesiąca działalności placówki rozrywkowe poddano surowej kontroli. Niespodziewanych nalotów dokonały: Inspekcja Robotniczo-Chłopska, NIK, PIH i kto tam jeszcze, sprawdzając kwalifikacje personelu i jakość usług. Z niespodziewaną gospodarską wizytą przybył do obiektu w Warszawie generał Jaruzelski witany przez ubrane w białe sukienki pensjonariuszki kwiatami i szampanem.

Pierwszy rachunek ekonomiczny wykazał jednak, mimo wszystkich wysiłków administracji, spory deficyt. Uznano, że ustalone ceny urzędowe są zaniżone i postanowiono przejść na ceny umowne. Tymczasem eksperymentalne placówki odwiedzać zaczęły delegacje wysokiego szczebla z bratnich krajów socjalistycznych pragnące skorzystać z polskich doświadczeń. Mimo wszystko wyniki ekonomiczne zjednoczenia wciąż się pogarszały. Wśród personelu bezpośrednio zatrudnionego w usługach wystąpiła znaczna fluktuacja kadr. Wysłunięto dwie propozycje zapobieżenia niekorzystnym zjawiskom – militaryzację zakładu lub wprowadzenie systemu zachęt materialnych, czyli bodźców. Ostatecznie przedłużono czas pracy do 12 godzin dziennie, zlikwidowano wolną sobotę, wprowadzono Kartę Pensjonariuszki uprawniającą do odzieży roboczej, 4 ton węgla rocznie i urlopu we własnym ośrodku wypoczynkowym Zjednoczenia w Kędzierzynie-Koźlu. Ustalono też system premii dla personelu administracyjnego.

Frekwencja wciąż jednak spadała, zapewne na skutek rejestracji klientów na żądanie władz podatkowych. Wizyty w domach publicznych minister finansów obłożył podatkiem od luksusu. Jednocześnie system premii spowodował taki wzrost funduszu płac, że opłaty na fundusz aktywizacji zawodowej powiększyły deficyty każdego przedsiębiorstwa do kilkudziesięciu milionów złotych. Generał Kiszczak zarządził akcję „Porządek w burdelu”, po której deficyt przekroczył miliard. Prezes Narodowego Banku Polskiego osobiście udał się do placówki w Warszawie, żeby na miejscu podjąć decyzję o udzieleniu dalszych kredytów.

– Jakość usług – powiedział po wyjściu – nie gwarantuje spłaty.

Na naradzie w Urzędzie Rady Ministrów z udziałem ekspertów z Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego uznano, że eksperyment się nie udał. Uratować mogłoby go tylko stworzenie przedsiębiorstw mieszanych, polsko-zagranicznych lub polsko-polonijnych. Na razie postanowiono burdele zamknąć, by nie powiększać deficytu w budżecie państwa. Pozostało tylko Zjednoczenie, które zabiega o kapitały zagraniczne.

– Ja – powiedział z dumą Stefan – jestem teraz dyrektorem tego Zjednoczenia i przyjechałem do Hamburga starać się o licencję na warunkach samospłaty. Jakieś rozwiązanie musi się znaleźć, inaczej znów ważna gałąź gospodarki narodowej trafi w ręce spekulantów.

Powiedziałem mu, że mogę go skontaktować z Marianem Rappaportem, poważnym przedsiębiorcą z tej branży.

– Zbawco! – rzucił mi się na szyję, wycalował i nagle rzekł: – Wracaj do kraju. Ja cię urządzę.

– A co ja mogę tam robić? – spytałem.

– Jak to co? Będziesz jeździł na taksówce.

Rewolucja w dżungli

Przyleciałem do Managui dwa lata temu. Po rozmowie ze Stefanem w Hamburgu wyciągnąłem z kieszeni ulotkę, którą wetknięto mi za wycieraczkę. Podpisana: Marksistowsko-Leninowski Front Wyzwolenia Ludów Uciskanych. Byłem uciskany i chciałem się wyzwolić. Towarzysze frontowi z działaczami ruchu pokojowego organizowali ochotniczy hufiec pracy, aby pomóc gospodarczo sandinistom. Mieli pracować przy zbiorach kawy, a zebrane ziarna wysyłać do Niemiec, do Berlina Zachodniego, gdzie miano je sprzedawać po cenie wyższej od rynkowej. Takiej, żeby chłopci nikaraguańscy mogli godnie żyć. Był to piękny przejaw idealizmu, ale nie znaleziono dostatecznej liczby chętnych do pracy na plantacji, aby zapełnić czarterowy samolot. Ja miałem nadzieję na ciekawy reportaż, zresztą zabrali mnie chętnie. Całą drogę ci aktywiści z zacnych burżujskich rodzin, synowie i córki kapitalistycznych hien bankierskich i fabrykanckich, tłumaczyli mi znaczenie słowa „solidarność” i przedstawiali nieodpartymi argumentami, że ich solidarność z walczącą o sprawiedliwość społeczną Nikaraguą jest tym samym co nasza polska „Solidarność”. W Bremie – mówili – robotnicy powinni zająć stocznie tak jak to zrobili Polacy w Gdańsku.

Zresztą byłyby to miłe dzieciaki poprzebierane w najgorsze szmaty, jakie udało się im znaleźć na pchlich targach, gdyby nie to, że w ich wizjach nowego świata pobrzękiwały echa odwiecznego brania za pysk każdego, kto by się przeciwstawiał jedynie słusznemu łaadowi i zasadom bezwzględnej sprawiedliwości społecznej. Kurt, prawie mój rówieśnik, który już od 24 semestrów studiował politologię i socjologię na uniwersytecie w Kolonii, zwierzył mi się w samolocie, że od czasu francuskiej próby nuklearnej na atolu Mururoa nie pije francuskiego szampana, tylko włoskie prosecco. Był bardzo dumny z tej formy protestu, którą uważał za nadzwyczaj skuteczną w walce z francuskim imperializmem.

Managua przypominała, z poprawką na klimat i roślinność, Mławę podczas święta 22 lipca albo 1 maja. Tak samo brudno, za to czerwono, wszędzie portrety. Najwięcej Che Guevary, prezydenta Ortegi, Fidela, gdziegdzie Lenina. Napisy: „Socialismo o muerte”, „No pasaran”, „Todo es posible en la paz”. Pod wielkim murałem przedstawiającym sandinistowskich żołnierzy z kwiatami w lufach karabinów stali prawdziwi sandiniści, którzy nie mieli luf zatkanych kwieciami. Lufy były jak najbardziej przelotowe. Było rewolucyjnie i moi Niemcy nie kryli zachwyty. Ale zaraz na lotnisku okazało się, że organizacja szwankuje. Mieliśmy stąd pojechać autobusem do miejscowości o miłej sercu każdego telewidza na świecie nazwie Bonanza. Widziałem na mapie – ładne tysiąc kilometrów, gdzieś

w interiorze u stóp łańcucha górskiego Cordillera Isabella. Stamtąd jeszcze kilkadziesiąt kilometrów w głąb dżungli, do jakiejś wioski bez nazwy. Moi Niemcy zacierali ręce – am Arsch der Welt. Na zadupiu świata. Tam dopiero ludzie są naprawdę biedni, ciemni, zgnębieni i czekają na pomoc, wsparcie ideologiczne i cywilizację jak na zbawienie. Cywilizację wieźliśmy ze sobą w workach wypchanych papierem toaletowym. Trochę mnie dziwił ten papier, ale okazało się, że na wiecu w Dusseldorfie jeden z mówców, wskazując na stopień zniewolenia i zacofania Indian nikaraguańskich, wykrzyknął: „Oni nawet nie znają papieru toaletowego!”. Na bywalcach toalet hotelowych od Genewy po Nowy Jork zrobiło to piorunujące wrażenie.

Tymczasem mundurowy komitet powitalny na lotnisku wyraźnie był zaskoczony naszym przybyciem i nie wiedział, co robić. Trwały jakieś narady, telefony, rozmowy, z których wyłaniało się jedno słowo: „maniana”. Jutro. Jutro się zobaczy. Noc spędziliśmy na lotnisku, na podłodze w poczekalni. Dziewczyny rozpakowały pierwszy worek z papierem, bo okazało się, że nigdzie nie ma automatu z podpaskami.

Rano przyjechały do nas jakieś ważne osobistości, też w mundurach, aby nam zakomunikować, że do Bonanzy nie możemy jechać, bo po powodzi droga jest nieprzejezdna, ale skierują nas bliżej, do San Lorenzo. Tam w pobliżu jest kolonia wychowawcza dla młodzieży prowadzona przez jezuitę, ale kawy i tam możemy sobie nazrywać. Dopiero jak przyjdzie pora zbiorów.

Niemcy – którym tłumacz przełożył to przemówienie zakończone okrzykiem: „Niech żyje socjalizm, niech żyje przyjaźń nikaraguańsko-niemiecka!” – bardzo byli rozczarowani. Żadnej kawy, żadnych dzikusów z dżungli łaknących sprawiedliwości, a jeszcze do tego jezuiti. Nawet chcieli się zbuntować, że do klasztoru nie pojadą, ale przypomniałem im o teologii wyzwolenia i wyraziłem przypuszczenie, że Watykan mógł na tego jezuitę nałożyć ekskomunikę. To ich jakoś udobruchało i przekonało.

Załadowaliśmy się do starego, może czterdziestoletniego autobusu pomalowanego jaskrawo na czerwono i zielono, bagaże ułożyliśmy w stertę na dachu i wyruszyliśmy. Przez pierwsze kilometry droga była niezła, potem trochę gorsza, następnie zmieniła się w gościniec, a w końcu w jakąś trochę szerszą ścieżkę w górach. Autobus prychał silnikiem i kichał sprzężarką, ale posuwał się dzielnie naprzód. Jechaliśmy przez dżunglę pełną małą, egzotycznych ptaków i dziwnych roślin. Kurt, który ciągle czegoś wypatrywał za oknem, stuknął mnie nagle łokciem w bok.

– Koka – wyszeptał.

– Masz? – zapytałem.

– No co ty, będę piwo do browaru woził? Rośnie. Wszędzie. Widziałem.

Był wyraźnie podniecony, zupełnie jak perspektywą światowej rewolucji. Dziewczyny na przedzie autobusu śpiewały „Brüder, zur Sonne, zur Freiheit” naprzemian z „Bandiera Rossa”.

Ja się pokrzepiałem kupionym na lotnisku rumem, a jak już się pokrzepiłem, coś strzeliło mi do łba i zaintonowałem „Horst Wessel Lied”: „Die Fahne hoch...”. Na krzyk oburzenia stwierdziłem, że przecież to też jest pieśń rewolucyjna. Myślałem, że mnie wyrzucą z autobusu, ale ktoś zaproponował, dla rozładowania sytuacji, żebym zaintonował jakąś polską pieśń proletariacką. Nie przyszło mi nic lepszego do głowy, jak odśpiewać „Rotę”, a kiedy strofy o tym, że nie będzie Niemiec pluł nam w twarz przyjęte zostały oklaskami, na bis odśpiewałem „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej”, pociągnąłem rumu z flaszki i zasnąłem.

Obudziłem się z twarzą wgniecioną w oparcie siedzenia przede mną. Autobus gwałtownie hamował, sunął bokiem po błocie, wreszcie stanął, wpierając się maską o krzaki. Rozejrzałem się półprzytomny. Współtowarzysze podróży gramolili się z podłogi spod toreb, które pospadały z półek. Ktoś miał rozciętą wargę. Wyrzałem przez okno. Otaczała nas gromada ludzi w mundurach, z bronią. Wszyscy byli brodaci za wyjątkiem kilku dziewczyn. Też umundurowanych i uzbrojonych. Wygarnęli nas wszystkich, ustawili w szeregu i przystąpili do legitymowania. Okazało się, po czerwonych opaskach, że był to oddział sandinistów.

Jego dowódca, nieduży, ale krępy Indios, przeglądał uważnie niemieckie paszporty. Kilku innych buszowało we wnętrzu autobusu. Dwóch wlazło na dach i zrzuciło worki z papierem toaletowym.

Dowódca doszedł do mnie, wziął do ręki mój nansenowski paszport bezpieczeństwa, chwilę się weń wpatrywał, a potem, zamiast oddać mi go jak innym, wsadził do kieszeni. Gestem pokazał, że mam odejść na bok. Poszedłem posłusznie, stanąłem kilkanaście kroków dalej pod skarpą i z daleka obserwowałem rewizję autobusu. Było to dobre miejsce na rozwałkę i chciałem tylko zdążyć krzyknąć: „Niech żyje Polska!”. Komendant skończył sprawdzanie dokumentów i ruszył ku mnie. Wyciągnął mój paszport i gęba mu się rozjaśniła.

– El Polacco? – ni to zapytał, ni to stwierdził i nagle objął mnie serdecznie. – Polacy to prawdziwi socjaliści – oznajmił. – Kontrrewolucja w Polsce nie przejdzie. Viva el commandante Jaruzelski! Viva Polonia!

Ucałowaliśmy się w oba policzki i staliśmy tak, klepiąc się wzajemnie po plecach ku podziwowi Niemców. Byłem naprawdę wzruszony. Potem razem wróciliśmy do autobusu,

komendant powiedział, że możemy jechać dalej, ale papier toaletowy rekwiruje jako materiał strategiczny o dużym znaczeniu dla armii rewolucyjnej. Nie pomogły protesty Niemców i argumenty, że to kaganek oświaty i promyk kultury dla wstających z kolan peonów. Komendant oświadczył, że w tej fazie wyzwolenia papier ważniejszy jest jako środek do czyszczenia broni, wzniosł okrzyk na cześć Ortegi – commandante Zero – i polecił kierowcy jechać. Autobus z trudem wy dostał się z krzaków i ruszyliśmy w dalszą drogę. Niemcy zaczęli się kłócić między sobą, czy komendant miał prawo, w imię wyższych racji, zabierać nasz papier, czy nie miał tego prawa, skoro papier przeznaczony był dla kobiet i dzieci i zakupiony został ze składek aktywistów ruchu pokojowego. Wtrąciłem się, mówiąc, że miał prawo, ponieważ trzymał w ręku karabin. To zwróciło na mnie uwagę i wszyscy zaczęli dopytywać, o czym komendant ze mną rozmawiał. Odparłem, że wypytywał mnie, jako Polaka, czy są rzetelnie antyimperialistyczni i czy można im ufać. Natychmiast zaczęli składać deklaracje o swojej lojalności wobec rewolucji i jej zbrojnego ramienia, a Kurt wyciągnął piersiówkę jagermeistra, którym mnie nigdy nie poczęstował, bo, jak tłumaczył, miał go jako lekarstwo na żołądek, i dał pociągnąć. Upiłem duży łyk i znów zasnąłem. Przyśnił mi się incydent na drodze, bardzo realistycznie – ludzie w mundurach zatrzymujący autobus, poślizg, krzaki. Kiedy się ocknąłem, okazało się, że to nie sen. Znów zostaliśmy zatrzymani. Tym razem był to partyzancki oddział kontrasów, mieli amerykańskie mundury, amerykańską broń, żuli gumę i palili camele. Wszystko powtórzyło się tak samo. Rewizja, sprawdzanie dokumentów. Kiedy przyszła moja kolej, ten komendant także schował mój nansenowski paszport do kieszeni i kazał mi odejść na bok. A potem podszedł z uśmiechem na twarzy.

– El Polacco – stwierdził. – Papa Wojtyła. Leś Waleza. Bracie, jeszcze będzie wolna Polska i wolna Nikaragua.

Wyściskaliśmy się i ucałowali.

Wróciłem do grupy i dziewczyny, które widziały tę naszą amikoszonerię, zaczęły mnie prosić, żebym się poskarżył na tę jakąś bandę, która zrabowała nam papier toaletowy. Poskarżyłem się. Komendant, ciągle z uśmiechem, podszedł do swojego jeepa, wyjął kilka rolek i zaczął je rozdawać. Na każdym płatku papieru był nadruk „własność rządu USA”. Odjechaliśmy, ale atmosfera wokół mnie zrobiła się gęsta. Wszyscy patrzyli podejrzliwie, Kurt się przesiadł. Nikt do mnie nie zagadywał, ale też nikt nie śpiewał. Zrobiło się poważnie, a nawet ponuro. Jak w prawdziwym życiu.

Znowu zasnąłem. Kiedy przyśniło mi się, że zostajemy znów zatrzymani, wiedziałem, że to nie sen. Tym razem otoczyła autobus gromada jakichś obszarpańców na koniach i mułach.

Nie kazali nam nawet wysiąść, tylko jechać za sobą. Skręciliśmy w boczną kamienistą drogę. Autobus rzeził, w końcu utknął. Dopiero teraz kazano nam wysiąść i pognano pieszo przez dżunglę. Bagaże zostawiliśmy. Po paru godzinach w upale, potykający się, przepoceni i podrapani gałęziami, dotarliśmy do jakiegoś obozowiska. Były jak sklecone baraki pokryte były liśćmi palmowymi. Zapędzono nas za palisadę z pokręconych konarów, na błotniste podwórko, gdzie w kącie stał baraczek z posłaniami, też z gałęzi. Wyłuskano z grupy Kurta i gdzieś zabrano. Wrócił, mówiąc, że kiedy tylko rząd niemiecki wpłaci za nas okup, zostaniemy uwolnieni. Zostaliśmy zakładnikami i nawet nie wiedzieliśmy czyimi.

W tej zagrodzie spędziliśmy prawie dwa lata. W głębi tropikalnego lasu deszczowego, w błocie, w wodzie, karmieni jakimiś brejami, których składników staraliśmy się nie dochodzić. Od czasu do czasu ktoś przyjeżdżał nas oglądać. Raz był to samochód z flagą Czerwonego Krzyża. Ustawiono nas i zrobiono grupowe zdjęcie. Był też jakiś dyplomata. Przed jego wizytą dostaliśmy po kawałku mydła i polecenie, żeby się nie skarżyć. Jesteśmy dobrze traktowani i dzieje się nam czarownie. Wokół naszej zagrody toczyło się intensywne życie gospodarcze i nie trzeba było być szczególnie przenikliwym, aby się domyślić, że trwa tu produkcja narkotyków.

Stosunki w grupie były fatalne. I coraz gorsze. Najpierw wzajemne oskarżenia o to, kto wymyślił tę podróż do Nikaragui i kto w to wszystko nas wciągnął. Potem część grupy, zwłaszcza dziewczyny, zaczęła się utożsamiać z porywaczami i szukać dla nich usprawiedliwień. A także bliskości opłacanej szczyptami białego proszku. Wreszcie niechęć skupiła się na Jochemie, który był lekarzem, dlatego wołano go nieraz do chorych i cieszył się z tego powodu pewnymi przywilejami. I do Sandry, która wpadła w oko jednemu z bossów i z wizyt u niego przynosiła nawet czekoladę. Co do mnie, od pierwszego dnia usiłowałem zorganizować ucieczkę. Nikt nie chciał mi pomóc. Kurt mówił, że to zbyt ryzykowne, Horst, że nie można narażać pozostałych. Kiedy podkopałem się już solidnie pod palisadę, ktoś na mnie doniósł. Dostałem parę razy w pysk. Nic strasznego, ale praktycznie nie miałem już do kogo otworzyć gęby.

A kiedy, siedząc wieczorem w błocie przed barakiem, gapiłem się na Księżyc w pełni, ogromny w tych szerokościach geograficznych, wiszący nad samą głową, na wyciągnięcie ręki, zacząłem wyć. Wyłem jak wilk, przekonany, że to wycie odbije się od Księżyca, od jego mórz skalistych i kraterów, i echem dotrze do Warszawy. Wykluczono mnie z jakichkolwiek związków ze wspólnotą zakładników. Zostałem sam, za to strażnicy patrzyli na mnie, wariata, z zabobonnym lękiem i szacunkiem.

Pewnego dnia rozdano wszystkim papier listowy i ołówki i pozwolono napisać listy do

rodzin. Mnie papieru nie dano – nie ma potrzeby – stwierdził nadzorca. Do Polski listy i tak nie dochodzą. Udało mi się natomiast zobaczyć tego, kto te listy zabrał do samochodu i odjechał. Mordziastego faceta w odprasowanym mundurze i z koltem u pasa. Gdzieś po dwóch tygodniach zajechała kolumna samochodów, ciężarowych i osobowych. Rząd niemiecki zapłacił okup. Sprawdzono listę, zapakowano wszystkich na ciężarówkę i odjechali. Zanim odjechali, zdołali się dowiedzieć, że mur berliński upadł i Niemcy się zjednoczyły. Wszyscy byli przekonani, że to RFN przyłączyła się do NRD i że prezydentem jest Honecker, co przyjmowali z entuzjazmem. Mnie nie wyczytano. Niemcy pomachali mi i zostałem sam w zagrodzie, której wrota były szeroko otwarte. Wyszedłem nieśmiało. Nikt nie zwracał na mnie uwagi.

– A ja? Co ze mną? – zapytałem jednego z tutejszych.

– Jesteś wolny. Możesz iść – pokazał na dżunglę. Zapytałem tylko, którą do Managui, i poszedłem.

Wędrowałem tak raz pieszo, raz korzystając z rzadkich okazji jazdy na ciężarówkach. Nocowałem w wioskach, gdzie przyjmowano mnie na ogół gościnnie. Przejrzałem się w lustrze. Miałem rudą brodę do piersi. Nawet nie wiedziałem, że jestem ryży. Pewnego dnia dotarłem do opustoszałej kolonii dość schludnych baraków ustawionych w podkowę, z małym kościółkiem pośrodku. Okazało się, że to jest właśnie kolonia dla młodzieży ojca Juanito, do której nas skierowano i dokąd nigdy nie dotarliśmy. Miejsce było jak wymarłe. W kościółku na ścianach zamiast świętych obrazków wisiały portrety przywódców sandinistowskich i zdjęcia jak z obozu pionierów w czasach stalinowskich. Uśmiechnięte dziewczęta i chłopcy w czerwonych chustach stojący w postawie zasadniczej i salutujący. Coś się tu stało, ale nie wiedziałem co. Penetrując tak osiedle w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia, natrafiłem na zamieszkały barak. W łóżu, raczej barłogu, leżał wychudły starzec z widocznymi objawami malarii. Trzęsły nim paroksyzmy dreszczy. Krzątały się przy nim dwie kobiety. Okazało się, że to właśnie ojciec Juanito i dwie zakonnice. Od niego dowiedziałem się, co się wydarzyło. W Nikaragui odbyły się wybory. Zwyciężyła Narodowa Unia Opozycyjna. Prezydentem została Barrios de Chamorro, Ortega przepadł z kretelem. Przetraściło to kręgosłup wojnie domowej i zarówno sandiniści, jak i contrasi wyleźli z dżungli. Młodzież z kolonii uciekła od księdza jezuitę, porzucając teologię wyzwolenia, i ruszyła na poszukiwanie rodzin.

– Jezus Chrystus zmartwychwstał – powiedział mi słabym głosem ojciec Juanito – a ja dopiero umieram. Módl się za mnie, synu.

Odszedłem nakarmiony przez siostry i odprowadzany błogosławieństwem starca, który

pozostał z malarią i nierozwiązanym węzłem dobroci chrześcijańskiej i pragmatycznej polityki.

W dwa dni później byłem w Managui. Trochę się zmieniła. Nie była już jednolicie czerwona. Była czerwono-niebieska. Niektóre freski zamalowano. W napisie „Ami go home” przy Avenida de la Paz ktoś przekreślił słowo „home” dopisał „back”, Amerykanie, wróćcie. Napisy „Somoza carajo”, Somoza kutas, pozostały jednak nienaruszone. Pachniało olejem palmowym i demokracją.

Łaziłem tak, zastanawiając się, dokąd udać się po pomoc, kiedy zatrzymał mnie patrol policji. Rudy oberwaniec, musiałem wyglądać jak niedobitek którejś partyzantki. Mój wyświniony paszport też nie budził zaufania. Po krótkiej dyskusji odwieziono mnie do komendy.

Poddano mnie przesłuchaniu. Oficer w białym tym razem mundurze po wysłuchaniu mojej historii zrobił się grzeczny, nawet kordialny. Dostałem w jego gabinecie hamburgera, coca-colę i stertę gazet do przejrzania. Oficer, który nawet przedstawił mi się ceremonialnie, nazywał się Juan Ramos Gonzalez, zajął się telefonicznym poszukiwaniem jakiegokolwiek polskiego przedstawicielstwa. Ja zaś jadłem po raz pierwszy od wielu miesięcy podstawowy posiłek przodującej zachodniej cywilizacji i gorączkowo kartkowałem gazety. Odkrywałem świat, który był już zupełnie inny od tego, jaki opuściłem, zanurzając się w dżungli. Nie było już muru berlińskiego, nie było Układu Warszawskiego, w Polsce, tak przynajmniej wynikało z depeš, rządziła „Solidarność” z Wałęsą. Sowiety się rozpadały. Na jednej ze stron zobaczyłem znajomą twarz. Nalaną gębę tego faceta, który przyjeżdżał do naszego obozu, do naszego miejsca uwięzienia, i miał tam głos decydujący. Podpis głosił, że to były szef sandinistowskiej policji bezpieczeństwa, potem architekt narodowego pojednania, a obecnie szanowany senator opozycji.

Gonzalez skończył długie rozmowy telefoniczne i z zakłopotaniem zatarł ręce. Nie było w Managui żadnej polskiej placówki. Polskie interesy reprezentowała w Nikaragui ambasada w Wenezueli, której przedstawiciel przyjeżdżał tutaj raz na parę miesięcy. Ale właśnie odjechał kilka dni temu. Gonzalez poradził mi więc, żebym sam poleciał do Caracas.

Niestety, nie miałem pieniędzy na bilet. W ogóle nie miałem ani grosza, w żadnej walucie.

Oficer myślał chwilę. No cóż, mógłbym się zgłosić do ambasady Czechosłowacji.

– Chyba jesteście w jednym państwie, jeszcze z Austriakami – rzekł.

Wyprowadziłem go z błędu. Zmartwił się.

– Coś trzeba z panem zrobić.

Znow kilka rozmów telefonicznych i triumfalna wiadomość. Gonzalez znalazł rozwiązanie. Znalazł mi pracę. Będę mógł zarobić na bilet albo przynajmniej doczekać przyjazdu polskiego dyplomaty.

I tak trafiłem na wyspę, do willowego osiedla w miasteczku Alta Gracia, chyba jeszcze z czasów Somozy. Marmurowe wille, baseny, korty tenisowe. Dostałem posadę kortowego ubijałem walcem czerwoną nawierzchnię, przeciągałem kredą linie, napinałem siatki i szukałem w krzakach piłek. Miałem mały pokoik w pawilonie dla służby z klozetem w korytarzu i parę tysięcy córdobas miesięcznie. Parę tysięcy brzmi ładnie, ale była inflacja. Dlatego stałym pracownikom część wynagrodzenia wypłacano w dolarach.

Stałych mieszkańców właściwie nie było. Osiedle przypominało raczej hotel z ciągle zmieniającymi się gośćmi. Towarzystwo międzynarodowe. Amerykanie, Japończycy, Hindusi, Francuzi, Rosjanie. Przyjeżdżali i wyjeżdżali. Kotłowały się tu najwyraźniej jakieś wielkie interesy. Było bogato i szumnie, nawet na korcie znajdowałem butelki szampana Dom Perignon.

W południe żar był nie do wytrzymania. Na kortach pusto, a ponieważ służbie nie było wolno korzystać z basenów, chodziłem nad jezioro. Plaża była piękna, woda czysta, do nogi podpływały jakieś egzotyczne rybki.

I właśnie teraz siedziałem sobie po kąpieli na plaży, dość bezmyślnie gapiąc się w wodę.

– Mści? – powiedział ktoś nagle. Przede mną stał barczysty mężczyzna z zawiązującą się już okrągłością brzuszka, w szortach i hełmie tropikalnym na głowie. – A co ty tu robisz?

Twarz była znajoma. Natężyłem rozleniwioną upałem pamięć. Ależ tak. To był Wojtek. Ten ochroniarz i kierowca Dragona Belzebubowicza. Ten, który dał mi w mordę dla uczczenia wprowadzenia stanu wojennego.

– Wojtek? – odpowiedziałem pytaniem. – A ty skąd się tu wzięłeś?

Wieczorem siedziałem w willi oddanej przez jakichś miejscowych bonzów do dyspozycji Wojtka, rozpierając się na chłodnej skórzanej kanapie. W kieszeni miałem wizytówkę: Polweapons Inc. Wojciech Apolinary Pluskwiński, president. W ręku szklanekę z whisky Glenmorangie. Było nagle tak, jakbym z piwnicy wjechał na najwyższe piętro, do apartamentu dla milionerów.

– No to na zdrowie – Wojtek podniósł szklanekę.

– Znowu wesele – mruknąłem.

– Nie masz chyba do mnie żalu za tamten wieczór – zachnął się. – Takie były realia. Stan wyższej konieczności.

– No skąd – odparłem. – Już wszystko zapomniałem. Trzeba patrzeć w przyszłość.

– Jesteś rozsądny – potaknął.

Piliśmy dalej, a ja chciałem wszystko wiedzieć i zadawałem setki pytań. Co z Hybrydem? Co z jego żoną? Co z Dragonem? Co z Męczydławem? Co z tą Polską?

Wojtek nie wszystko wiedział. Hybryd zdaje się rozwiódł, żona wyjechała za granicę z jakimś Włochem, podobno markizem. Męczydław wydaje jakąś gazetkę lewicową, cały nakład nosi w teczce.

– Od czasu do czasu daję mu parę groszy na druk i papier – Wojtek machnął lekceważąco ręką.

No a Dragon? No, Dragon to jest ktoś. Dużo może, bo dużo wie. W końcu architekt Okrągłego Stołu.

Ożywiłem się.

– No właśnie, powiedz mi, Wojtek, jak to było. Jak to się stało, że „Solidarność” was przewróciła. Przepraszam, że obaliła komunę. Nic nie wiem, bo siedziałem wtedy w dżungli i żarły mnie insekty.

Więc dobrze, jak chcesz, to ci to opowiem dokładnie. Monitorowałem to wszystko i pisałem raporty. Zaczęło się dziwnie, jak to u nas. Skończyło jeszcze dziwniej. Nic nie wiesz, to posłuchaj.

I prezes Wojtek zaczął mówić. Ładnie mówił, jakby czytał z teczki, którą sam układał.

Raport mniejszości

Kapral Gołodko Jan, pięć lat nienagannej służby, łąził znudzony wokół gmachu. Dochodziła piąta rano, miał przed sobą jeszcze godzinę miarowego spacerowania, której nie mógł przeczekać gdzieś za kolumną w prześwicie budynku, ponieważ wiedział, że z góry, z narożnika przy muzeum, obserwuje go jedna kamera, a z położonego naprzeciw budynku Polskiej Agencji Prasowej, druga. Jedyne, co mógł zrobić, to przysunąwszy się bliżej do ściany wyjść z pola widzenia kamery i dyskretnie zapaliwszy papierosa, trzymać go potem po złodziejsku w rękawie.

Od Wisły mglistą doliną mostu Poniatowskiego wiał wilgotny wiatr, przenikając przez poły służbowego płaszcza. Kapral Gołodko chętnie postawiłby kołnierz tego płaszcza, gdyby to nie było najsurowiej zakazane.

– Pełnicie zaszczytną służbę – powiadał zawsze komendant – w najbardziej reprezentacyjnym miejscu Warszawy, ba, całej Polski.

Gołodko wzruszył ramionami do własnych myśli i wyobraził sobie borowików siedzących teraz w ciepłym pokoju obok szatni na parterze, pijących herbatę, a może nawet chlejących gorzałę. Rano mieli zawsze czerwone oczy i zawsze utrzymywali, że to z niewyspania.

Westchnął i podniósł głowę w górę, żeby skontrolować, czy czerwona chorągiew na dachu wisi jak należy, czy trzepocze dumnie na wietrze i czy przypadkiem aluzyjnie się nie naddarła.

I wtedy właśnie dostrzegł! Na murze, tuż nad głównym Wejściem w atrialne podwórko, na wysokości drugiego piętra błyszczały metrowej wysokości litery. Mato błyszczały, płonęły silnym blaskiem.

Gołodce zatrzęsły się ręce, papieros wypadł z rękawa.

– O k... – powiedział szczerze. Przez głowę zaczęły przelatywać mu fragmenty instrukcji służbowej.

– W przypadku stwierdzenia strzelać bez uprzedzenia, wezwać do wylegitymowania, obszukać, kajdankować, salutować przejeżdżających członków Biura Politycznego i sekretariatu KC, których zdjęcia są na bieżąco dostarczane i uzupełniane, środki przymusu bezpośredniego na zasadzie artykułu w związku z artykułem, funkcjonariusz powinien przystępować do służby ogolony, ostrzyżony i umyty.

Stał tak bezradny, przesuwając w tył i w przód raportówkę, to znów rozpinając kaburę

bronii osobistej.

Z tego chaosu wyłaniać się poczęła wreszcie zdrowa i zbawienna myśl – powiadomić Centralę.

Gołodko uchwycił kurczowo lejek radiotelefonu zawieszony na koalicystycznej przecinającej mu pierś i brzuch aż do pasa głównego i nerwowo wymamrotał:

– Tu Brzoza, tu Brzoza. Sosna, zgłoś się.

– Sosna, tu Sosna – zachrypiało w radiostacji i niewyraźny bełkotliwy głos dodał nieregulaminowo: – No, co jest.

– Brzoza melduje – szeptał nerwowo kapral Gołodko. – Na ścianie kwatery pojawił się jakiś napis.

– Powtórzcie – padł zdecydowany rozkaz.

– Napis się pojawił – rozpaczliwie wrzasnął Gołodko, bo już przeczuwał najgorsze.

– Sprawcę ujęliście? – chciała wiedzieć Sosna.

– Nie ująłem – rzekł ponuro Gołodko i zaraz dodał: – Nie widziałem żadnego sprawcy.

Pewnie jest w środku.

– Gdzie jest?

– W środku, w gmachu.

– Gołodko – zirytowała się Centrala. – Wy mi nie pieprzcie głodnych kawałków, Gołodko. Pijani jesteście?

– Ja? I zdziwił się Gołodko. – Ja w życiu nigdy.

– To się okaże – filozoficznie stwierdził odległy głos. – Przeczytajcie no ten napis.

Kapral Gołodko podniósł głowę znów ku górze. Napis tkwił jak poprzednio, może tylko świecił jeszcze silniej. Litery nie układały się jednak w żadną sensowną całość, więc Gołodko krok po kroku zaczął się cofać, aby lepiej objąć wzrokiem tajemnicze hasło z pewnego oddalenia.

– No, Brzoza, co tam? – irytował się głośnik. – Gołodko, czytać zapomnieliście?

– Już, już – ocknął się kapral i sylabizował: – „Mane, thekel, fares”.

– Pijany jest – powiedział głośnik do kogoś z boku. – Co wy mi czytacie? Po żydowsku czy jak?

– Tak czytam, jak stoi napisane – oburzył się Gołodko.

– Może to szyfr jakiś?

– Akurat – wątpiła Centrala i wreszcie zdobyła się na rozkaz.. – Podjąć czynności zabezpieczające i czekać na dalsze polecenia.

Gołodko rozejrzał się bezradnie. Nic mu jakoś nie przychodziło do głowy. Żadna

czynność zabezpieczająca, którą mógłby podjąć. Nie było nawet ludzi, których można by wezwać do rozejścia się. Zupełnie nic. Tylko gdzieś w głębi Alei Jerozolimskich zgrzytał pierwszy poranny tramwaj.

Kapral zsunął więc tylko pasek z daszka czapki i zapiął go pod brodą, po czym stanął dokładnie pod napisem w postawie zasadniczej. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że na jego barkach spoczywa cała odpowiedzialność.

Tymczasem w Centrali oficer dyżurny, porucznik Bąk, absolwent szczytnowskiej szkoły oficerskiej i swego czasu pupilek komendanta Biczyski, wpisał meldunek Gołódki do księgi raportowej, spojrzął na zegarek, była dokładnie 5.12, podpisał się w stosownej rubryce i przysunął sobie mikrofon.

– Ekipa dochodzeniowa z fotografem – wydawał monotonnym głosem polecenia – natychmiast pod budynek kwatery, od Alei Jerozolimskich.

– Oddział zabezpieczający – wcisnął inny guzik – zamknąć dojście od rogu Alei i Nowego Świata.

Teraz dopiero chwycił za słuchawkę aparatu telefonicznego WCz i zakręcił korbą.

– Oficer dyżurny miasta porucznik Bąk – szczerknął służbiście. – Otrzymałem właśnie meldunek, że na murze KC pojawił się napis niezrozumiałej treści.

– Co się stało? – ryknęto na niego z tamtej strony. – Napis? A gdzie wyście byli?

– Tutaj – odparł zaskoczony Bąk – w komendzie.

– Nie wy osobiście, ale wasi ludzie – wyjaśnił głos płynący z wnętrza gmachu przy Rakowieckiej. – Co to za napis?

– Niezrozumiały – powtórzył Bąk.

– Przeczytajcie.

– Kiedy się wstydzę – wyznał oficer dyżurny.

– Co wy, dziewica jesteście? „Gówno”, „dupa” jest napisane czy jak?

– No, nie – przełamał się Bąk – „mane” jest napisane, jeszcze „tekel” i „fares” czy tak jakoś. Mogłem coś przekręcić, bo źle było słycać.

– Jak mówicie, „fares”? – dopytywał się głos w słuchawce.

– Chyba po żydowsku. Kroki przedsięwzięliście?

– Przedsięwzięłem – potwierdził porucznik, stając mimowolnie na baczność. – Ekipa dochodzeniowa i oddział zabezpieczający w drodze. Prokuratora zawiadomić?

– Na razie nie trzeba – rozmówca Bąka zawiesił głos. – Wypełnijcie instrukcję numer 7. Będę z wami w kontakcie.

W słuchawce szczerknęło. Bąk odłożył swoją, poprawił mundur i podszedł do stojącej

w kącie szafy pancерnej. Przekreślił tkwiący w zamku klucz, odsunął ciężkie drzwi, grzebał przez chwilę w środku, odsuwając na bok papiery, butelkę wódki, kieliszki i słoiki z kawą i cukrem. Wydobył wreszcie zalakowaną kopertę oznaczoną numerem 7 i drżącymi rękami rozdarł brzeg.

W środku była kartka z jedną tylko linijką pisma maszynowego: „Rozpocząć profilaktyczne aresztowania według listy 1A”.

Bąk rzucił się pośpiesznie do konsoli. On także miał wrażenie, że na jego barkach spoczywa wszystko.

W obszernym gabinecie na Rakowieckiej siedziało dwóch młodych mężczyzn. Miny mieli zafrasowane.

– Cholera – powiedział jeden z nich, ostrzyżony na krótkiego jeża, kilka lat temu jeszcze uznawanego za uczesanie koniunkturalne – że też nam się to musiało przytrafić. Co robimy?

– Trzeba zawiadomić szefa – stwierdził drugi, łysiejący koniunkturalnie wedle mody współczesnej.

– Najwyższego? – przestraszył się ten na jeża.

– Chyba nie – odparł łysiejący. – W tym wypadku właściwy będzie departament trzeci.

– Dzwon – zdecydował Jeż.

Łysiejący przysunął sobie telefon, odszukał w spisie właściwy numer, kręcił nerwowo tarczą.

– Halo – odezwał się po chwili oczekiwania zaspany głos – tu Dankowski.

– Obywatelu generale, dyżurny gabinetu ministra pułkownik Staśko – rzekł przepraszająco łysiejący. – Przepraszam, że obywatela generała budzę o tej porze...

– Śpij, śpij, kochanie – powiedział nagle generał.

– Co? – wyrwało się zaskoczonymu Staśce.

– To nie do was, to do żony. No, co jest, pułkowniku?

– Otrzymałem meldunek, że ktoś wymalował w nocy napis na gmachu KC – wyjaśnił łysiejący.

– I z tego powodu budzicie mnie o, właśnie, która to godzina?

– Piąta dwadzieścia jeden.

– O piątej dwadzieścia jeden? Co to za napis?

– Dokładnie nie wiadomo – ostrożnie rzekł łysiejący.

– Co to znaczy? – chciał wiedzieć generał. – Precyzujcie.

– Jest kompletnie niezrozumiały – sprecyzował się łysiejący.

– „Mane, tekel” – powoli czytał z podsuniętej mu kartki – i tak jakoś „farys” czy coś.

– „Farys” to chyba słyszałem – rzekł refleksyjnie generał.

– To po żydowsku czy co?

– Od razu tak pomyślałem – potwierdził łysiejący i zasłoniwszy wylot słuchawki, szepnął do kolegi: – Ten Dankowski to ma łeb.

Tymczasem w słuchawce zaległo milczenie. Łysiejący nadśluchiwał, po czym chrząknął znacząco raz i drugi.

– Dobrze, że do mnie zadzwoniliście – doszedł wreszcie do konkretnego wniosku generał. – Nie wygląda to najlepiej. Coście zwojowali?

– Poleciałem wykonać instrukcję numer 7 – rzekł z dumą Staśko.

– To pięknie – pochwalił generał. – A co to za instrukcja? O Piątej rano nie mogę sobie przypomnieć.

Staśko pogrzebał w stercie papierów na biurku.

– Prewencyjne aresztowanie elementów niepewnych, pogranych o kontakt z nielegalnym podziemiem, kryminalnych – wyrecytował.

– No, to nigdy nie zaszkodzi – pochwalił oszczędnie generał – – Ale z tym wrogim sloganem coście zrobili?

– Posłałem ekipę dochodzeniową – brał na siebie zasługi Staśko – i poleciałem obstawić teren.

Generał znowu zamilkł. Zastanawiał się jeszcze dłużej niż poprzednio, tak długo, że w podziemiach gmachu, w sekcji Podśluchu, musieli włączyć rezerwową magnetofon, bo skończyła się taśma.

– Sprawa nie jest dobra – zaczął wreszcie Dankowski.

– Nie wiemy, co to znaczy, to raz. A może to są jakieś straszne wyzwiska na partię albo, co nie daj Boże, na Związek Radziecki? Dwa, chodzi o to, żeby nikt tego napisu nie zobaczył. Zaraz zaczną mówić, że to Bujak sam namalował, że to sukces „Solidarności”. Rozumiecie?

– Rozumiem – raportował Staśko.

– Nic nie rozumiecie – podjął decyzję generał. – Ogłóście alarm pierwszego stopnia dla Gołędzinowa. Otoczyć gmach KC, nikogo nie wpuszczać, ludzi, którzy napis widzieli, izolować.

– Naszych też?

– Naszych też. Zwłaszcza tych dwupalcowych. Rozgadają wszystko, przecież ich znacie – komenderował Dankowski. – Sprowadzić dźwig. Napis zamalować. O 6.30 ma być po wszystkim.

– A dochodzenie? Sprawcy?

– Dochodzenie poprowadzę sam – generał ziewnął smacznie i położył słuchawkę.

Kapral Gołodko czuł się strasznie ważny. Już po raz trzeci opowiadał dowódcy ekipy dochodzeniowej, jak to było.

– Podniosłem głowę – mówił – i zobaczyłem, że coś błyszczy. Aż mnie zatkało. W takim miejscu, toż to zbeczeszczenie, zupełnie jak na tym cmentarzu żołnierzy radzieckich.

– Tak, tak – potakiwał machinalnie ten z dochodzeniówki, patrząc bezradnie na rozłożoną nie wiadomo po co na płytach podjazdu walizkę śledczą z woreczkiem gipsu do utrwalania śladów, proszkiem daktyloskopijnym i plastikowymi cyferkami znaczników.

Jego ludzie stali beczynnie, palili papierosy i zastanawiali się półgłosem, co też tak naprawdę jest tam napisane. Tylko fotograf uwijał się jak szalony, pstrykał raz za razem, zdejmując to napis, to Gołódkę ze swoim dowódcą, to wreszcie szpaler milicjantów otaczających gmach. Milicjanci rozstawieni byli wzdłuż krawężnika, co metr, może półtora, i przeganiali nielicznych jeszcze przechodniów na drugą stronę ulicy.

Na przystankach tramwajowych, mimo wczesnej pory, uformował się już spory tłum. Niektórzy przepuszczali odjeżdżające tramwaje, łąpczywie chłonąc litery tajemniczego napisu. Tuż przed Klubem Książki i Prasy i na skwerku przy Smolnej z wolna zbierały się rozgadane grupy.

Jakiś obywatel przysięgał, że przed chwilą na podjeździe spalił się na znak protestu ktoś z „Solidarności”. Kobieta, która przybiegła klusem z kolejki pod mięsnym na Foksal, utrzymywała, że wykryto bombę.

I wtedy z czterech kierunków naraz, od strony Nowego Światu, placu Trzech Krzyży, Marszałkowskiej i mostu Poniatowskiego, zajęchały długie kolumny ciężarówek i autokarów. Na niektórych autokarach można było przeczytać jeszcze napisy: „Przewóz pracowników” albo „Warszawa-Warka”. Z wnętrza poczęli się kamie wysypywać zomowcy w pełnym rynsztunku, z przyłbicami, tarczami i długimi na metr dwadzieścia pałami.

W oddali rysowały się dyskretnie sylwetki opancerzonych armatek wodnych.

Zomowcy rozwinęli się sprawnie w tyralierę i z czterech stron zaatakowali nielegalne zbiorowisko. Szli równym, spokojnym krokiem, jak rzymscy legionieści, od czasu do czasu wynurzała się tylko z szeregu ręka zbrojna w białą pałkę.

Ludzie poczęli się miotać w zaciskającym się kotlisku, szukać najmniejszej szpary, ci spod Klubu Prasy rzucili się w kierunku Smolnej, ci ze Smolnej zaatakowali stojący na przystanku tramwaj.

A tymczasem pętla zmniejszała się coraz bardziej. Sceny działy się wewnątrz iście

dantejskie, zwłaszcza że maszerująca od strony placu Trzech Krzyży kohorta zgarniała nie tylko przechodniów, ale także i szpaler milicjantów, którzy pomieszaali się z cywilami w panicznej ucieczce. Niektórzy byli bez czapek służbowych, a jeden uciekał, trzymając się za nos. Spomiędzy palców ciekła na klapy płaszcza krew.

Wreszcie zepchnięto wszystkich na parking przed budynkiem. Cywile i milicjanci, kobiety i młodzież szkolna stali teraz otoczeni podwójnym kordonem, bez ruchu, pełni najgorszych przeczuć. W tym powszechnym unieruchomieniu coś drgało gwałtownie w samym środku tłumu. To szef ekipy dochodzeniowej przedzierał się ku wolnej przestrzeni, trzymając w wyciągniętej ku górze ręce legitymację. Wysunął się wreszcie przed stojących w ponurym milczeniu ludzi, ciągle z legitymacją w ręku, i podsunął ją pod nos pierwszemu z brzegu zomowcowi.

– Do szeregu – warknął zza przyłbicy tamten i dla dodania powagi swoim słowom trzepnął dochodzeniowego pałką po łapie. Legitymacja sfrunęła na ziemię, szczerząc się uśmiechniętym zdjęciem.

Wtedy właśnie nadjechały budy i zaczęto do nich wypychać cywilów pomieszanych z milicjantami. Jedynym, który się opierał, był kapral Gołodko. Nie zrozumiał, co się dzieje i wrzucono go na ciężarówkę jak worek, a jego dramatyczny krzyk: – Ja pierwszy spostrzegłem! – zagłuszyła brezentowa plandeka.

Po kilku minutach sprawnej akcji na oczyszczonym skrzyżowaniu pozostało tylko kilka porzuconych z pootwieranymi drzwiami samochodów i opustoszały tramwaj. Zadanie było wykonane.

Generał wpadł do centrali telewizyjnej na ostatnim piętrze gmachu Banku Gospodarstwa Krajowego jak trąba, oczywiście powietrzna. Był niewyspany, nieogolony i wściekły. W takich krytycznych momentach budziła się w nim zawsze uśpiona kaprałska dusza. Omiótł wzrokiem obszerny pokój z kilkoma biurowymi szafami, monitorami telewizyjnymi, w których migotało otoczenie gmachu KC, wreszcie obu funkcjonariuszy, wystraszonych i przybladłych, usiłujących gwałtownie doprowadzić do porządku garderobę.

W pokoju było gorąco, więc obaj pozwolili sobie na rozchelstanie, a jeden nawet zdjął buty.

Generał skrzywił się z obrzydzeniem, tym większym, że nie miał zupełnie czasu na wszczynanie normalnej pyskówki.

– Tak pracujecie, jak wyglądacie – mruknął tylko i zadysponował: – Pokazać taśmę.

– Z której kamery? – zapytał drżącym głosem jeden z lipkowiczów, gdy tymczasem

drugi gorączkowo wzuwał buty.

Generał wzruszył ramionami.

– Idiotyczne pytanie. Z tej, z której widać napis.

Zapadła cisza przerywana tylko kłapaniem zapomnianego na maszynie elektrycznej czajnika.

– Z żadnej nie widać – odważył się wreszcie wyznać prawdę funkcjonariusz, który właśnie skończył wiązać sznurowadła. – Proszę spojrzeć.

Generał powiódł wzrokiem po monitorach. Istotnie, kamery skierowane były wzdłuż frontonu, miejsce napisu można było rozpoznać tylko dlatego, że właśnie zajechał na podjazd dźwig służący do wymiany żarówek w latarniach miejskich i ku niewidzialnemu napisowi podnoszono dwóch ludzi z kubłem farby emulsyjnej.

– Co za kretyn to wymyślił? – zirytował się generał.

– Towarzysz Milewski – odparli chórem obaj obserwatorzy, skromnie spuszczać oczy.

– Ach, tak – rzekł generał łagodnie. – Doskonale zaplanowane. Pokażcie, chłopcy, na początek z tej.

Wskazał obraz z kamery umieszczonej na narożniku gmachu od strony muzeum.

– I moment, w którym stróż nocny to zauważył.

Chłopcy uwinęli się błyskawicznie. Na ekranie pojawił się kapral Gołodko palący papierosa w rękawie (– Pali, s...syn – zauważył bystro generał), szedł sobie krokiem miarowym, spojrzął ku górze, stanął jak wryty, cofnął się, znów się cofnął.

– Dobra – zadysponował generał. – Teraz cofnijcie.

Gołodko wrócił pod mur, szedł tyłem, na chwilę zniknął z pola widzenia, potem znów miarowo przechadzał się rączym sposobem. W rogu ekranu uciekały cyfry sekund, minut i wciąż poza Gołódką nikogo nie było widać.

– Myśmy to już raz przeglądali – wtrącił odważnie jeden z dyżurnych. – Nikogo nie widać.

– Co wy mi tu opowiadacie, nikogo – zachnął się generał.

– Cudów nie ma, moi panowie.

Na dźwigu dwaj ludzie pracownicy pokrywali napis kremową farbą. Było zimno, od Wisły dał przejmujący wiatr, ciężkie pędzle ławkowce ciążyły w dłoni.

– Nie żałować farby – krzyczał ktoś z dołu.

– Dobra, dobra – zacierali mdlejące ręce i walili grube, pełzające zaciekami w dół plamy, pod którymi ginęły groźne litery. Aż wreszcie znikły całkowicie.

Jeden z malarzy przechylił się przez krawędź kosza i dał ręką znak do opuszczenia

ramienia dźwigu. Ale na dole mieli jeszcze lepszy pomysł.

– Farba została?

– Została.

– To dawaj go jeszcze raz.

Zamalowali jeszcze raz, aż w kubie pokazało się dno.

– I co teraz? – zapytał pułkownika Malickiego kapitan Sąsiek.

Pułkownik spoglądał w górę z zadowoleniem. Osobiście dobierał kolor farby i obecnie konstatował z zadowoleniem, że zamalowane miejsce niewiele odbija się od reszty elewacji. Jeden opad deszczu i wszystko będzie wyglądało jak przedtem.

– Zwijamy interes – rzekł Malicki. – Obejmijcie kierownictwo operacyjne.

Malicki poszedł do samochodu, Sąsiek zaś, wydawszy stosowne polecenie, po którym zomowcy sprawnie ewakuowali się do czekających już samochodów, przywołał do siebie porucznika Parzyszka.

– Słuchajcie, Parzyszek – rzekł kapitan – mam dla ciebie odpowiedzialne zadanie.

– Tak jest – wyprężył się porucznik, aż drząc z ochoty.

– Staniesz tu, pod tym drzewkiem – pokazywał Sąsiek – i będziesz uważał, czy tu się ktoś nie kręci.

– Ale kto? – chciał wiedzieć Parzyszek.

– Czy ja wiem? – zastanawiał się kapitan. – Ktokolwiek. Na przykład z drabiną. Mogą przyjść, farbę zeszkrobać.

– Aha – pokiwał głową porucznik. – A jak przyjdą, to co?

Kapitan zdjął czapkę, powachlował się.

–| Drabinę odbierzesz – powiedział wreszcie – i ustalisz personalia. Wszystko jasne?

– Tak jest – walnął obcasami porucznik.

– No to cześć – i kapitan Sąsiek też uciekł do samochodu. ZOMO odjechało, zdjęto blokadę sąsiednich ulic, ruszyły tramwaje i autobusy. Była dokładnie szósta, kiedy Parzyszek zajął pozycję pod wskazanym drzewem. Chwilę rozglądał się, czy nie przemyka się gdzieś groźny przestępca z drabiną, i przeniósł wzrok na świeżo pomalowaną część elewacji. Pod farbą rysowały się lekko wrogie litery.

– Złudzenie – mruknął do siebie. – Cholernie jestem niewyspany.

I znów zaczął wypatrywać drabiny.

W więzieniu mokotowskim do celi na czwartym piętrze weszło dwóch strażników. Weszli po cichu, bez zwykłego dzwonienia kluczami i łomotania ciężkimi wierzejami.

Pochylili się nad jednym ze śpiących i delikatnie ściągnęli z niego koc.

– Ziemiński, obudźcie się.

– Co, co się stało?

– Naczelnik was wzywa. Jest dla was pilna wiadomość. Tylko cicho. Po co budzić innych. Niech sobie chłopaki pośpią.

Obudzony zwał się z pryczy, wciągnął spodnie i sweter.

– Zaraz – mamrotał. – Odląć się muszę.

– Na dole się odlejecie – pocieszył go strażnik. – No, chodźmy już.

Zeszli odrutowaną galeryjką więziennej klatki schodowej na parter, przeszli jedno, drugie, trzecie drzwi, małe podwórko i znaleźli się wreszcie w pomieszczeniach biurowych. Naczelnik siedział za biurkiem i ziewał jak mors.

– A, Ziemiński – powiedział na przywitanie. – No, jak się spało?

– Bóg zapłać – burknął zapytany. – Chyba nie po to mnie pan wezwał, żeby się dowiedzieć, co mi się śniło.

– Ja tylko tak, z grzeczności – rzekł naczelnik, grzebiąc w papierach na biurku. – Aha, jest. Więc w czerwcu składaliście podanie o urlop ze względów zdrowotnych. Miło mi powiedzieć, że już przyszła zgoda.

– Już? Po pół roku?

– Ale przyszła – naczelnik uderzył dłonią w biurko.

– Biercie rzeczy z depozytu i przyjemnego wypoczynku.

– Tak zaraz? – zdziwił się Ziemiński.

– A co? Tu nie hotel, żeby sobie pobyt przedłużać. Jest polecenie – wyjaśnił opryskliwie naczelnik – że macie wyjść. Jakby było polecenie, że macie siedzieć, tobyście siedzieli.

Ziemiński wahał się.

– Panie naczelniku – rzekł. – Czy mógłbym zatelefonować do rodziny, żeby ktoś po mnie przyjechał? Nie mam w depozycie żadnych pieniędzy, na piechotę nie będę przecież szedł.

– Po co telefonować? – przestraszył się naczelnik. – Nie macie pieniędzy? Ja wam pożyczę. Ile? Pięćset wystarczy? Czy wolicie tysiąc? Ja wam radzę tysiąc, taksówki cholernie zdrożały.

Dwadzieścia po szóstej zamknęły się za Ziemińskim bramy więzienia. Przez chwilę stał na Rakowieckiej oszołomiony powietrzem i wolnością, wreszcie zważym krokiem pomaszerał w stronę alei Niepodległości.

Franciszek Parzyszek sterczał beznadziejnie pod cherlawym drzewkiem koło gmachu

i zbierało mu się na płacz. Zimno było coraz bardziej, on ubrany jak do teatru albo na bal, cienki mundurek, wyjściowe trzewiczki, płaszczyna ortalionowa, wprawdzie z podpinką, ale od spodu przewiewa, i w dodatku nie wiadomo, co robić. Rozpacz po prostu.

Znów spojrzął ku górze i zrobiło mu się w jednej chwili gorąco jak w lipcowy upał. Nikt nie szwendał się z drabiną, nikt nie skrobał farby, a litery na murze widniały znów i z każdą chwilą świeciły coraz bardziej.

Parzyszek uderzył się pięściami w skronie, w których pulsowało jedno dramatyczne pytanie: „Co robić? Co robić? Co robić?”. Jakby w odpowiedzi usłyszał skrzeczący głos pułkownika powtarzającego swoje zwykłe: – Myśleć trzeba, Parzyszek.

– A o czym? – krzyknął i to go ocuciło. Puścił się w kierunku gmachu, wdarł do środka, bębniąc tak gwałtownie w drzwi, że borowik otworzył mu je z giwerą w ręku. Na Parzyszkę nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Przedarł się do środka, dysząc: – Telefon, telefon.

Tylko telefon mógł go uwolnić od konieczności myślenia.

I rzeczywiście, Malickiego zatkało tylko na chwilę.

– Pójdziecie – zazgrzytał pułkownik w słuchawce – albo nie, dajcie mi lepiej tych tam z BOR-u.

Borowik osowiale wysłuchał pułkownika, miarowo kiwając głową, odłożył słuchawkę i również nie śpiesząc się, zaczął wydawać polecenia.

Trzech funkcjonariuszy Biura Ochrony Rządu skierował na drugie piętro. Mieli tam zwinąć kilka dywanów i chodników i wywiesić je za okno tak, aby zasłoniły jak największą część napisu. Sam zabrał Parzyszka ze sobą, w podziemia.

– Jak masz na imię? – pytał po drodze. – No więc, Franek, chodzi o to, że musimy znaleźć odpowiednie hasło, żeby zasłonić ten cholerny napis.

Otworzył drzwi magazynu i zapalił światło.

– Treść jest bez znaczenia – dorzucił. – Trzeba tylko dobrać rozmiar.

Parzyszek rozglądał się ciekawie. Magazyn był ogromny i bardzo bogaty. Stały tu rzeźby z węgla, piaskowca i marmuru. Samych Leninów różnych rozmiarów było co najmniej ze dwustu. Kilkadziesiąt biustów Marksa. Sterty portretów. Pod jedną ze ścian stały starannie nawinięte na dragi czerwone płótna przeświecające białymi literami.

– Szukaj największego – poradził borowik.

Parzyszek odwał sterty płócien jak choinki przed świętami na placu targowym. Wreszcie wypatrzył zwój przewyższający rozmiarami inne.

– Ten będzie dobry i powiedział.

Wyciągnęli go i rozwinęli trochę, żeby przeczytać napis. „Idee Lenina i Stalina latarnią

morską ludu pracującego...”.

– Nie nadaje się – zawyrokował borowik. – Spróbujmy ten. „IV Plenum KC PZPR kulminacją 1000-letniej historii państwa polskiego”.

– Nada się – orzekł Parzyszek. – Zawsze jest jakieś czwarte plenum.

– No to taszczy my – zgodził się borowik.

Zaciągnęli transparent do windy, przywieźli na pierwsze piętro i sprawnie umocowali.

Pozostało na powrót ułożyć w korytarzu zdjęte chodniki.

– Ja nie – rzekł dumnie Parzyszek. – Służba!

Jenerał-premierator, będący również demokratycznie wybranym pierwszym sekretarzem, stał w pizamie z lampasami przed lustrem. Właśnie skończył się golić i oglądał z uwagą swoją twarz pokąsanego przez pszczoły pasiecznika. Był zdania, że ostatnio znacznie wyprzystojniał, a w każdym razie nabrał męskiego, zdecydowanego wyrazu.

Dla treningu zmarszczył kilkakrotnie brwi, jednocześnie władczo wydymając usta. W zasadzie był ze swego wyglądu w pełni zadowolony, czegoś mu jednak jeszcze brakowało. Z ciemnych okularów musiał zrezygnować. Raz – obrzydzili mu je karykaturzyści, dwa – towarzysz Andropow wyraził dezaprobatę.

– Cóż to? – powiedział. – Unikacie mojego wzroku?

Jeszcze tego samego dnia wieczorem stłukł przez nieuwagę okulary. Unikanie wzroku towarzysza Andropowa nie było szczególnie bezpieczne.

Przez pewien czas myślał o zapuszczeniu wąsów, ale w aktualnej sytuacji byłby to niewłaściwy sygnał polityczny. Zostały tylko brwi i usta.

Jeszcze raz się zmarszczył i nadał, ale z godnością, dyskretnie, i dziarskim krokiem pomaszerował do jadalni. Czekają tam skromne żołnierskie śniadanie według normy 132B: owsianka na mleku w blaszanej misce, 200 gramów chleba i kubek kawy zbożowej. Uśmiechnął się z goryczą. Był dumny ze swej spartańskiej skromności i chciałby, aby go teraz mogli zobaczyć ci wszyscy, którzy sądzili, iż rwał się do władzy, aby się napchać. Nie, nie rwał się wcale i rzuciłby wszystko w diabła, gdyby nie głęboka pewność, że stanowił dla Polski nie tylko mniejsze zło, ale i najlepszą alternatywę. Nie widział nikogo godniejszego, uczciwszego i sprawiedliwszego od siebie i nie bez satysfakcji, złośliwej oczywiście, myślał o sobie, iż kiedy go już położą w Alei Zasłużonych na Powązkach, to przyjdzie „taki syn”, że jego, Jaruzelskiego, wspominać będą ludzie ze łzami.

Dodawało mu to otuchy w codziennej, trudnej służbie.

Pogrążony w balsamicznych myślach, wewnątrz uśmiechnięty, włączył radio i usiadł

za stołem. Z głośnika buchnęła rześka muzyczka, potem nastąpiła chwila ciszy przerywanej popukiwaniem i dalekim rżeniem, aż wreszcie odezwał się kobiecy głos:

– Tu Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa. Podajemy wiadomości.

Jenerał-premierator jadł machinalnie owsiankę i słuchał.

– Dziś we wczesnych godzinach porannych – dobiegało z radia – na gmachu Komitetu Centralnego w Warszawie pojawił się duży napis wymierzony w poczynania PZPR. Nie jest jasne, jak aktywistom podziemnej „Solidarności” udało się wspiąć na wysokość drugiego piętra pilnie strzeżonego gmachu. Agencje nie podały także treści napisu. Z Warszawy donoszą o masowych aresztowaniach...

Jenerałowi-premieratorowi łyżka zawisła nad miską z owsianką. Twarz mu spurpurowiała.

– Nikczemność – wykrztusił wreszcie. – Bezczelna nikczemność.

Odsunął miskę i pomaszzerował w stronę gabinetu, gdzie na biurku stało kilka telefonów. Zamierzał skorzystać ze wszystkich jednocześnie.

W drzwiach odwrócił się i krzyknął donośnie do adiutanta: – Poruczniku Soroka, mundur.

Nie było czasu do stracenia.

Minister Kiszczak wpadł jak burza do gabinetu generała Dankowskiego. Nie pozwolił nawet sekretarzowi uprzedzić szefa.

– Dankowski, k... twoja mać, ja cię zabiję! – wrzeszczał minister od progu. – Coś ty znowu wymalował?

– Jak Boga kocham, tym razem to nie ja – przysięgał szef trzeciego departamentu – a nawet wręcz przeciwnie. Podjąłem stosowne działania...

– A dlaczego ja o niczym nie wiem? – minister zwał się ciężko na krzesło. – Dlaczego znów dowiaduję się ostatni i muszę świecić oczami jak głupi? Pierwszy wyciągnął mnie z łazienki, zrugął jak burą sukę za jakiś napis, a ja nic nie wiedziałem, musiałem haftować, że wszystko wiem, że prowadzone jest energiczne śledztwo, które doprowadzi wkrótce do wykrycia sprawców...

Dankowski rozsiadł się wygodnie za biurkiem.

– I bardzo dobrze – rzekł pogodnie. – Jak trochę portkami potrząsą, będą nas bardziej szanować.

Minister przyjrzał mu się uważnie.

– Ty coś kręcisz – powiedział i sam pokręcił głową.

– Nie mam z tym nic wspólnego – jeszcze raz zapewnił Dankowski. – Sam się w końcu

trochę zdenerwowałem, bo to dość tajemnicza sprawa. Napis jest, a wygląda na to, że nikt go nie namalował. Przejrzałem właśnie taśmy telewizyjne. Nic. A najgorsze, że farba ciągle wylała. Zamalowaliśmy grubo, parę centymetrów, i wyszedł.

– A co to za napis? Pierwszy pytał, więc mu powiedziałem, że coś w rodzaju „Solidarność» żyje” albo jakoś tak.

– Mam tu gdzieś zapisane – Dankowski szukał w biurku.

– „Mane, tekel, fares”, szyfr jakiś, cholera wie, zawiesiliśmy na razie starym transparentem, a w nocy będziemy skrobać.

Minister wybałuszył na niego oczy.

– To coś ty do diabła robił – wrzasnął znowu – skoro nawet nie wiesz, co oni tam napisali? Trzeba to zaraz ustalić. Natychmiast!

Ale Dankowski nie dał się zastraszyć.

– Co znaczy – rzekł – naprawdę wszystko jedno. Ja mam coś lepszego: sprawcę.

– To go tu dawaj – zadysponował minister.

– Kiedy nie wiem, gdzie jest – pobłaźliwie rzekł Dankowski. – Może w domu, a może gdzie indziej. Dziś o szóstej rano kazałem go zwolnić z więzienia.

– Zwariowałaś? – minister zerwał się na równe nogi. No, tego to już za dużo.

Ale Dankowski tkwił na pantałyku niezbity (ach, jakież to piękne zdanie), tylko spokojnie wyciągnął ku ministrowi tekturową teczkę i palcem popukał w okładkę.

Generał Kiszczak rzucił okiem w podsunięte mu dokumenty.

– No, no – rzekł z aprobatą – ty masz łeb, Dankowski. Daleko zajdziesz.

I zaraz się poprawił.

– Razem daleko zajdziemy.

W KC tymczasem panowała panika. Pierwszy miał przyjechać lada moment, a tu tymczasem nie wiadomo było, co robić. Po prostu rozpacz bezdena.

Zaczął się od tego, że zastępca kierownika Wydziału Zagranicznego Piątkowski przyszedł dziś dużo wcześniej. Obiecał żonie kupić trochę pasztetówki w bufecie, może rzucą salceson albo herbata będzie gruzińska, w każdym razie przyszedł jeszcze przed ósmą i czekał, aż towarzysza Jadzia otworzy bufet. Przed nim był tylko Loranc z Wydziału Ideologicznego, o którym szeptało się po kątach, że chyba handluje jedzeniem na bazarze. Codziennie przychodził pierwszy i codziennie był pierwszy w kolejce do bufetu.

Nawet przed kilkoma dniami na jakiejś naradzie młody człowiek z Wydziału Prasy napomknął coś aluzyjnie, że to nie wypada, aby działacz partyjny i do tego doktor wyklócał

się ze sprzątaczkami o miejsce w kolejce i odmawiał brania serwołatki z dupką, tylko kazał sobie wykrawać ze środka.

W każdym razie Piątkowski był zaraz za Lorancem, pogadał chwilę o potrzebie przeciwdziałania, i to skutecznego, wrogiej propagandzie płynącej z zagranicy i zanim Jadzia wreszcie otworzyła bufet, doszli nawet do wspólnego przekonania, iż należy wzmocnić oddziaływanie na młodzież przez szersze pokazywanie bezrobocia i ubóstwa w Europie Zachodniej.

Zastępca kierownika Piątkowski kupił nie tylko salceson i pasztetową, ale nawet pół kilo sera trapistów i dwie paczki herbaty gruzińskiej i właśnie obładowany zatłuszczonymi paczuszkami wracał do swego gabinetu, gdy zobaczył płynący zza okna w korytarzu strumyczek dymu. Narobił oczywiście alarmu, zbiegli się ludzie z gaśnicami, borowiki, i wtedy wszystko się wydało.

Że jest napis, że wylazł spod farby i teraz na dodatek jeszcze wydziela jakieś żrące substancje, które spopielają płótno.

Powołano natychmiast sztab kryzysowy, do którego weszli wszyscy bardziej odpowiedzialni towarzysze znajdujący się akurat w gmachu. Po innych zadzwoniono do domu.

Z niższego personelu, z małych czynowników, maszynistek, borowików, zorganizowano oddział specjalny, który miał wyszukać w magazynie następne odpowiadające wielkością transparenty i zawieszać je, gdy tylko poprzednie utracą swą wartość ochronną.

– Towarzysze – apelował Bohdan Jachacz, kierownik Wydziału Prasy, Radia i TV – ja was bardzo proszę, uważajcie, żeby hasła niosły aktualne treści.

Jenerał-premierator sprężystym krokiem wmaszerował do gmachu. Przywitał się z borowikami przy wejściu, podając każdemu rękę, i mechanicznie, po wojskowemu, podrzucając głową. Miał to opanowane do perfekcji.

– Sztab kryzysowy – zameldował mu jeden z odźwiernych – obraduje na piątym piętrze.

Nie okazał zdziwienia. To też miał opanowane.

Kiedy wszedł do wielkiej sali, w której zwykle odbywają się posiedzenia plenum, tym razem niemożliwie zadymionej, zapadła cisza. Wszyscy wstali. Jenerał-premierator machinalnie skłonił się, wszedł za stół prezydyalny i zajął swoje miejsce pod portretem Lenina. Cisza trwała i nikt nie śmiał jej przerwać.

A Jaruzelski patrzył, marszczył brwi i wydymał usta.

Milewski trącił dyskretnie w bok Kubickiego. Starzec siwowłosy i siwobrody, obwieszony odznaczeniami, był jeszcze członkiem KPP i znalazł się tu przypadkowo.

Przyszedł prosić o podwyższenie mu renty dla zasłużonych, ponieważ nijak nie starczała mu na życie, a w ogólnym zamieszaniu i jego wciągnięto do sztabu kryzysowego.

– Powiedzcie mu – szepnął Milewski. – Wam nic nie grozi.

Staruszek zdecydował się. Ruszył przez salę, lekko utykając, wlaź na obciągniętą czerwonym płótnem mównicę i kurczowo uchwycił się mikrofonów.

Powiódł wzrokiem wokoło po zastygłych nieruchomo postaciach, popatrzył na siedzącego sztywno generała-premieratora i łzy zaszkliły mu się w oczach.

Był to najpiękniejszy dzień w jego życiu. Odchrząknął i zaczął mówić.

– Kiedy po przeszło 150-letniej niewoli dzięki zwycięstwu ludu rosyjskiego, robotników i chłopów pod wodzą wielkiego Lenina odrodziła się wolna Polska, nie była to niestety nasza, proletariacka, robociarska ojczyzna, tylko pańska i ziemiańska. Tak było, towarzysze. Wszystko w tej Polsce było dla paniczyków, stanowiska i renty, a dla nas, ludu pracującego, tylko więzienia i konna policja. Ja sam, jak tu stoję przed wami, trzy lata we Wronkach siedziałem, a dwa w Berezie Kartuskiej. Ale potem, jak Hitler na tę ich pańską Polskę napadł i niszczył, jak nas towarzysze radzieccy wyzwolili i ustalili nowy porządek, władzę ludowi pracującemu oddali, myślałem sobie: teraz będzie inaczej. A jak jest? Już pół roku nie mogę się doprosić dodatku pielęgnacyjnego. I renty też mi nie przeliczyli, bo powiadają, że nastąpiły zakłócenia. To ja po to we Wronkach siedziałem, żeby teraz zakłócenia następowały? Odpowiedzcie mi, towarzysze.

Wszyscy w sali zamarli jak zamrożeni, tylko towarzysz Milewski refleks wykazał. Na borowika kiwnął.

– Zabierzcie go – powiada – tego prowokatora.

– Dokąd? – chciał wiedzieć borowik.

– Jak to dokąd? Do Wronek.

Tymczasem trzy piętra niżej nie ustawała gorączkowa bieganina. Wynoszono wciąż nowe transparenty z magazynu zawieszane na miejsce przeżartych tajemniczym promieniowaniem bijącym z napisu i tak w kółko. Ludzie, choć się zmieniali, nóg już nie czuli od tego biegania po schodach. Wind blokować przecież nie było można ani nowych tragarzy dokooptowywać, żeby się przecież wieść nie rozniosła. Biegały więc po piętrach maszynistki z instruktorami pod nadzorem borowików, nie wiedząc, że przyjdzie im się tak utyrać do późnego popołudnia.

A wieczorem stara Kornacka mieszkająca na Smolnej pod szesnastym tak opowiadała sąsiadce.

– Wyglądam rano przez okno, transparent jakiś wisi. Czytam, co tam napisane, bo to

jakbyś gazetę całą przeczytała, a na odległość wzrok mam dobry. „Daliśmy odpór wrogim elementom” stoi, więc się uspokoiłam, że nic się nie zmieniło. Ale po pół godzinie znów wyglądam, a tam nowy napis wisi: „Wojsko gwarancją kierowniczej roli klasy robotniczej”. Coś mi się to nie podobało, więc zaczęłam cały czas wyglądać, nawet poduszkę na parapecie sobie położyłam. I rzeczywiście, wieszają za chwilę nowy transparent, że „Wybraliśmy mniejsze zło”. Oho, mówię sobie, znów się zaczyna, poleciałam szybko na dół, sześć kostek mydła kupiłam, świec paczkę, zapalki. Wracam, a tu nowe hasło wisi, że „Partia na czele socjalistycznej odnowy”. Aż się przeżegnałam dwa razy i chciałam po sąsiada lecieć z nowiną, a oni nowy transparent wieszają „Hańba warchołom Radomia i Ursusa”. Więc już nie odchodziłam od okna. Potem powiesili wielki napis „Budujemy drugą Polskę”, to aż jęknęłam, że znowu. Ale patrzę dalej. A oni wieszają i wieszają jak wściekli, mówię ci, kochana, jakby ich opętało. Koło południa jedno tylko słowo wystawili: „Pomożemy”, to się zdenerwowałam, że całe pieniądze, co mi po zapłaceniu za gaz i światło zostały, do doniczki wepchnęłam, pod kwiatek. Ale i ten długo nie powisiał, bo go zaraz przykryli takim o syjonistach, że mają się zbierać do Izraela. Dokładnie nie zapamiętałam, ale ten następny to pamiętam: „Wiesław z narodem – naród z Wiesławem”. Ale i tego Wiesława przywalili transparentem: „Utniemy rękę kontrrewolucji”. To mnie nawet rozśmieszyło, tną, tną, a nie ucieli. O czwartej wywiesili coś o stoncy i kułakach a zaraz potem „Tito – pies łańcuchowy imperializmu”. To już mnie zimne dreszcze przeszły. Robiło się ciemno, zobaczyłam jeszcze, jak wieszają „Stalin, Bierut, Wilhelm Pick” i potem się oblałam cała. Byłam pewna, że już umieram, i jak to zwykle bywa, całe moje życie przesuwają mi się przed oczami.

W sztabie kryzysowym zwiastującą kolejny kryzys ciszę, po nieodpowiedzialnym wystąpieniu starego Kubickiego, przerwał ściągnięty przed kwadrans z MSZ Stefan Olszowski.

– Nie mogę zgodzić się w pełni z moim przedmówcą – rzekł – aczkolwiek szacunek dla siwych włosów i pełnego oddania słusznej sprawie partii drogi życiowej nie pozwala mi się wdawać w ostrą polemikę. To prawda, zdarzają się jeszcze niedociągnięcia, tym niemniej podkreślić trzeba przede wszystkim sukcesy, i to niewątpliwe, jakie odnieśliśmy w budowie socjalizmu. Nikomu na tej sali nie muszę przypominać, że Polska wyszła z wojny zniszczona, że przemysł, miasta, infrastruktura legły w gruzach z ręki okupanta. A jednak mamy dziś i przemysł, i miasta, i infrastrukturę, dzięki mądrej, dalekowzrocznej polityce partii. I mamy coś więcej, mamy bezpieczne, przyjazne granice. Cóż znaczy jakaś tam renta wobec bezpiecznych granic, odpowiedzcie nu, towarzysze. I dlatego boli mnie jako komunistę nie

wystąpienie towarzysza Kubickiego, bo jak już powiedziałem, zbyt wiele mam dla niego szacunku, żeby to, co mówił, mogło mnie dotknąć, ale – tu Olszowski podniósł głos – boli mnie, że znalazła się świętokradcza ręka, która ośmieliła się na tych murach postawionych z dobrowolnych cegiełek robotniczego potu, murach, za którymi wykuwała się wielkość i dostatek Polski Ludowej, wymalować obrzydliwe, żydowskie, wulgarne hasło. Ktoś musi, towarzysze, ponieść za to odpowiedzialność.

– A to lis – szepnął do siebie towarzysz Milewski, wymykając się chyłkiem, acz pośpiesznie, z sali. – A to szczwany lis.

Kiedy wrócił, niezmiernie z siebie zadowolony, zebrani poszukiwali odpowiedzi na podstawowe, zadane przez generała-premieratora pytanie: co właściwie znaczą owe plugawe trzy słowa.

– Trzeba posłać po rabina – wyrwał się niefortunnie towarzysz Orzechowski.

Jenerał-premierator skrzywił się lekko.

– Wy to jak coś powiecie – pokręcił natychmiast głową towarzysz Rakowski.

– Dawać broń do ręki wrogowi – stwierdził towarzysz Głowczyk odpowiedzialny za propagandę – to byłaby już skrajna lekkomyślność.

– No to – obraził się Orzechowski – proszę bardzo, może ktoś ma lepszy pomysł.

Chwilę znów panowała cisza przerwana wreszcie nieśmiało przez kierownika Wydziału Prasy Jachacza.

– Mamy przecież Polską Akademię Nauk – powiedział. – Tam na pewno będą wiedzieli.

– O, doskonale – rzekł z ożywieniem Olszowski. – Najlepiej sprowadzić tego, jak mu tam, Gieysztora, jest prezesem, powinien wiedzieć, co to może być.

– Gieysztora nie – zaprotestował z miejsca Rakowski. – To człowiek niepewny, bezpartyjny. Nam trzeba uczonego, a nie prezesa.

Towarzysz Milewski postanowił się wtrącić. Zbyt długo już nie zabierał głosu.

– Towarzysze zaraz kogoś z PAN-u, jakbyście nie wiedzieli, że to siedlisko reakcji – rzekł autorytatywnie.

– A przecież mamy w Marlenie naszych sprawdzonych, oddanych uczonych marksistowskich. Można zaprosić choćby towarzysza Jaroszewskiego.

Przez salę przebiegł szmer łądząco podobny do tłumionego śmiechu.

– No, doprawdy – powiedział swobodnie Rakowski. – Z równym powodzeniem można by zapytać towarzyszkę Jadzię z bufetu.

Milewski spurpurowiał.

– Proszę zaprotokołować – zażądał – że obrażono tu wybitnego naukowca tylko dlatego,

że jest marksistą.

Jenerał-premierator poruszył się z lekka.

– Dość – warknął. – Wezwać natychmiast profesora Jana Szczepańskiego.

Wszyscy okazali w jednej chwili zadowolenie i nieklamana kontentację.

– Wspaniale – wybałuszył oczy Rakowski. – Oto jest, czego nam potrzeba.

– Popieram wniosek towarzysza jenerała-premieratora – zgodził się Milewski entuzjastycznie – i proponuję przerwać obrady do chwili przybycia profesora.

Konferencja prasowa dla dziennikarzy zagranicznych w biurze rzecznika prasowego rządu, podsekretarza stanu w Urzędzie Rady Ministrów Jerzego Urbana zgromadziła kilkudziesięciu korespondentów prasy i telewizji. Siedzieli oni przy ustawionych w podkowę stołach, żuli słone paluszki zapijali je wodą mineralną Kryniczanka i czekali na rzecznika.

Wszedł na salę punktualnie, niosąc spiczastą, ocienioną uszami głowę ostrożnie niczym szklanę.

Uśmiechnięty i wyświeżony jak zwykle zasiadł za okrytym zielonym sukmem stołem z samotną usychającą paprotką, mając po swych bokach kilku rozmaitych dyrektorów departamentów, i rzeczowo wprowadził zebranych w postępy realizacji reformy gospodarczej. Reforma – tłumaczył – byłaby się udała, gdyby nie hamowały jej poczynania administracji Reagana.

– Żadna reforma – dowodził rzecznik – nie może udać się w kraju socjalistycznym, o ile nie sfinansują jej kraje kapitalistyczne ze Stanami Zjednoczonymi na czele. Dlatego – rzekł z całą otwartością Urban – wezwiemy Reagana przed trybunał międzynarodowy i wytoczymy przeciw niemu oskarżenie o sabotaż gospodarczy. A teraz proszę panów o pytania.

Pierwszy zerwał się Margueritte z „Le Figaro”.

– Czy to prawda – zapytał – że tej nocy działaczom „Solidarności” udało się umieścić na murach KC jakiś napis? Jeśli tak, to czy moglibyśmy poznać treść tego napisu?

– Osobliwe żądanie – odparował Urban – aby domagać się od rzecznika rządu przekazywania treści antyrządowych napisów. Tak, wiemy o tym z nasłuchów, że wrogie radiostacje, wypełniając swą misję szkodzenia wewnętrznemu pokojowi w Polsce, opublikowały tego rodzaju wiadomość. Jest ona zupełnie fałszywa i wyprodukowana została w propagandowej kuchni CIA, stanowiąc dodatkowy element w wojnie prowadzonej z socjalistyczną Polską. Nie było, nie ma i nie będzie na murach KC miejsca dla wywrotowych haseł, o tym mogę państwa zapewnić.

Wystraszony profesor Szczepański, zasłużony socjolog i jeszcze bardziej zasłużony członek Rady Państwa, znalazł się w sztabie kryzysowym po pół godzinie. Kiedy jednak dowiedział się, czego od niego żądają, od razu się uspokoił.

– A więc „mane, thekel, fares”, nie „farys” – wywodził – bo „Farys” to tytuł poematu Miłaszewskiego o sławnym wezyrze Rzewuskim...

– A to menda – szepnął Milewski do swego sąsiada.

– Ci intelektualiści wszyscy jednakowi, śmietnik w głowie – odparł tamten.

– ... i nie jest po żydowsku – ciągnął profesor – to znaczy ani po hebrajsku, ani po aramejsku, ani w jidysz, tylko w języku chaldejskim. Znaczący to „policzone, zważone, rozproszone” i stanowiło groźbę proroczą wypisaną ognistymi literami podczas uczty u króla Baltazara, władcy Babilonu.

– No i co z tym Baltazarem? – spytał ktoś przytomnie.

– Zginął – odparł Szczepański – a królestwo upadło.

Po sali przeszedł szmer.

– Groźba – szeptali.

– Prorocza – szeptali.

– Ognistymi literami. Wszystko się zgadza – szeptali.

Aż wybuchł ten okrzyk niemym pytaniem:

– Co robić?

Pierwszy ocknął się Milewski, sprawnie wypchnął Szczepańskiego za drzwi, dziękując mu po drodze, ale ciszy nabrzmiałej nie odważył się przerwać.

Odważył się generał-premierator.

– Co teraz? – zapytał wprost. – Radźcie, towarzysze. Bo jak nic nie wymyślicie, wprowadzę na salę wojsko.

Zaczęli przekrzykiwać się i prześcigać w radzeniu. Ktoś zaproponował otoczenie KC wysokim murem pod pretekstem remontu parkingów, ktoś inny chciał wręcz zburzyć gmach i zbudować na to miejsce nowy, znacznie obszerniejszy.

Do dziś dnia nie wiadomo, kto pierwszy rzucił ten pomysł, ale już po chwili ze wszystkich zakątków sali rozbrzmiewało jedno tylko słowo: „egzorczyzmy, egzorczyzmy” Wydawało się, że to istotnie jedyne wyjście.

Jenerał-premierator wszedł, a właściwie wsunął się do gabinetu prymasa tak nieznacznie, że niemal niezauważalnie. Był skurczony we dwoje, głowę wsunął w ramiona, aż mundur paradny na nim ociągnął się i zwisał. Można było odnieść wrażenie, że to nie jenerał-

premierator, a same baretki orderowe z lampasem wśliznęły się do klauzury. I ani jednego dźwięku, żadnego dudnienia zwycięskich kroków po wybłyszczonej posadzce nie było słyhać, tylko miarowe szczęknięcie zębami.

Ruszył mu naprzeciw prymas z głową pokornie zwieszoną na bok i zderzyły się pośrodku salonu te dwie pokory, duchowna i świecka, z taką siłą, aż kryształowe kutasy żyrandola zabręczały niczym na podniesienie.

– Nie będzie pochwalony Jezus Chrystus – rzekł na przywitaniu prymas.

– Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się – odparł ceremonialnie generał-premierator.

– Z czym Bóg prowadzi? – zapytał prymas, sadzając gościa w fotelu.

– Idę za wskazaniem wielkiego Lenina – cichym i niepewnym głosem odrzekł generał-premierator.

– Synu – rozłożył ręce prymas – nie jest nam zatem po drodze.

Generał-premierator nadał się z lekka, tracąc trochę pokory, uniósł jedną brew, łypnął okiem.

– Historia – rzekł – osądzi, po czyjej stronie była racja.

A prymas głowę pochylił jeszcze niżej i odparł:

– Mane, thekel, fares.

Znów zastukały zęby, a mundur osunął się po oparciu fotela. Generał-premierator nerwowo potoczył wzrokiem dookoła, z zawodowej i partyjnej ostrożności przyjrzał się kontaktom w ścianie, lampom, przesunął dłonią pod blatem stolika, po czym zakrzywionym palcem całkiem zwyczajnie pokiwał na prymasa i gorączkowo szeptać począł przybliżonemu wprost w ucho.

– Spowiadam się Bogu Ojcu Wszchemogącemu w Trójcy Świętej jedynemu i tobie, ojcze, że bardzo zgrzeszyłem myślą, mową i uczynkiem i teraz ratować trzeba tę naszą ojczyznę wspólną, przeciwmy obaj Polacy i patrioci – tu łkać począł z lekka, a pierś wezbrała mu wzruszeniem. – Kościuszko, i ten, jak mu tam, Mickiewicz, co się z papieżem wadził, wszyscy byli najpierw Polacy, a potem dopiero poglądy mieli rozmaite. I my też, ojcze, bo jak się ta groźba spełni, to przez antychrysta sowieckiego ręce, i powiozą nas wszystkich na Sybir, i kim my będziemy rządzić, a może i nas zresztą powiozą, diabli ich tam wiedzą, co oni zamierzają. Najpierw trzeba w naszym gmachu egzorcyzmy odprawić, żeby ten napis krwawy zniknął, a potem my mszę naszą dla przebłagania panów naszych kremlowskich na plenum odprawimy i tym sposobem ojczyznę zbawić wspólnie nam się uda.

– Zanim odpowiem – prymas spuścił oczy – poskarżyć się muszę. Odmawia się nam

sprzedaży materiałów budowlanych na nowe kościoły.

– Będą, będą – gorliwie szeptał generał.

– Dalej – ciągnął prymas – pisma nasze katolickie papieru nie otrzymują, ile potrzeba, a nadto w drukarniach na istotne natrafiają trudności.

– Będzie papier, słowo komunisty – rzekł generalny generał i pierwszy premierator, dodając szybko – i jak Boga kocham, drukarnie w pierwszej kolejności teraz „Rycerza Niepokalanej” drukować będą, a dopiero potem „Problemy Pokoju i Socjalizmu”. I z „Niepokalanej” będziemy ich rozliczać, a nie z „Socjalizmu”.

Prymas ręce złożył, jeszcze pokorniej się pochylając, i powiedział twardo, podsuwając przygotowany dokument: – Podpisz...

Generał-premierator wzdrygnął się z lekka, krzyż dyskretnie na baretkach sowieckich orderów bojowych uczynił.

– Cyrograf – wyszeptał. – Potępienie wieczne na moją duszę.

Ale zaraz po wojskowemu dumnie się wyprostował, kozik z kieszeni dobył, co go jeszcze od Lenino do Berlina niósł za wojskiem, i oczy odwracając, bo widoku krwi nie był zwyczajny i zaraz na słabiznę mu się rzuciło, ciął się odważnie w palec.

– Za partię – mówił sobie w duszy – i krwi nie żał serdecznej utoczyć, choćby nawet z palca.

A prymas wnet go za ów palec skrwawiony ucapił, do papieru onego przytknął, suszką bibulastą tam i siam przejechał, dokument złożył i w rękaw sutanny obszernej wsunął.

Generał-premierator palec w gębę wraził, oczy na prymasa wybałuszył, prymas mu wzrokiem umknął i tak się ze sobą chwilę mocowali w milczeniu, które tylko ciamkanie kojące wokół palca zbolełego przerywało.

– Synu – rzekł wreszcie prymas – zanim jodyny i plastra przynieść każę, srogą prawdę powiedzieć ci muszę. Kościół, matka nasza, egzorcyzm odrzuca jako zabobon ciemny, a na zakusy szatańskie nie masz jak pokuta i umartwienie, a za grzechy żał serdeczny. W tym szczególnym przypadku – mówił prymas dalej głosem uroczystym – głos to Boży być musi, nie zaś omam diabelski, zatem egzorcyzmy i tak na nic by się zdały, bo nie w ludzkiej mocy jest wyroki Pańskie odmieniać.

Tu zerwał się generał i kałasznikowa szukał, a nie znalazłszy, koszulę jeno poszarpał na piersi mundurową, gorset stalowy zacny obnażając.

– Uderz! – zawołał. – Uderz, co lud Boży pracujący miast i wsi na pokuszenie wodzisz, miast go do roboty wydajnej, społecznej i społecznie użytecznej nawoływać.

Prymas nie uderzał jednak.

– Uderz, szatanie, w tę pierś, co klasę robotniczą, chłopów małopolskich i inteligencję pracującą przed większym złem osłoniła. Na nic mi teraz wasze traktaty, wasze cyrografy i dokumenty. Nie ma egzorcyzmów, to i cegieł nie będzie, nie ma za partię i powodzenie marksizmu dialektycznego modłów serdecznych, to i cementu nie będzie. Wybrałeś.

– Czy to ostatnia Waszej Miłości odpowiedź? – zapytał prymas.

– Nie, rzekł dumnie generał – bo mam jeszcze ZOMO w koszarach.

Posłuchanie było skończone.

Najpiękniejsza Polka socjalistyczna, od stóp do głów marksistowska, a w odwrotną stronę leninowska, Irena Falska, od chwili kiedy wręczono jej świeżo zdjęty z dalekopisu papowskiego komunikat Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej, drżała z ochoty, żeby go co prędzej przeczytać, żeby cisnąć w twarz tym z drugiej strony ekranu jak obelgę, twarde, robociarskie słowa w pośpiechu ułożone przez czterech magistrów z biura rzecznika prasowego MSW. Było to drżenie wewnętrzne i umiarkowane, hamowała je pewność spełnienia i duma. Nie każdy w końcu może mieć stosunek oralny z całym narodem.

„Ostatniej nocy – czytała, idealnie wydobywając akcenty surowej, ojcowskiej troski – doszło znów w stolicy do poważnego naruszenia prawa. Jak informuje Biuro Kryminalne KG MO na murach gmachu KC PZPR inspirowani przez zagraniczne ośrodki dywersji i rodzimą reakcję sprawcy wymalowali odrażający w swej formie i treści, plugawy i wulgarny napis stanowiący wodę na młyn kół klerykalno-syjonistycznych, obrażający partię, uczucia religijne niewierzących i poczucie polskiego oraz internacjonalistycznego patriotyzmu. O dokonanie tego haniebnego czynu podejrzany jest notoryczny nacjonalista i kosmopolita Wojciech Ziemiński, członek tak zwanego Ruchu tak zwanych Praw tak zwanego Człowieka i tak zwanego Obywatela. Ziemiński, nigdzie nie pracujący i nie uczący się, został poprzedniego dnia zwolniony z centralnego więzienia przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie na urlop zdrowotny ze względu na symulowaną przez niego lekką grypę bezgorączkową i od tego czasu ukrywa się. Na autorstwo napisu wskazuje, zdaniem specjalistów z Biura Kryminalnego, nie tylko analiza grafologiczna, ale także fakt, iż Ziemiński, sądzony i skazany w procesie taterników w latach sześćdziesiątych, posiadał techniczne możliwości i umiejętności wspięcia się na wysokość drugiego piętra po gładkim murze budynku. Energicznie prowadzone śledztwo doprowadzi także z pewnością do wykrycia współwinnych, wśród których bez żadnej wątpliwości znajdują się także księża Jankowski i Popiełuszko. Za Ziemińskim prokurator rozpisał listy gończe”.

Właśnie w chwili, kiedy Irena Falska z całym oddaniem czytała komunikat PAP, iż

wobec incydentu warszawskiego, który zagroził istnieniu suwerennego państwa polskiego i podważył jego konstytucyjne zasady systemowe, odpowiedzialne czynniki rozważają powtórne ogłoszenie stanu wojennego, na lotnisku Okęcie wylądował specjalny samolot Aeroflotu z Moskwy. Po schodkach zbiegł truchcikiem niepozorny mężczyzna z wielką głową, rzucając się w ramiona czekającego nań Milewskiego.

Nadzwyczajne posiedzenie Komitetu Centralnego zaczęło się punktualnie o 19. Nikt nie wiedział dokładnie, co jest grane, nie było więc specjalnie chętnych do zabierania głosu. Zaniepokojony Olszowski złożył wniosek formalny, aby dopuścić na salę obrad i do głosu zasłużonego towarzysza Grabskiego, który krążył po korytarzu, czekając na swój kolejny występ w ulubionej roli żywej torpedy. Wniosek odrzucono zwykłą większością głosów, co Olszowskiego zaniepokoiło jeszcze bardziej.

Jako pierwszą wypchnięto na mównicę towarzyszkę Grzyb Zofię z Radomia.

– My, kobiety polskie, żony i matki – mówiła towarzyszka Grzyb, pochlipując – dziękujemy partii, a szczególnie wam, towarzyszu Jaruzelski, za troskę, której wyrazem jest budowa Pomnika-Centrum Zdrowia Matki Polki. Nasza ojczyzna Polska Ludowa przeżywa ciężki kryzys. My, kobiety polskie, też ten kryzys przeżywamy. Stoimy w kolejkach, mamy kłopoty z wyżywieniem naszych rodzin. I tym bardziej doceniamy to, że mimo trudnej sytuacji, mimo agresywnej polityki antypolskiej Reagana państwo znalazło środki, aby nam, matkom i Polkom, wybudować centrum, w którym będziemy zdrowe.

Wobec tego, że plenum zaczęło się dość tradycyjnie, wszyscy zajęli się swoimi sprawami. Profesor Jabłoński drzemał za stołem prezydialnym z otwartymi, wbitymi w zielone sukno oczyma. Olszowski pogrążył się w marzeniach, że oto za chwilę wstanie, wyrzuci Jaruzelskiemu prawdę w oczy i postawi swoją kandydaturę. Rakowski rozmyślał, jak by tu wykorzystać sytuację do wyslizgania Olszowskiego i wśliznięcia się na jego miejsce i do Biura, i do MSZ.

I właśnie w chwili, kiedy towarzyszka Grzyb Zofia, łkając, wyraziła obawę, że i na Centrum Zdrowia Matki Polki wróg wymalować może nieprzystojne napisy, drzwi otworzyły się i na salę wkroczył towarzysz Milewski, prowadząc pod rękę ambasadora Kociołka.

Wszyscy drgnęli, nawet towarzysz Jabłoński ocknął się na chwilę, mruknął „sen mara, Bóg wiara” i usnął z powrotem.

A Kociołek usiadł na szczycie środkowego, ciągnącego się przez całą kiszgowatą salę stołu i wlepił palący wzrok w generała. Jaruzelski zaś ani drgnął. Myślał o bolącym palcu i z melancholią wspominał dzieciństwo.

Sytuacja była całkiem nowa i nie do końca jasna. Wystąpił towarzysz Obodowski, mówiąc, że wszystko zależy od reformy.

– Bez reformy – powiadał wicepremier – nie możemy zreformować niczego prócz samej reformy, która po zreformowaniu przestanie być reformą, więc nie doprowadzi do reformowania, potwierdzając złudzenia wrogów realnego socjalizmu, że najbardziej reformatorski ustrój jest niereformowalny.

– A czyż może się powieść reforma – zakończył efektownie Obodowski, zbierając burzliwe oklaski – skoro brakuje farby na napisy popierające i propagujące reformę, a na hasła reformie wrogi farba jest, i to wysokiego gatunku?

Na mównicę wstąpił teraz towarzysz Milewski. Mówił krótko.

– Towarzysze – rzekł – czas nie jest po temu, żeby głądzić o farbach olejnych. Trzeba mówić o wrogach ustroju, o tych, którzy podkopują i podgryzają zdrowe korzenie sojuszu robotniczo-chłopskiego i kierowniczą rolę partii. Jak wiecie, ja jestem mocny w tym temacie i mógłbym mówić nawet do rana. I to bez kartki. Chcę jednak oddać głos godniejszemu. Proszę na mównicę towarzysza Kociołka.

Wrażenie było duże. Wszyscy wlepili ślepią w Kociołka, nawet zastępcy członków KC siedzący w końcu sali przerwali na chwilę grę w oko. Tylko Jabłoński drzemał dalej.

– Szanowne towarzyski i towarzysze – zaczął Kociołek z mocą – na początek chciałbym wam przekazać serdeczne pozdrowienia od wielkiego narodu radzieckiego i osobiście od jego wybitnego przywódcy towarzysza Andropowa (oklaski). Towarzysz Andropow wyraził nadzieję, iż dzięki memu uczestnictwu w tym nadzwyczajnym plenum sytuacja w kraju ulegnie wreszcie prawdziwej stabilizacji (burzliwe oklaski), a wówczas partia i rząd Związku Radzieckiego udzielą nam konkretnej dalszej pomocy, rozstawiając na naszym terenie rakiety SS-20 z głowicami nuklearnymi (burzliwe oklaski przechodzące w owację). Dziękuję towarzyszom za spontaniczną manifestację klasowego patriotyzmu. Teraz muszę niestety kilka słów powiedzieć o sobie. Jak wszyscy wiecie, byłem wielokrotnie spotwarzany oskarżeniem, iż to ja wydałem rozkaz strzelania do robotników Gdańska w grudniu 1970 roku, mimo iż historyczną prawdą potwierdzoną licznymi świadectwami naocznych świadków jest, iż owej tragicznej nocy jeździłem samochodem z kierowcą, który to może w każdej chwili potwierdzić, po domach robotników i nakłaniałem ich, aby nie udawali się do pracy. Spotwarzał mnie ten, kto sam ów zbrodniczy rozkaz wydał. A ja was pytam, towarzysze, kto w warunkach prawdziwej demokracji władny jest wydać taki rozkaz?

Cisza była odpowiedzią.

– Tak jest, towarzysze – Kociołek podniósł obie ręce w górę. – Na kłamstwie nie można

budować. Mane, thekel, fares. Policzone, zważone, rozproszone, oto hasło godne tej historycznej chwili. Odpowiedzcie mi, proszę, w swoim sumieniu, kto zgwałcił demokrację wewnątrzpartyjną, kto zagarnął w dyktatorski sposób wszystkie odpowiedzialne posterunki, kto osłabił partię, odebrał jej kierowniczą rolę, zamordował centralizm demokratyczny? No, kto?

Znów odpowiedzią była cisza, ale wszystkie oczy skierowały się w stronę Jaruzelskiego, który podniósł w górę, w geście obrony, oklejony plastrem palec.

– Mane, thekel, fares! – wołał w zapale Kociołek. – To nie generał splugawił drogie nam wszystkim ideały internacjonalizmu proletariackiego, leninowskie normy partyjne, tylko degenerał. Wnoszę o odwołanie degenerała Jaruzelskiego ze stanowiska pierwszego sekretarza naszej partii, usunięcie go z szeregu członków i postawienie przed sądem. Mam tu materiały dotyczące willi przy ulicy Zawrotnej, szczególnie interesujące są rachunki za dwa sedesy i bidet. Zastanówcie się, towarzysze, po co członkowi partii komunistycznej bidet, kiedy chłop polski, żywiąc nas i broniąc, nie może kupić nawet gumiaków?

– Jednocześnie – ciągnął dalej Kociołek – stawiam wniosek o powołanie na to zaszczytne i odpowiedzialne stanowisko mnie samego osobiście. Rekomendację towarzysza Andropowa przedkładam do protokołu.

Wybuchła wrzawa granicząca z entuzjazmem, ale Kociołek przerwał ją autorytatywnie.

– Kto jest za? – zapytał gromkim głosem.

Pierwszy podniósł rękę w górę generał Siwicki, za nim reszta, nawet sam Jaruzelski wiedziony siłą przyzwyczajenia.

Ale w tym momencie drzwi do sali się uchyliły i wkroczył dziarskim krokiem Dragon Belzebubowicz na czele kohorty oficerów Wojskowej Służby Wewnętrznej w mundurach polowych i z bronią. Oficerowie sprawnie otoczyli całą salę, ustawiając się pod ścianami. Dragon podszedł do mównicy, odepchnął ogłupiałego Kociołka i popukał palcem w mikrofon.

– Ja w kwestii formalnej – rzekł gromko. – Wnoszę o reasumpcję głosowania.

Po sali przebiegł szmer. O co on wnosi, o jaką konsumpcję?

– Domagam się ponownego głosowania na zasadach statutowych – mówił dalej Belzebubowicz – z uwzględnieniem poparcia dla towarzysza Jaruzelskiego od marszałka Ustinowa oraz towarzyszy Czemiienki i Gorbaczowa, a także od szerokich rzesz radzieckiej klasy robotniczej. Towarzysz Andropow został wprowadzony w błąd co do sytuacji w naszym kraju... – Dragon wyciągnął oskarżycielski palec w stronę Kociołka i dodał: – ... i już zmienił zdanie. Kto chce zobaczyć dokumenty, może się starać o przepustkę do Cytadeli, gdzie

zostały złożone w tajnej kancelarii.

Zapadła martwa cisza przerwana tylko szlochem Jabłońskiego.

– Kto jest za pozostaniem towarzysza Jaruzelskiego na stanowiskach? – zapytał formalnie Belzebubowicz.

Wszystkie ręce podniosły się w górę. Posiedzenie było skończone. Towarzysz Kociołek odjechał zaraz potem służbowym samochodem na obserwację do szpitala, towarzysz Olszowski pierwszym samolotem odleciał do Nowego Jorku, towarzysz Grabski złożył podanie o posadę gajowego w lasach państwowych.

Najbliżsi współpracownicy Jaruzelskiego udali się na naradę. Jej rezultatem było zaniechanie ścigania Ziemińskiego i jego mocodawców. Zaprzestano też ukrywania napisu. Opublikowana w następnym numerze „Trybuna Ludu” uchwała Biura Politycznego głosiła, że dotychczasowe hasło partii „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się” zostaje przeznaczone do użytku tylko w stosunkach międzynarodowych. Na użytek wewnętrzny partia przyjmuje nowe hasło „Mane, thekel, fares”, które ma być przestrożą dla wrogów socjalistycznej odnowy i bardziej jest odpowiednie dla obecnego etapu budowy społeczeństwa bezklasowego.

Dragon Belzebubowicz, czego już nie można było przeczytać w „Trybunie”, otrzymał doktorat honoris causa Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Radomiu, Order Sztandaru Młodych z epoletami, honorową prezesurę Związku Literatów Polskich i dodatkowe kartki na tłuszczę zwierzęce.

Ogłoszono ogólnonarodową dyskusję pod hasłem „Jak wybawić Polskę z nędzy i napędzić Polakom pieniędzy”. Pierwszym efektem otwartej i szczerzej dyskusji były podwyżki cen postulowane przez ludność, a zwłaszcza emerytów i klasę robotniczą.

Odkąd zdarto z gmachu KC ostatni transparent z napisem „AK – zapluty karzeł reakcji”, babiloński napis świecił na frontonie bez przeszkód, odbijając się w wielkich szybach położonej naprzeciw restauracji kategorii II z dansingiem Gastronomia. Hasło zdobiło odtąd legitymacje partyjne. „Trybuna Ludu” ukazywała się z podtytułem „Mane, thekel, fares”. Po kilku tygodniach zauważono, że litery na gmachu KC nieco przygasły, napis nie świecił już tak intensywnie, blakł, aż wreszcie znikł całkowicie.

Zawołano wtedy brygadę kamieniarzy z Powązek, a ci wykuli litery na powrót w płytach żółtego piaskowca pokrywających elewację gmachu.

Napis znikł, ale niebezpieczeństwo nie znikło. Co było dalej, wiem dokładnie, bo byłem przy tym. Wiozłem Dragona do Magdalenki. W willi na uboczu spotkali się Dragon, Michnik i biskup Pieronek. Każdy z nich miał kawałek jednej kartki z tym właśnie napisem przedarty

na trzy części.

Złożyli je na stoliku. Brzegi pasowały idealnie i od tego zaczęła się droga ku ustrojowym zmianom. Zaraz potem skierowano mnie na odcinek handlu zagranicznego. Miałem sukces, załatwiałem politurę do nadania blasku Okrągłemu Stołowi i teraz jestem właścicielem holdingu.

– Czym właściwie handlujesz? – zapytałem.

– No wiesz, bomby, miny, karabiny. Zawsze jest ktoś, kto tego potrzebuje. A co z tobą?

– Utknąłem tutaj i nie mam jak wrócić do Europy.

– Wracaj do Polski. Teraz u nas możesz pisać, co chcesz. Wszystko ci wydrukują, czasami nawet zapłacą – palnął mnie z rozmachem w plecy.

– Nie mam na podróż – nie poskarżyłem się, byłem tylko szczery.

– No, to się da załatwić – Wojtek wyciągnął notes, nabazgrał coś na kartce i wcisnął mi ją w rękę. – To mój stary przyjaciel. On ciągle ma jakieś transporty do Europy. Powołaj się na mnie, zresztą go uprzedzę. Ja jutro odlatuję do Czadu. No to jeszcze po jednym.

Droga

Na kartce, którą dał mi Wojtek, było imię Wadim Pawłowicz i numer telefonu w Managui. Zadzwoiłem.

– Znasz rosyjski? – zapytał.

– Paniemnożku.

– To przyjeżdżaj zaraz. Mam coś dla ciebie.

Facet urzędował w miejscowym Hiltonie, trochę podupadłym po okresie rewolucji sandinistowskiej, ale wciąż jeszcze najbardziej wykwinłym w stolicy. Po małej kontrowersji z wygalonowanym portierem – zastanawiałem się nawet, czy jego mundur nie jest po Somozie – któremu nie podobał się ani mój T-shirt, ani podarte adidas, zaprowadzono mnie jak pod eskortą, żebym po drodze czegoś nie ukradł, do apartamentu na pierwszym piętrze. Powitał mnie tam morderczy, zażywny i bardzo jowialny Rosjanin. Serdecznie, jakbyśmy się znali od lat. Nalał mi wody sodowej z syfonu – nie widziałem czegoś takiego od lat – i zapytał, skąd się tu, w Nikaragui, wziąłem i czym się zajmowałem.

– Siedział za rieszotką, w tiomnicy syroj, wskarmljonnyj w niewolje orioł maładoj – odpowiedziałem jakoś odruchowo, parodiując Puszkina.

To mu się spodobało.

– Maładiec – znów mnie klepnął w plecy, aż przykucnąłem.

– Chcesz do Polski, dobra, da się zrobić – mówił. – Szukam ludzi do załogi lotniskowca. Nadasz się. Popłyniesz do Japonii, na miejscu dostaniesz za rejs dwa, no niech będzie trzy, jak dla Słowianina. To ci wystarczy na bilet do Warszawy.

– Na lotniskowcu? – wybałuszyłem oczy.

– No tak. Kupiłem stary amerykański lotniskowiec „Saratoga”. Trzeba go przeprowadzić z Kalifornii do Jokohamy, gdzie pójdzie na żyłki. Łatwa praca, złomu nie trzeba szorować. Byle tylko maszynownia działała.

– Ale jak ja się dostanę do Kalifornii? Nie mam wizy amerykańskiej.

– Kto cię będzie pytał o wizę? Podpisz kontrakt, masz tu sto dolarów zaliczki, a jutro o szóstej rano bądź przed hotelem. Zgoda?

Podpisałem się, dostałem parę banknotów dolarowych i przyklepaliśmy sobie dłonie na pożegnanie. Jak na targu końskim przy kupnie perszerona. Nawet zabolalo. Wyszedłem oszołomiony. Miałem zostać marynarzem na lotniskowcu, a dotąd pływałem tylko po Mazurach żaglówką. Ale forsa dodawała mi pewności siebie. Wszedłem do jakiegoś sklepu

z odzieżą i w pięć minut potem wyszedłem dość odmieniony. Nowe gacie, dżinsy, koszula, białe buty. Nawet chustkę do nosa sobie kupiłem. W dolarach wychodziło cholernie tanio. W szlufkę spodni wkręciłem sobie małą mosiężną szekłę. Uznałem, że to zrobiło ze mnie marynarza. Torbę, w którą mi zapakowano stare ciuchy, postawiłem pod drzewem. Może się komuś przydadzą. Potem poszedłem do restauracji i zjadłem obiad, jakiego nie widziałem od dawna. Krewetki, zupę rybną, stek. Popiłem piwem. Beknąłem. Uznałem, że świat wszedł na drogę ku lepszemu, a ja razem z nim.

Następnego dnia już o wpół do szóstej byłem na miejscu. Nie pod hotelem, ale w hallu. Tym razem wpuszczono mnie bez problemu. Wadim zszedł punktualnie, wyświeżony, ogolony, pachnący odekafonem i – zdaje się – stoliczną. Wsiedliśmy do mercedesa z kierowcą i pojechali. W środku luksus, skóra i klimatyzacja. Droga do Polski zaczynała się czarownie. Trochę mnie tylko zdziwiło, że nie jechaliśmy w kierunku lotniska. Wyjechaliśmy z miasta przez rozległe slumsy przemieść i zagłębiliśmy się w dżunglę. Wadim przeglądał jakieś papiery i wyglądał na bardzo zajętego, zresztą nie śmiałybym go zapytać. Kierowca kluczył po coraz gorszych drogach, zawieszenie merca dobijało, gałęzie zaczęły szorować o karoserię. Zacząłem się już niepokoić, kiedy wjechaliśmy na jakąś polanę, która wyglądała na stare lotnisko polowe z betonowym, ale już rozkruszonym i podziurawionym pasem startowym. Z betonu wyrastały pędy roślin. Na drugim końcu tego pasa stało kilka ciężarówek i czteromotorowy samolot. Potęga. Wieżyczki strzeleckie z tyłu, z przodu i na górze. Od razu poznałem. To był bombowiec B-17. Latająca Forteca. Zabytek. Jacyś ludzie wnosili do niego worki i paki.

Kierowca zajechał z fantazją. Wadim wyskoczył rażno, nie spodziewałem się tego po takim grubasie, przywitał się z jednym z mężczyzn, szpakowatym i nobliwym, pokazał na mnie gramolącego się z samochodu, coś tłumaczył. Tamten kiwał głową.

Stałem niezdecydowany, aż Wadim na mnie kiwnął.

– No, na co czekasz? Na metro? Wsiadaj.

Wspiąłem się po wąskich schodkach do kabiny, raczej do luku bombowego zawałonego workami. Wrzucono za mną jeszcze kilka, zatrzaśnięto drzwi i za chwilę silniki zaczęły się krztusić, prychać i ruszyły.

Rozejrzałem się. Oprócz mnie na stertach worków siedziało jeszcze dwóch Latynosów. Przez uchylone drzwi kabiny było widać obu pilotów. Jednym z nich był szpakowaty, ten, z którym rozmawiał Wadim. Maszyna podskakiwała na betonowych dziurach, ale dziwnie szybko oderwała się i wzniosła w górę. Lecieliśmy do Stanów.

Obaj Latynosi rozmawiali ze sobą z ożywieniem, nie wiedziałem o czym, choć

rozumiałem niemal wszystko, bo bez przerwy powtarzali słowa, które każdy cudzoziemiec poznaje jako pierwsze: „nocjo”, „puta”, „cojones”, „mierda”, „la puta que lo pario”, „me cago en presidente”. Na pewno mówili o polityce.

Nie chciałem się wtrącać do rozmowy, ale paliła mnie ciekawość.

– Co jest w tych workach? – zapytałem.

Spojrzeni na mnie jak na wariata.

– Papier toaletowy – powiedział jeden.

– Con la mierda – uzupełnił drugi.

Roześmieli się.

Pomacałem jeden z worków i zdrętwiałem. Wieźliśmy do Kalifornii kokainę. To się nie mogło dobrze skończyć. Już sobie wyobraziłem, jak na lotnisku w Los Angeles albo we Frisco otaczają nas FBI, CIA, policja, jak do nas strzelają. Byłem przekonany, że zginę, a w najlepszym wypadku trafię do San Quentin na dożywocie i nikt nigdy nie dowie się o moim losie. Zacząłem szukać wyjścia, ale go nie było. Nie wyskoczę przecież z samolotu, a jeszcze bez spadochronu. Obgryzłem paznokcie u obu rąk i to przyniosło mi ukojenie.

W każdym razie popadłem w apatię. Wsłuchałem się w szum silników, a ponieważ był równy, basowy i spokojny, nie widziałem żadnej nadziei na awarię i katastrofę. Aby odpędzić złe myśli, zacząłem sobie wyobrażać, że jestem jednym z cichociemnych, że lecę z Brindisi do Polski, że za chwilę zostanę zrzucony z ważną misją nad Górami Świętokrzyskimi. To znów marzyło mi się, że lecimy ze zrzutem broni i amunicji nad powstańczą Warszawę. Będziemy bombardować Berlin – nasza załoga wzięła sobie za cel Kancelarię Rzeszy – albo bierzemy udział w moście powietrznym i transportujemy w czasie blokady do głodującego Berlina Zachodniego konserwy i gumę do żucia. Wszystko wydawało się bezpieczniejsze niż lot z kokainą do USA. Jeszcze dobrze, że nie na Florydę, gdzie czuwa znany z serialu wydział Miami Vice i wykonują karę śmierci. W końcu zacząłem sobie wyobrażać, że nasz samolot nazywa się „Enola Gay” i leci z jedną jedyną bombą, małym chłopakiem Little Boy, nad Hiroszimę. Z tą pokrzepiającą myślą usnąłem.

Kiedy się obudziłem i ziewnąłem głośno, jeden z Latynosów pokazał na okno.

– Meksyk – powiedział.

Wyjrzałem. Lecieliśmy nad pustynią pokrytą rzadkimi kaktusami na wysokości może dwudziestu metrów. Cień samolotu, ogromny, biegł wiernie za nami, układając się na nierównościach terenu.

Tak monotennie mijały kwadranse, potem godziny. Wyglądałem z nudów przez okno, wypatrywałem zabudowań, ludzi, zwierząt, wreszcie próbowałem liczyć kaktusy. Ale

przemykały zbyt szybko.

Nagle coś trzasnęło, jakby w kadłubie, zmieniła się barwa huku silników, samolot zszedł jeszcze niżej, o ile to w ogóle było możliwe, przechylił się na skrzydło, zataczał krąg.

– Co jest? – wrzasnąłem do Latynosów, którzy nie wydawali się poruszeni.

– Ju es ej! – odkrzyknęli.

Przyłgnałem nosem do szyby. Piasek, skałki, trochę zarośli, coś jakby koleiny, a w małej dolince między dwiema wydmami czy może głazami strużka biegnącego prosto w górę jaskrawoczerwonego dymu. W przejściu do kabiny pilotów stanął szpakowaty.

– Zrzut! – krzyknął i pokazał kciukiem w dół. Zgrzytnęły drzwi bombowe i pośrodku kabiny otwarł się jasny prostokąt amerykańskiej ziemi. Obaj Latynosi zaczęli wyrzucać worki.

– Co się gapisz? Rzucaj – warknął do mnie jeden.

Popychaliśmy upakowane ciasno, wydęte, ciężkie wory nogami. Znikały szybko, koziółkując. Samolot zataczał wąski krąg.

– Cholera, musi być tego tona albo i więcej.

Wszystko trwało bardzo krótko. Za chwilę na pokładzie nie została ani jedna paczka. Zrobiło się przestronnie. Drzwi bombowe zasunęły się z trzaskiem, maszyna wyrównała i weszła na prosty kurs. Jakiś czas lecieliśmy jeszcze bardzo nisko, potem samolot zaczął nabierać wysokości. Horyzont się rozszerzał, już można było rozpoznać skupiska domów, linie autostrad. Po prostu cywilizację.

– Kurs Kalifornia – poinformował mnie Latynos. Pogrzebał w małym plecaku, wyjął zwinięty podplomyk nadziany jakimiś warzywami, może i mięsem, i zaczął jeść ze smakiem. Przełknąłem ślinę. Dopiero teraz poczułem, że jestem piekielnie głodny. Spojrzał na mnie, pogrzebał znów i wyjął batonik Mars. Przyjąłem z wdzięcznością. Po chwili dostałem jeszcze w plastikowym kubeczku porcję może tequili, a może jakiegoś innego specjału z tej części świata. Było to mocne, aż ściągało dziąsła. Razem z batonikiem stanowiło niesamowity posiłek. Zwłaszcza między niebem i ziemią, między niebem i piekłem.

Lecieliśmy sobie teraz spokojnie przez poczerwieniałe od zachodzącego słońca powietrze, mieliśmy zapalone światła pozycyjne, z kabiny dochodziły odgłosy świadczące, że i radio zostało włączone. W dole coraz częściej i coraz gęściej rozkładały się skupiska ludzkie.

Szpakowaty, który był tu dowódcą, znów się pokazał. Teraz był ubrany w bluzę mundurową amerykańskiego lotnictwa, z baretkami orderów. Wyniósł nam niebieskie bluzy. Na plecach był wielki napis: „Aviation Historical Society”. Lotnicze Towarzystwo

Historyczne.

– Niedługo lądujemy w Monterrey – powiedział. – Trzymaj się blisko mnie.

Skinałem głową. Po kwadransie zaczęliśmy zniżać pułap, znów z trzaskiem otwarły się klapy, z jękiem otworzyło się podwozie. Siedliśmy.

Wyrzałem przez okno i zdrętwiałem. Ze wszystkich stron ku naszej maszynie jechały kolumny samochodów. Błyskały czerwone i niebieskie światła. Sprawdziły się moje najgorsze obawy. Przepadłem z kretesem.

Ale na pokładzie nikt nie wpadł w panikę. Samolot stanął, jeden po drugim wyłączyły się silniki. A w tym momencie przez otwarty już luk drzwi wtargnęła tłuszcza. Ze dwudziestu chłopów, drągali po dwa metry wzrostu, białych i czarnych, w różnokolorowych kurtkach z różnymi napisami: „SWAT”, „DEA”, „FBI”, „Special Agent”. W ręku broń, pewnie odbezpieczona. Zobaczyli pusty samolot i stracili impet.

Z kabiny wyleźli obaj piloci. Szpakowaty w swoim mundurze i ten drugi, którego nie widziałem całą drogę, też w mundurze. Dopiero teraz zauważyłem, że szpakowaty miał wśród baretek order Purple Heart, Purpurowe Serce, najwyższe odznaczenie za dzielność i poświęcenie.

– Co tu się dzieje? – krzyknął nasz wódz. W ręku trzymał jakieś papiery. – Lecimy do Idaho na pokazy lotnicze. Tu są wszystkie dokumenty. Jestem weteranem z Wietnamu. Złożę skargę u gubernatora.

Dowódca akcji, w czarnym garniturze, czarnym krawacie i czarnych, mimo zmroku, okularach, popatrzył na kolekcję odznaczeń na piersi szpakowatego i trochę się zmieszał. Zwłaszcza że jeden z myszkujących po pokładzie rozłożył bezradnie ręce.

– Nie było was długo na radarze – wyjaśnił.

– Mieliśmy kłopoty z ciśnieniem w kabinie. Ale chłopaki naprawili – szef pokazał na nas z uśmiechem.

– Panie pułkowniku, sir – rzekł z szacunkiem policyjny cywil – czytałem o panu, widziałem zdjęcia. Dostaliśmy widocznie fałszywy cynk. Sorry. Miłego pobytu w Monterrey i dobrej drogi do Idaho.

Agenci zaczęli się wycofywać. Odetchnąłem z ulgą. Byłem cały mokry. Można mnie było wyzymać. Na końcu wyleźliśmy z samolotu i my. Samochody migające dyskoteką odjechały błyskawicznie, a my całą piątką poszliśmy wzdłuż ciemnych hangarów w kierunku jasno oświetlonego szklanego budynku dworca lotniczego. Szpakowaty stanął w pewnym momencie pomiędzy zaparkowanymi pojazdami technicznej obsługi samolotów. Wyciągnął z kieszeni kilka kopert. Jedną, wyglądała na najgrubszą, wręczył drugiemu pilotowi. Potem

każdemu z Latynosów. Została mu jeszcze jedna. Dał ją mnie.

– Co to? – zapytałem dość głupkowato.

– Twoja dola – wyjaśnił.

Staralem się nie okazać zdziwienia. Ruszyliśmy znowu. Za nami z rykiem startowały i lądowały odrzutowce.

– Ty – powiedział jeden z Latynosów – dokąd się wybierasz? Co będziesz robił?

Wzruszyłem ramionami. Nie miałem pojęcia. Może, skoro tu już jestem, polecę do Chicago, gdzie prawie każdy mówi po polsku, nażrę się żurku na kielbasie, kielbasy i pierogów, popiję żywca i wyborowej, kupię sobie numer ubezpieczenia socjalnego i zacznę czyścić buty przed jakimś hotelem, żeby zarobić pierwszy milion. Albo pojedę stąd austopem do Hollywood, to w końcu niedaleko jak na stosunki amerykańskie, napiszę scenariusz awanturniczego filmu na podstawie własnego życia. Zmienię tylko zakończenie, na lotnisku w Monterrey będzie trzecia wojna światowa, walka gangów, policja i gwardia narodowa, pół miasta wyleci w powietrze. Sprzedam to jakiemuś producentowi, potem dostanę Oscara i wrócę do Polski jako człowiek sukcesu i autorytet moralny. Tak, to by mi się uśmiechało.

– To chodź z nami. Wybieramy się do burdelu.

– On idzie ze mną – wtrącił się pułkownik. – A wy się rozdzielicie. Każdy weźmie zwykłą taksówkę z postoju i pojedzie w swoją stronę. Good luck.

Rozstaliśmy się bez pożegnania. Posłusznie i w milczeniu podążałem za pułkownikiem, macając w kieszeni kopertę. Była zaskakująco gruba. Mile opasła. Poszliśmy do Herta, pułkownik wynajął samochód, żaden tam krążownik szos, tylko skromną hondę. Kiedy wypełniał formularz, usiłowałem zobaczyć nazwisko. Zdaje się, że nazywał się John Smith. Albo jakoś tak, zwyczajnie i prosto.

Jechaliśmy w milczeniu przez rozświetlone bulwary. W radio szły stare przeboje country, potem nadawali wiadomości. Ucieszyłem się, że dowiem się, co się dzieje na świecie, ale dowiedziałem się tylko, kto z kim wygrał w futbol, kto z kim przegrał w bejsbol i kto rzucił najwięcej punktów w koszykówce. Potem podali aktualną liczbę trupów na ulicach i prognozę pogody. Miało być słonecznie i ciepło.

– Mamy sporo czasu – rzekł pułkownik. – Chcesz coś zjeść?

O tak, bytem cholernie głodny. I piekielnie spragniony. Zapomniałem o tym z emocji. Trochę za dużo działało się w ciągu ostatnich kilku dni ze mną i wokół mnie, żeby myśleć o jedzeniu.

– Umieram z głodu.

Zajechaliśmy do jakiejś restauracji upozowanej na meksykańskie pueblo. Pod wielkim

czerwonym neonem „Cactus ranch” świecił mniejszymi literami napis „Specjalność zakładu – koszerne tacos”.

– Bo to jest Ameryka, to słynne ju es ej – zanuciłem półgłosem.

Weszliśmy do środka. W głównej sali na małej estradzie mariachis w strojach narodowych wyszywanych cekinami, w gigantycznych sombreroach grali i śpiewali nieśmiertelny przebój „Celito Lindo”. Usta same składały się do śpiewu: „Aj, aj, aj, aj, kto handluje ten żyje”. Po parkiecie kręciło się kilkanaście par, większość jednopłciowych i tylko trzy czy cztery koedukacyjne. Największe wrażenie robił Hindus w turbanie przytulony do Japończyka ubranego w kimono.

– Czy to karnawał? Jakiś bal maskowy? – zapytałem pułkownika.

– Nie, skąd – wziął pytanie na poważnie. – Ludzie się bawią. Wolność.

Podbiegł do nas maître d’hôtel, po tutejszemu chyba po prostu menadżer. Też w sombreroze.

– Witam pułkownika. Jak się masz, Johnny. Co mogę dla was zrobić?

– Umieramy z głodu – pułkownik chciał go klepnąć w ramię, ale rondo sombrera mu przeszkadzało. – Daj nam jakiś cichy gabinet, bez tego hałasu.

– Panienki przyprowadzić? – spytał Meksykanin i dopiero teraz zobaczyłem, że ma jakiś dziwny akcent i jasnoniebieskie oczy.

– Nie, nie, żadnych dziwek. Tylko jeść i pić, ale dużo.

Dostaliśmy osobną salkę ze stołem na dwanaście osób.

Na ścianie wymalowany był jaskrawy fresk przedstawiający epizod z wojny domowej, a może z wojny między Teksasem i Meksykiem. Na pierwszym planie był wymalowany jakiś generał z trójkolorową szarfą, którego pierś rozdzierała kula wystrzelona przez stojącego o pół kroku tropiciela śladów a la Buffalo Bill. Obrazek był tak realistyczny, że widać było nie tylko dym z lufy, kulę, ale wydawało się też, że można odbyć na tym dziele sztuki lekcję anatomii klatki piersiowej.

Menadżer zauważył, że przyglądam się freskowi zafascynowany.

– Ładne, co? – stwierdził. – Autor potem wyjechał do Nowego Jorku i teraz jego obrazy idą po pół miliona. Ale maluje jakieś takie bohomyzy. Ja bym tego nie kupił. A przy tym to ludzie się fotografują na pamiątkę.

Postanowiłem usiąść tyłem do fresku.

– Zaraz, zaraz – rzekł pułkownik, zwracając się do Meksykanina. – Wiesz, że ten mój przyjaciel to Polak?

– Polak? – menadżer wybałuszył błękitne oczy spod sombrera. – A skąd?

– Z Warszawy.

– A ja jestem ze Lwowa – zdjął nagle sombrero i przedstawił się: – Anatol Dawidowicz Morgenstern.

– Bohdan Chmielnicki – odpowiedziałem, pamiętając, że jestem tu, w USA, incognito.

– Z tych Chmielnickich? – zapytał i nie czekając na potwierdzenie, zawołał po ukraińsku: – To ty prawie nasz krajan!

Ucałowaliśmy się. Potem odsunęliśmy się od siebie, przyjrzelśmy się sobie i ucałowali powtórnie.

– Jeść! – pułkownik przerwał nam brutalnie.

– Już. Dla rodaka wszystko – i Anatol popędził do kuchni.

– Miły facet – zauważyłem.

– Aha. Doliczy ci to do rachunku.

Zaczęła się uczta. Kilku kelnerów zastawiło nam stół niemal wszystkimi potrawami z karty. Paroma butelkami kalifornijskiego wina. Piwem meksykańskim. Anatol usiadł przy nas i namawiał mnie, żebym spróbował jego koszernych tacos. Były jak zwykle tacos, tylko koszerne. Zjadłem ze trzy i powiedziałem, że żałuję, iż nie mogę tego popić mszalnym winem.

– Mszalnego nie mamy – zmartwił się Anatol – ale jutro pogadam z biskupem, żeby mi podał adres swojego dostawcy.

Po trzech godzinach byliśmy najedzeni. Rachunek zapłacił pułkownik, choć się oczywiście rwałem, jak to Polak, do płacenia. Na koniec pojawił się jeszcze raz Anatol z butelką wódki pszenicznej z piercom.

– Czujesz ten ukraiński czarnoziem? – pytał. – Tę dal. Tęsknotę i smutek.

Omal się nie popłakaliśmy ze wzruszenia.

W drodze do samochodu wstąpiłem do toalety. Przy jednym z pisuarów stała bardzo ładna dziewczyna. Zgrabne nogi w szpilkach, duże piersi, burza blond włosów. Uniosła spódnicę i łała. Spojrzałem dyskretnie. Ameryka, kraj nieograniczonych możliwości. Pod drugim pisuarem leżał młody mężczyzna, tak przynajmniej wyglądał, w garniturze od Armani. Miał głupkowaty wyraz twarzy, wywrócone oczy i małą strzykawkę wbity w przegub, tuż nad bransoletą roleksa. Chwilę się wahałem, a potem stanąłem nad nim okrakiem.:

Poszedłem do samochodu wzburzony, bo ćpun przypomniał mi, jak się tu dostałem.

– Dlaczego to robisz? – pytałem bezceremonialnie pułkownika.

– Co? – nie zrozumiał.

– No, z koksem – wyjaśniłem. – Jesteś kimś w rodzaju bohatera narodowego. Masz obowiązek...

Roześmiał się.

– Nie będę ci tłumaczył, bo i tak nie zrozumiesz. Jesteś frajerem i zostaniesz frajerem. Nawet się nie buntuj. To też jest jakaś rola w życiu. Teraz jedziemy do admirała.

Wylądowaliśmy w typowym amerykańskim domku na typowej amerykańskiej ulicy, przy której stało kilka tysięcy takich samych domków. Admirał Jason Brown, tak się przynajmniej przedstawił, wielkie chłopisko, okazał się byłym kapitanem wycieczkowca do Alcatraz. Coś jak kierowca autobusu, który miał dowodzić statkiem kosmicznym. Pułkownik dostarczył mnie do niego jak paczkę, ale pożegnaliśmy się mimo wszystko serdecznie.

Admirał obejrzał mnie dokładnie. Zauważył szklę wpiętą w szlufkę spodni.

– Żeglarz? – zapytał.

Potwierdziłem.

– Dobra. Będziesz sternikiem.

Zdębiałem. Ja mam być sternikiem lotniskowca. Zacząłem tłumaczyć, że ja tylko na żaglówce, na jeziorach. Blisko brzegu. Machnął ręką.

– Dasz sobie radę. Będziesz drugim sternikiem. Pierwszego już mamy, pierwszorzędnny facet, był pilotem w zatoce San Francisco. Pozycję potrafisz obliczyć, kurs?

– Nie – nie mogłem w tym wypadku skłamać.

– Nie szkodzi. Mamy GPS. Będziesz tylko już na pełnym morzu pilnować, żebyśmy na kogoś nie najechali. A i tak jako okręt wojenny mamy absolutne pierwszeństwo. A teraz idź spać. Mamy komplet. Jesteś ostatni. Bez ciebie też byśmy się obyli, ale komuś tam na tobie zależało. Jutro wychodzimy w morze. Aha, ty jesteś Polak, nie? My już mamy na pokładzie jednego Polaka. Może go znasz? Na imię ma Mark.

– Jest nas 40 milionów, w tym sporo Marków.

– 40 milionów? Co ty powiesz? Nigdy bym nie przypuszczał. I z taką siłą daliście się Ruskim?

Nie uśmiechał mi się wykład z historii. Położyłem się na kanapie, przykryłem kocem i natychmiast zasnąłem.

Ocean

Lotniskowiec leżał przy nabrzeżu jak obce przedpotopowe zwierzę górujące nad portem, nad miastem, nad światem. Wiedziałem, że lotniskowce są wielkie, ale nie przypuszczałem, że aż tak. To było monstrum. Podziw zmieszał się jednak od razu ze strachem, bo na nabrzeżu było pełno ludzi. Nie zwykłych gapiów, ale policjantów i marynarzy. Ze dwie kompanie wojska, szpaler policji, orkiestra wojskowa. Grali „Yankee Doodle”. Za chwilę zażądają ode mnie paszportu, sprawdzą, że nie mam wizy, zaczną się dochodzenia i jak się do niczego nie przyznam, w najlepszym wypadku zamkną mnie za szpiegostwo.

Ale nikt się mną nie zainteresował. Fotoreporterzy tratowali się, aby sfotografować admirała, który kroczył w białym mundurze, kiwając ręką piszczącym za plecami policjantów dziewczynom. Przylepiony za jego plecami dobrnąłem do trapu i pokłusowałem w górę. Na dole odbywały się jeszcze jakieś ceremonie, ktoś wygłaszał przemówienie niesłyszalne z wysokości ośmiu pięter, marynarze prezentowali broń, dziewczyny powiewały chusteczkami i „Saratoga” odprowadzana rykiem syren, ciągnięta przez dwa holowniki odbiła od brzegu.

Odciągnięto nas na pełne morze i tam dopiero lotniskowiec uruchomił własne silniki. Przez ten czas poznałem pierwszego sternika, obejrzałem sterówkę w wąskiej wieży na bakburcie, nie było koła sterowego, tylko zwykła kierownica jak w samochodzie i mnóstwo ekranów i zegarów, dostałem rozkład wacht, przydzielono mi kabinę i pokazano, gdzie jest messa. Wszystkim zajmował się obrotny Hindus czy może Cejlończyk, o którym szeptano wśród załogi, że był kiedyś piratem na Malajach. Pocieszające było, że wśród tej zbieraniny wszystkich ras znalazło się jednak co najmniej kilkunastu zawodowych marynarzy.

Zainteresowałem się, gdzie jest rodak imieniem Marek. Też okazał się być fachowcem, mechanikiem okrętowym, i na razie tkwił gdzieś głęboko pod pokładem, w wąwozach maszynowni. Kiedy wreszcie stamtąd wylazł, okazało się, głupia sprawa, że rzeczywiście się znamy. Marek w ogóle był dość w Polsce znany. Swego czasu. Stocznowiec z Gdańska, współpracownik KOR-u, był wymieniony w Porozumieniach Gdańskich, imiennie, bo właśnie siedział.

Lotniskowiec szedł rzeško przez Pacyfik, który był rzeczywiście dość spokojny, a my usiedliśmy sobie na gigantycznym pokładzie, na drewnianych, pokrytych czarnymi śladami tysięcy startów i lądowań deskach, z flaszką i gadaliśmy. Stan wojenny zastał Marka w Bremie, gdzie był akurat z delegacją „Solidarności”. Potem trafił do Południowej Afryki,

ale nigdzie nie mógł zagrać miejsca, bo wszędzie, jak mi tłumaczył, pełno było komunistów, lewaków, trockistów i maoistów. Na dodatek traktowali Marka jak swego, bo wierzyli, że Polacy buntowali się, bo chcieli prawdziwego socjalizmu. Marek zrywał plakaty, bił się z tymi, którzy je rozwieszali, miał w każdym kraju konflikty z policją. Na koniec na kampusach kalifornijskich uniwersytetów.

Sądziłem, że tak jak ja został odcięty od możliwości powrotu do Europy i do Polski, dlatego trafił na „Saratogę”.

Ale nie. Miał za co wracać, ale nie miał do kogo. W stanie wojennym zmarła mu matka, o czym dowiedział się wiele miesięcy później. Kiedy w butelce pokazało się dno, Marek szeptem wyznał mi, dlaczego zaciągnął się na „Saratogę”.

– Dobrze, że jesteś – mówił gorączkowo. – Na razie namówiłem jednego Słowaka i tego rumuńskiego Cygana, który jest kucharzem. Teraz będzie nas już czterech. Z Irlandczykiem, z którym pracuję na dole, jeszcze nie rozmawiałem, ale on jest chyba z IRA, więc się zgodzi. Jak namówisz jeszcze ze dwóch z pokładu, damy sobie radę.

– Ale z czym?

Marek z ufnością przedstawił mi swój plan. Chciał uprowadzić „Saratogę” do Gdańska. Porwać, opanować i odstawić na miejsce.

– Jak będziemy mieli lotniskowiec, to wszyscy nam mogą naskoczyć. Ruscy, Niemcy, Szwedzi. Będziemy panować na Bałtyku.

– Marek, przecież to jest złom. Demobil. Nawet wszystkich desek w pokładzie nie ma.

– No to co? Chłopaki ze stoczni w dwa tygodnie doprowadzą go do porządku. Ochrcimy go „Piłsudski”, Danusia Wałęsowa będzie matką chrzestną.

– Oni tu nawet zamki z działek i karabinów wymontowali.

– A co to za problem? Ja sam na obrabiarce dorobię taki zamek w godzinę.

– No dobra. Okręt można wyremontować. Ale jak chcesz go opanować? Z tymi tępymi nożami z kuchni?

– No widzisz, nareszcie mówisz do rzeczy – Marek wyszczerzył zęby. – Ty jesteś od wczoraj, a ja tu siedziałem od dwóch tygodni. Uruchamiałem silniki, a w wolnych chwilach myszkowałem. Czego ja tu nie znalazłem. Tę butelkę też, a jest ich tyle, że na podróż dookoła świata wystarczy. Oni są bałaganiarze, ci Amerykanie.

Odwinął koszulę. Za pasem miał rewolwer, colta magnum, o ile mogłem się zorientować.

– Jest tego cały magazyn. Karabiny też. I amunicja.

– Ale samolotów nie ma.

– Nasi piloci i na drzwiach od stodoły polecą. Ale ja znajdę także samoloty. Na pewno

czegoś zapomnieli.

Wypiliśmy resztę rumu i tak się zawiązała nasza konspiracja na lotniskowcu. Marek miał rację. W dwa dni później powiedział mi, że znalazł i samoloty. Poszliśmy parę piętér w dół, bo windy nie działały. Potem labiryntem korytarzy, przez grodzie. Wreszcie Marek otworzył stalowe drzwi. W dużym magazynie, w plastikowych kokonach, stało ze złożonymi skrzydłami kilka jakichś maszyn. Chyba thunderboltów.

– Zobacz, jak zabezpieczone – powiedział z dumą Marek.

– Tylko zmontować i lecieć.

Do tej pory nie traktowałem tego poważnie. Teraz zacząłem się zastanawiać. A może on ma rację? Liczy się tylko siła. Gdyby jeszcze znalazł w jakimś magazynie bombę atomową, niedużą nawet, parę megaton, mielibyśmy przynajmniej siłę i pozycję przetargową. A poza tym, jakby to było pięknie. Wpływamy do Gdańska, a tam na nabrzeżu rząd i prezydent, orkiestra gra, syreny wyją, kompania honorowa salutuje, ludność wiwatuje, moc truchleje. Nas z Markiem niosą na ramionach przez miasto, do ratusza, na bankiet uroczysty.

Tylko jak się dostać do Gdańska? Zacząłem w czasie wacht studiować mapy. Najkrócej było przez Kanał Sueski, ale Egipcjanie nas nie przepuszczą. Dalsza trasa to dookoła Afryki. Ale tak czy tak, musieliśmy przejść przez La Manche i cieśniny duńskie. Dwa miejsca krytyczne. I czy wystarczy nam paliwa?

Marek był urodzonym optymistą i zbijał wszystkie moje wątpliwości. Jak będziemy iść wodami eksterytorialnymi, to nas nie ruszą. Będą się wzajemnie pilnować i wytrząsać sobie prawem międzynarodowym. Zresztą zagrozimy, że się wysadzimy w powietrze.

Zgodziłem się. Ale potem zacząłem sprawdzać tory wodne. Z naszymi rozmiarami, prawie 300 tysięcy ton, nie mieściliśmy się na takim bajorku jak Bałtyk. Marek zmartwił się prawdziwie.

– To co proponujesz?

A ja poczułem, że wszedł we mnie duch przodków, i mówię:

– Płynmy na Madagaskar. Wyspę opanujemy od razu, wezwiemy ochotników z Polski, powołamy się na Beniowskiego i utworzymy województwo madagaskarskie. Potem przyłączymy Mauritius i Seszele. Będziemy mocarstwem światowym.

Marek był zachwycony. Narobimy takiego zamieszania, że Polska będzie wreszcie na ustach całego świata. Będą nas szanować, bo będą się bać. Nasza konspiracja się rozrastała. Należała do niej już połowa załogi. Nie mogłem wyjść ze zdumienia, że ludzie z różnych zakątków świata, którzy pewnie nie wiedzieli do niedawna, że Polska w ogóle istnieje, godzili się brać w tym udział. Może zresztą weszli po prostu interes, jak nasz intendent, który

zapropował, żeby zamiast płynąć na Madagaskar, sprzedać „Saratogę” do Izraela i podzielić się forszą.

Czas buntu był jużznaczony. Nie było żadnego niebezpieczeństwa, że się nie uda.

Nikt się nie mógł przeciwstawić, a pewnie nikt by też nie chciał. Nasi potencjalni przeciwnicy dysponowali pistoletem admirała i jedną raketnicą. My byliśmy uzbrojeni po zęby.

– Pierwsza polska insurekcja, która ma szanse powodzenia – powiedziałem do Marka.

– Bośmy nie zwątpili – odparł – ani w siebie, ani w Boga.

Siedzieliśmy na pokładzie, na pasie startowym, popijając leniwie z gwinta. Najważniejsze było za nami, myśl została rzucona. Reszta to pestka. Technika. Głupstwo. Malgasje pójda za nami. Marek się rozmarzył. Jak się umocnimy na Oceanie Indyjskim, to popłyniemy na Morze Czarne. Do Sewastopola. Wyzwolimy Tatarów krymskich. Postawimy w Odessie pomnik Beni Krzyka z Murką. Na szczycie tych słynnych schodów. Będziemy jak pancernik „Potiomkin”. Okręt widmo. „Latający Holender”.

Ogromne słońce zachodziło purpurą za horyzont, a my zapalaliśmy się coraz bardziej. Zrobimy porządek na świecie, gdzie tyle jest krzywdy. Zjednoczymy Irlandię. Wyzwolimy Baskonię. Stworzymy Konfederację Wolnych Narodów. Korsyka się do nas przyłączy. Sardynia. Sycylia.

– Nie zapomnij o Kubie – przykazał Marek.

– Nie zapomnimy – obiecałem i łyknałem rumu Bacardi.

Spod długich cieni rzuconych przez relingi zaczęły się wyłaniać jakieś niewyraźne postacie. Rozpędały się po pokładzie i ulatywały w górę. Chłopi z kosami, husarze, szwoleżerowie. Harcerze, dziewczyny z mysimi warkoczami. Ciężko sapiąc, przecwałował obok nas i wzbił się w powietrze kamy oddział urzędników z teczkami. Dzwoniąc kajdanami, ze świstem silnika odrzutowego, przemknął katorżnik w kufajce, wywijając kilofem. Spod pokładu powoli jak szara gąsienica wydobywała się kolejka do mięsnego, na czele inwalidzi bez kończyn, kobiety ciężarne, i nabierała rozpędu, tłocząc się i mieszając z okrzykiem: „Wolność rzucili, wolność!”.

Widzieliśmy to wyraźnie, Polacy startowali ku przyszłości, formowali się w powietrzu w klucze i brali kierunek na wschód.

– Bóg jest z nami – powiedział Marek, trzymając mnie za poję, bo też rwałem się, aby ulecieć w górę.

A jednak Bóg się wtrącił. Na kilka godzin przed początkiem buntu – byłem na mostku za sterem i miałem dać sygnał, uruchamiając syrenę okrętową – zadzwonił telefon

z maszynowni. Myślałem, że to Marek, ale to był ten Słowak.

– Coś się stało Markowi – wydyszał. – Leży i chyba nie oddycha.

Porzuciłem sterówkę, i tak sterowałem automat, popędziłem metalowymi schodkami na dół.

Marek leżał na wznak. Był bardzo blady, twarz miał pokrytą kroplistym potem. Nasz lekarz pokładowy, który był w rzeczywistości sanitariuszem ze straży pożarnej we Frisco, robił mu masaż serca, uciskając miarowo klatkę piersiową. Marek złapał na chwilę oddech, otworzył oczy i wlepił je we mnie.

– Wszystko w porządku, stary – powiedziałem. – Płyniemy do Gdańska.

Chciał coś powiedzieć. Nachyliłem się nad nim, bardzo blisko.

– Jedź do Słupska – wyszeptał. – Kwiaty. Na grób matki.

Znów zamknął oczy. Sanitariusz robił mu jakiś zastrzyk, próbował znowu masować serce, wreszcie popatrzył na mnie bezradnie.

– To już koniec – powiedział.

I to był koniec naszego polskiego zrywu. Słowak odwołał mnie wprawdzie na bok i chciał, żebyśmy sprawę dokończyli. Chciał wpłynąć w deltę Dunaju, a potem popłynąć w górę rzeki, aż do Bratysławy. Miał w sobie tyle ognia, że zapytałem, czy nie ma polskich korzeni. Miał, był z Orawy. Ale mnie już przeszło. Ogień się wypalił. Byłem jak słomiany chochoł, jak pałuba po pożarze. Napiliśmy się śliwownicy i to był koniec insurekcji na lotniskowcu „Saratoga”.

Admirał nie zgodził się na zamrożenie zwłok i dowieszenie ich do Japonii. Upierałem się, chciałem go odtransportować potem do Polski, ale gdy mi przedstawił wszystkie trudności, skapitulowałem. Urządziliśmy pogrzeb morski. Zwłoki na desce, okryte wygrzebaną z magazynu polską banderą – mieli tu wszystkie, z całego świata – spuściliśmy do oceanu obciążone zdemontowanym z podstawy karabinem maszynowym bez zamka. Długo wyla okrętowa syrena. W ślad za Markiem nikającym wśród fal wrzuciłem zerwany z szyi czarny krzyżyk z oksydowanej stali, pamiątkę po stanie wojennym.

Potem poszedłem przeglądać jego rzeczy. Nie miał prawie niczego prywatnego poza zaczytanym egzemplarzem „Pana Tadeusza”. Jak Latarnik, w czwartym już czy nawet piątym pokoleniu.

W tydzień później weszliśmy do Jokohamy. Dostałem swoją dołę, nie potracili mi nawet tych stu dolarów od Wadima, i odleciałem przez Frankfurt nad Menem do Warszawy.

Warszawa

Nie sądziłem, że w zatłoczonej hali przylotów na Okęciu ktoś będzie na mnie czekał. A czekał cały tłum. Panowie w skórzanych kurtkach wyrwali mnie sobie po prostu z rąk. Taksóweczka? Do miasta? Tylko mercedes. Może bmw. Potrzebowałem taksówki. Naganiacz wyrwał mi z rąk torbę i poprowadził do auta. Wsiadłem. Ruszyliśmy.

– To dokąd? – zapytał kierowca.

– Nie wie pan, gdzie teraz najłatwiej znaleźć konia?

– Konia? – zdziwił się kierowca. – To chyba na Służewcu.

– Nie takiego konia. Cinkciarza. Nie mam złotych.

– Panie, coś się pan z księżycą urwał? Nie ma już żadnych koni, żadnych cinkciarzy. Teraz, panie, na każdym rogu kantor stoi. Może pan kupić dolary, marki, franki, nawet ruble, proszę pana. Albo w banku, ale kurs gorszy. Teraz państwo największy cinkciarz.

– No to do kantoru. Nie było mnie sporo lat.

– A widzi pan, człowieka nie ma parę lat, przyjeżdża, a tu nic nie jest na swoim miejscu. Wszystko się pojebało. Teraz dolar to już nie to co kiedyś. Wszystko przez tego Balcerowicza. Ludzi do ruiny doprowadził. Taki mój kuzyn, cztery lata na pustyni w Iraku harował, nie jadł, nie pił, urlopów nie brał. Oszczędzał, proszę pana. Baba mu się puściła, ale wrócił z walizką dolarów. Panisko. Tylko z kupki brał. Puścił w ludzi sto zielonych na miesiąc i był księżę. Pół litra w Peweksie za 50 centów. Spróbuj pan teraz za te pieniądze flaszkę kupić. Dzisiaj to nędzarz. A ja, panie, jak miałem zagranicznego klienta do Radomia i 50 dolarów rzucił, to go chciałem w rękę pocałować. Dziś to bym mu sam zaproponował, żeby mnie pocałował, w dupę. O, masz pan kantor.

Wyskoczyłem, wymieniłem 500 dolarów i dostałem jakieś miliony.

– W porządku? – zapytał taksówkarz.

– No. Jestem milionerem.

– Teraz u nas wszyscy milionerzy. Menel butelki sprzeda i milioner. Jak kto kradnie, to od razu miliarder. Ale już nie ma co kraść. Wszystko rozkradzione. Komuchy zabrali co swoje, ci, co teraz przyszli, wzięli resztę. Dla ludzi nic nie zostało. To dokąd?

– Na Foksal.

Nie przyjechałem do Warszawy. Nie byłem turystą. Wróciłem i chciałem, żeby to był powrót prawdziwy. Do tego samego miasta, z którego wyjechałem. Do tych samych miejsc i ludzi. Do Kameralnej. Skręciliśmy w Aleje Jerozolimskie. Wielka arteria przypominała

bazar. Budy poprzedzielane łózkami polowymi. Na łózkach dzinsy, kozuchy tureckie, spódnice, koszule. Krawaty z ręki. Na wykrzywionych chodnikach nienaprawianych od czasów Bieruta kiełkował polski kapitalizm.

– Niech się pan zatrzyma – poleciłem. Przypomniałem sobie, że jeszcze we Frankfurcie pękło mi sznurowadło. Zaraz na pierwszym straganie znalazłem taki wybór sznurowadeł, jakiego nie mają na pewno nawet u Harrodsa w Londynie.

– Popatrz pan, jaki to wstyd – narzekał taksówkarz – cudzoziemcy przyjeżdżają, a tu cała Warszawa to jeden wielki Różycki. Porządek trzeba przywrócić, zezwolenia wydawać, kary łupić. A tu nic, babcia sobie wyhoduje w skrzynce trochę szczypiorku i zaraz stragan na rogu otwiera. Kiedyś to od razu grzywna i konfiskata mienia, porządek był.

– A mnie się to podoba – odparłem.

– No tak, bo pan nietutejszy. To panu zwisa. Pochodzi pan sobie, coś kupi i pojedzie. A nas szlag trafia. Do Europy nas mają przyjąć albo do tego NATO. Akurat. Płotem ogrodzą i za biletami najwyżej będą wpuszczają, jak do zoologu. Nie nadajemy się, nawet w gazetach o tym piszą. O, na tego – taksówkarz pokazał mi plakat z czyimś wizerunkiem – na tego wszyscy będą głosować, bo obiecuje, że porządek zrobi. Złodziejów do pierdła, handlarzy do roboty pogoni. Tylko skąd on im robotę weźmie, jak wszyscy bezrobotni. Za komuny było lepiej.

Zacząłem przyglądać się słupom ogłoszeniowym i ścianom domów. Wszystko było oblepione plakatami. Grubo, bo musiało narastać warstwami. Jakieś nieznane twarze, z wydłubanymi oczami, dorysowanymi wąsami. Hasła. „Lepsze jutro, ale najlepsze wczoraj”, „Dam wszystkim w Polsce”, „Pojednanie narodowe nakazem chwili”, „Komuna do piachu”. Nie tylko życie gospodarcze, także polityka wypełzła na miasto.

Zajechaliśmy na Foksal. Dałem taksówkarzowi 50 dolarów, ale niepewny sytuacji walutowej spytałem:

– Będzie dobrze?

– Jak musi – odparł. – Nie jechaliśmy w końcu do Radomia.

Ulica Foksal była ta sama, ale jednak zupełnie inna. Na miejscu Kameralnej był sushi bar. Tam gdzie nocny dansing – jakieś biuro albo bank. Nie było Klubu Dziennikarza, nie było Architektów. Obcość ścisnęła mi serce. Gdzie ja teraz mogę spotkać kogoś znajomego? Kiedyś wystarczyło stanąć na rogu Kopernika i po kwadransie najdalej ktoś się napatoczył. Ale teraz? Po co miałby tu przyjść? Zacząłem się rozglądać za Piotrem. Ale nawet jego nie było. Odszedł razem z tamtą Warszawą. Tamtą Polską. Byłem sam.

Powlokłem się do Nowego Świata, wszedłem w tłum. Szedłem dość bezmyślnie, nie

mając pojęcia, dokąd iść, gdy nagle poczułem niepokój. Coś było nie tak. Coś było dziwnie. Inaczej. Ale co? Stałem, olśniło mnie. Ależ tak. Wszyscy dookoła mówili po polsku. Nie znałem tego od lat, a teraz byłem zanurzony w polszczyznę. Dziwne uczucie. Jak senny majak z emigranckiego snu o powrocie, który śnił się wszystkim. Wracasz do Polski i już nie możesz z niej wyjechać. Zaczęłem wpatrywać się w twarze mijających mnie przechodniów, co druga wydawała się znajoma, ale już po chwili następowało rozczarowanie. Wszyscy byli jednak obcy.

Kiedy tak stałem z torbą na ramieniu, podszedł do mnie jakiś jegomość w średnim wieku, z podniesionym kołnierzem prochowca.

– Kupi pan teczkę? – zapytał obcesowo.

– Nie potrzebuję teczki. Mam torbę – odpowiedziałem.

– Nie taką teczkę. Osobową – zachnął się. Odchylił płaszcz nieznacznym ruchem jak wprawny ekshibicjonista i zobaczyłem szary tekturowy skoroszyt z nadrukiem „SB” i wypisanym grubym flamastrem numerem.

– A czyja to teczka? – spytałem.

– TW. Konfidenta – odparł zdziwiony moją tępotą.

– Ale czyja konkretnie – chciałem wiedzieć.

– A, tego to ja panu nie mogę powiedzieć. To jest tajemnica państwowa. Jak pan kupi, to się pan dowie.

– W ciemno mam kupować? Znajomego bym kupił, może kogoś z rodziny. Ale jakiegoś obcego typu? Może jeszcze łobuza? Szkoda mi pieniędzy.

– Tyle mogę panu powiedzieć – zerknął dyskretnie za pazuchę – że to teczka TW o kryptonimie „Bolek”. Bierze pan? Tanio wezmę.

– Nie. Wojtka bym wziął, ale Bolek mi niepotrzebny.

– Nie to nie – obraził się. – Jeszcze pan będzie żałował.

Wrócił do bramy i słyszałem, jak mamrotał pod nosem: „Ciemniak, wieśniak, psiakrew”. A mnie przypomniał się Wojtek. Wygrzebałem z kieszeni jego wizytówkę. Zadzwonię, powiem, że wróciłem. Będę miał z kim pogadać. Trochę mi wytłumaczy, co się tu dzieje. Uchwyciłem się tej myśli. Na kartoniku był telefon, ale w Liechtensteinie. I adres, ale na wyspach Kajmana.

Środkiem jezdni szedł pochód z transparentami „Pracy i chleba” i „Znajdzie się kij na premiera ryj”. Ktoś prowadził taczki opatrzone napisem „wóz służbowy”. Zawyły syreny, policjanci towarzyszący manifestacji zaczęli spychać idących na chodnik, Nowym Światem przeciskała się kawalkada samochodów, z przodu radiowóz, w środku trzy czy cztery lanie,

z tyłu radiowóz i karetka, erka. Wszystkie auta miały za wycieraczkami jakieś kolorowe papierki furkoczące na wietrze. Jeden wyrwał się i spłynął mi pod nogi. Podniosłem go. Piersi, pośladki i napis „Iza i Asia, całodobowo”. Po drugiej stronie ulicy, przy Wareckiej, siedział na rozłożonym na chodniku styropianie oberwaniec w postrzępionych dzinsach. Przed nim stała miseczka z kartką „Internowany działacz «Solidarności» prosi o wsparcie”. Przechodzący obok facet w futrze i z cygarem – nawet się zdziwiłem, w taki upał w futrze, przez chwilę wydawało mi się, że to Dragon, kark gruby, ruchy kanciaste – wrzucił do miseczki monetę. Brzęknęło. Kto teraz daje monety? – zdziwiłem się. Przedostałem się na drugi brzeg ulicy, wyjąłem ze zwitku banknotów milion, położyłem na misce. Nie zareagował. Spał z otwartymi oczami, a może już nie żył.

Poczułem się nagle strasznie samotny w tym moim, a tak obcym mieście. Dokąd iść? Gdzie się obrócić? Gdzie szukać ludzi, żeby ich znaleźć?

Stałem tak przy wystawie sklepu Desy z antykami i nagle przez szybę go zobaczyłem. Stał sobie w kącie, między jakimś rzeźbami i wazami, na tle portretu marszałka na Kasztance. To był on. Na pewno. Wieszak. Świadek historii, o którym tak często myślałem w nikaraguańskiej dżungli. Wszedłem do środka. Ze wzruszeniem głaskałem gładź wiśniowego drzewa. Znalazłem ślady po gwoździach, którymi przybito do niego czerwoną flagę. Tak. Teraz go kupię i ubłagam, aby dokończył tamtą opowieść. Dowiem się nie tylko, jak to było naprawdę, ale też co będzie. Kto jak kto, ale on wie na pewno.

Podszedł sprzedawca.

– Szanowny pan uważa? – w klapę miał wpiętą wizytówkę z nazwiskiem poprzedzonym tytułem mgr. Magister. Pewnie historii sztuki.

– Ten wieszak. Ile on kosztuje?

Sprzedawca obejrzał wieszak. Nie było żadnej kartki. Z jednego z ramion zwisał tylko sznurek jak pętla szubienicy.

– Znów ktoś zerwał. Zaraz sprawdzę.

Wyciągnął jakieś księgi, zaczął w nich wertować.

– Niestety, jest zarezerwowany. Teraz sobie przypominam. Zastrzegła go redakcja „Gazety Wyborczej”. Oni budują nową siedzibę, mają zamiar go tam postawić.

Zadrzałem. Będą go przesłuchiwać, wymuszą deklaracje albo może zmuszą do milczenia.

– Proszę pana – powiedziałem – ja właśnie wróciłem z emigracji. Od razu poznałem. To jest pamiątka rodzinna. Jedyne, co pozostało po naszych majątkach na Wschodzie. Po tych dworach, pałacach, zabytkach i bibliotekach. Dziadek po polowaniu wieszał na nim fuzję, a ja

nawet nie mam zdjęcia rodzinnego. Pognali ich na Sybir. Wszystko przepadło. Ubecja wszystko zabrała, resztę chłopci rozkradli.

Miałem chyba łzy w oczach, bo popatrzył na mnie ze współczuciem.

– A wie pan, to by się zgadzało, bo on tu trafił z Rakowieckiej. Niech pan złoży zastrzeżenie w Ministerstwie Kultury – poradził niepewnie. – Teraz coś niecoś zwracają. Ale to potrwa.

– A nie da się tego inaczej załatwić?

– No, wie pan, to wyjątkowa sytuacja. Mógłbym spróbować. A będzie pan potrzebował zaświadczenia od konserwatora zabytków na wywóz?

– Nie, no skąd – zachnąłem się. – Ja chcę to wszystko odbudować. Te rodzinne majątki, pamiątki. Portrety przodków. Od czegoś muszę zacząć.

– To dobrze. Konserwator strasznie drogo bierze, jak to monopolista – powiedział rzeczowo magister i wyrwał kartkę z rejestru.

– Dogadamy się – dorzucił.

Dogadaliśmy się. Wyszedłem z wieszakiem i miałem wrażenie, że poweselał. Teraz mieszkamy razem. Pijemy i gadamy po nocach. To znaczy ja piję i gadam, bo on się jeszcze nie odezwał. Ale wiem, że któregoś dnia dojdzie do głosu. Opowie mi wszystko, jak było naprawdę. Przepowie, co będzie dalej. Może jeszcze nie jutro. Może jak znów będzie wesele. Ale wkrótce. Wtedy oddam go jako dar na Zamek Królewski. Niech go postawią obok tronu Stanisława Augusta. Niech czeka, aż ktoś zacznie na nim wieszać koronę. Nadzieja jest zawsze, nadzieja umiera ostatnia. Nawet nadzieja uwieszona wieszaka.